

MYŚL

WSPÓŁCZESNA

CZASOPISMO NAUKOWE

3-4

Łódź sierpień—wrzesień 1946

BIBLIOTEKA
WYDZIAŁU SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ

KOLEGIUM REDAKCYJNE

DR CHAŁASIŃSKI JÓZEF,
prof. UE

DR FIEDLER FRANCISZEK,
DR GAŚTOROWSKA NATALIA,
prof. UE

DR KOTARBIŃSKI TADEUSZ,
prof. UW, rektor UE

DR KRAUZE BRONISŁAW,
DR SCHAFF ADAM,
prof. UE

DR SZYMANOWSKI ZYGMUNT,
prof. UE

DR UŁASZYN HENRYK,
prof. UE

ŻÓŁKIEWSKI STEFAN
przew. Komisji Oświatowej KRN

REDAKTORZY DZIAŁÓW
DR STANISŁAW EHRLICH
DR JERZY BARSKI

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY
PROF. DR ZYGMUNT SZYMANOWSKI

ERRATA

Str. 343 odnośnik

wydrukowano: **) Lenin: Filozofskie tetrady, str. 23

**) Lenin: Filozofskie tetrady, str. 25

powinno być: **) Lenin: Filozofskie tetrady, str. 325

Str. 436

opuszczony został podpis autora — **Mieczysław Wróblewski.**

Str. 455, szpalta druga, wiersz 14 z dołu:

po słowach — wytwórców, robotników, został opuszczony nast. odnośnik:

¹⁾ W tym jaskrawym przeciwstawieniu ideologii kapitalizmu i Oświecenia czasom średniowiecznym autorka nie zawsze trafnie ocenia stosunek do pracy w okresie przedkapitalistycznym. Szablonem grzeszy np. twierdzenie, jakoby praca uważana była w średniowieczu tylko jako „pokuta za grzech pierworodny, za cierpienie“, podczas gdy „w wieku XVIII traktowana jest jako obowiązek“ (str. 222). Nauka kościelna potępiała również bezczynność, uważając ją za „wroga duszy“, propagowała pracę jako prowadzącą do doskonałości moralnej. Natomiast uznając i zalecając pracę mającą na celu zaspokojenie potrzeb konsumpcyjnych, zwalczała jedynie taką działalność gospodarczą, której celem był zysk, wzbogacenie się. Podobnie wątpliwe jest przeciwstawienie humanitaryzmu Oświecenia miłosierdziu, wynikającemu rzekomo tylko z „chrześcijańskiej miłości do Boga“ (str. 222).

str. 3 okładki (w ogłoszeniu pisma „Państwo i Prawo“)

wydrukowano: ukazał się Nr. 3-4

powinno być: ukazał się Nr. 4

W tymże ogłoszeniu wiersz 3 i 4 z góry —

wydrukowano: Prezes Izby Karnej K.R.N.

powinno być: Prezes Izby Karnej S.N.

MYŚL WSPÓŁCZESNA

C Z A S O P I S M O N A U K O W E

ŁÓDŹ

SIERPIEŃ—WRZESIEŃ

1946

„LA PENSÉE”

Revue du Rationalisme moderne

Paryż, 13 czerwca 1946.

Czasopismo francuskie „La Pensée” wita z radością młode czasopismo polskie „Myśl Współczesną”, które ma prowadzić w Łodzi tę samą walkę, jaką my prowadzimy w Paryżu. „La Pensée”, której trzy numery pojawiły się w 1939 r., przestała wychodzić przy końcu tego straszliwego roku; dwa numery tajne (z których tylko jeden zdołał ukazać się w druku) pod tytułem „Pensée libre”, były przygotowane podczas okupacji hitlerowskiej przez ludzi, którzy w maju 1942 roku życiem przypłacili swoje przywiązanie do ojczyzny, demokracji, ludzkości — byli nimi Georges Politzer, Jacques Solomon, Jacques Decour. Z chwilą gdy Francja odzyskała wolność, jesienią 1944 roku, „La Pensée” pojawiła się znów, by w dalszym ciągu bronić zasad racjonalizmu nowoczesnego i metod materializmu dialektycznego, które są według nas niezbędnymi warunkami postępu i wyzwolenia ludzkości.

Jesteśmy szczęśliwi widząc, że wszędzie na całym świecie uczeni, filozofowie, pisarze, artyści łączą się, aby pracować nad tym samym dziełem. A jeśli chodzi o naród polski, Rzeczpospolitą Polską, która jest nam droga z wielu względów — przez węzły tradycyjne kultury i sztuki, przez swe nieszczęścia i swe bohaterstwo w czasie tych lat straszliwych, przez swój wspaniały wysiłek odbudowy — odczuwamy głębokie wzruszenie.

Pragniemy, aby węzły ścisłej współpracy i przyjaźni braterskiej zadzierzgnęły się między młodym czasopismem polskim i tym, które na ziemi francuskiej walczy o te same ideały.

W imieniu Komitetu Redakcyjnego „La Pensée”, składającego się z profesorów: PAUL LANGEVIN, FRÉDÉRIC JOLIOT-CURIE, HENRI WALLON, MARCEL PRENANT, GEORGES TEISSIER, FRANCIS JOURDAIN, GEORGES COGNIOU

Sekretarz Redakcji: RENÉ MAUBLANC

BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDANSKU

Czesław Znamierowski

Analiza oceny moralnej

1. Ocena wtórna i pochodna. Stykając się z rzeczami, które nas otaczają, doznajemy wzruszeń. Te ustawiczne zetknięcia ze światem zewnętrznym i związane z nimi przeżycia emocjonalne, to główny nurt życia. Te reakcje uczuciowe będziemy tedy nazywali pierwotnymi. Oto lubuję się ciepłą kąpielą; oto smakuje mi brzoskwinia; oto drażni mnie turkot wozu; oto wstręt wzbudza szlamowate dno stawu. Obcuje w tych przeżyciach ze światem fizycznym; na ich widnokręgu nie ma osób do nas podobnych.

Ale w środowisku naszym są nie tylko rzeczy, lecz również i osoby, to znaczy: istoty żywe, podobne do nas. Interesują nas szczególnie. Takie już są w nas urządzenia instynktowe, że cudze przeżycia znajdują w nas oddźwięk i że wywołują reakcję uczuciową. A z drugiej strony, te podobne do nas istoty rozmyślnie zachowują się tak, by nam sprawić przyjemność lub przykrość. Od nich więc w znacznej mierze jest zależne to, jaki jest nasz udział szczęścia.

Zatrzymują naszą uwagę cudze przeżycia. Ulegamy przy tym złudzeniu, że można przeniknąć poza powłokę cielesną innej osoby, do jej niematerialnego, duchowego „wnętrza”. W istocie rzeczy jest tak, że zachowanie dostrzegalne drugiej osoby budzi w nas, drogą oddźwięku, własne przeżycia w cudzysłowie, urojenia. I bezpośrednio wglądamy w nasz własny komentarz do cudzych ruchów myśląc, że docieramy do cudzej świadomości. Nie mniej — i to nawet lepiej, intymniej — wiemy, co się dzieje, gdy się ktoś raduje lub smuci, niż co się dzieje, gdy jedno ciało przyciąga inne.

Na cudze wzruszenia reagujemy uczuciowo. To jest przeżycie emocjonalne wtórne. Jego przedmiotem jest przeżycie pierwotne. Jest to jednocześnie przeżycie wartości, które ocenia reakcją pierwotną; i jest społeczne, skoro jego przedmiotem jest druga osoba.

Łatwo o przykłady takich przeżyć. Oto, powiedzmy, jakiś C (dziecko) lubuje się smakiem brzoskwinii. To jest przeżycie pierwotne, bo C styka się w nim tylko z rzeczą swego środowiska fizycznego. Niechaj dzieje się to

na oczach osoby B (matki), która się cieszy, że temu C smakuje brzoskwinia. Uciecha ta jest przeżyciem wtórnym. B nie je brzoskwini, a może zgoła nie lubi. Nie brzoskwinią się cieszy, lecz zadowoleniem, jakiego doznaje C. Przedmiotem jego przeżycia jest C, z brzoskwinią w ustach i z łagodnym zadowoleniem w sercu. Sprzężone są tu dwa fakty. Niezależnym, samoistnym jest to, że C lubuje się brzoskwinią; zależnym i niesamoistnym jest zaś to, że B z tego się cieszy. Można je zestawić jak następuje:

I. C lubuje się brzoskwinią

II. B cieszy się, że C lubuje się brzoskwinią.

Diada ta (dwójka) osób i przeżyć jest, jak widać, sprzężona niesymetrycznie. Inny jest stosunek B do C niż C do B. Na widokregu tego B jest C, natomiast na widokregu C nie ma (może nie być) B.

Przeżyciem wtórnym może też być dążenie. B przedstawia tu sobie jakieś wzruszenie tego C, i dąży, by je C przeżywał lub go nie przeżywał. Oto, powiedzmy B pragnie, by naszemu C podobał się wiersz, który on (B) pisze; albo B chce, by temu C nie smakował papieros. Struktura diady jest tu dokładnie taka sama jak powyżej.

Niechaj B po raz pierwszy widzi C, który doznaje jakiegoś cierpienia. Do chwili spotkania nie łączyły go z C żadne uczucia i nie miał on żadnej postawy wobec C. Dopiero na widok cierpienia powstaje w nim przykre wzruszenie, w którym tkwi pragnienie, by C doznał ulgi. Z tym wzruszeniem powstaje dopiero postawa uczuciowa tego B względem C; inaczej: powstaje stosunek B do C. Przeżycie wtórne formuje tu tę postawę czy stosunek co najmniej na czas swego trwania; a może stało się przeżyciem tworzącym uczucia i trwałej postawy B wobec C. Ale możliwe jest też, że B już przedtem żywił dla C świadomie lub nieświadomie uczucie jakiegoś i że jego wzruszenie jest wyrazem sformowanej już dawno postawy.

Jeżeli we wzruszeniu lub dążeniu wtórnym, jakiego doznaje B wobec C, jest pragnienie, by C doznawał przyjemności lub nie doznawał przykrości, postawa tego B wobec C jest przychylna. Jeśli natomiast jest w nim pragnienie, by C doznawał przykrości lub nie doznawał przyjemności, postawa tego B jest nieprzychylna. Inaczej: postawa jest przyjazna, gdy B doznaje przyjemności na widok przyjemności, jakiej doznaje C, i nieprzyjemności — na widok nieprzyjemności. Wtedy przeżycia ich są jednoimiennie. Postawa jest nieprzyjazna, gdy przeżycia są różnoimiennie. Czasem wprawdzie zdaje się, że jest inaczej. Matka, powiedzmy, gniewa się a więc doznaje przykrości, gdy syn lubuje się dymem papierosa. Ale to świadczy tylko, że matka jest dalekowzroczna i że przeżywa przykrość na myśl o przyszłej szkodzie, jaką synowi przyniesie palenie. Podobnie przeżycia przyszłe naszego C ocenia B, gdy przybiera postawę wobec potrzeby C, której ten sobie nie uświadamia. Na przykład: B cieszy się, że C, rekonwalescent, oddycha świeżym, górskim powietrzem; ocenia dodatnio przyszłe przeżycia tego C, gdy już będzie zdrow w pełni.

Przeżycia wtórne mogą dotyczyć przeżyć teraźniejszych, minionych i przyszłych. B może się wstydić, że C uniół się gniewem; żałować, że C znów dogadza swemu podniebieniu; ale może się też obawiać, że C się uniesie gniewem. Są wzruszenia, z natury swej zwrócone w przeszłość; inne, zwrócone ku przyszłości. I nawet dążenia, których przeznaczeniem jest torować drogę w przyszłość, czasem odwracają się ku przeszłości. Prawda, że wobec przeszłości są bezsilne, bo nie mogą w niej umieścić tego, co byłoby wartościowe. Ale określają, jakimi musiałyby być dzieje minione, by mieć wartość.

Przeżycia wtórne mogą się zwracać również ku własnym przeżyciom. Nasze „ja“ nie jest tak wciąż dokładnie tożsame i tak nierozdzielne, jak to złudnie przedstawia wciąż niezmienny zaimek „ja“. W rzeczywistości potrafi się ono jakoś subtelnie rozdwojać: myśleć o swoich przeżyciach minionych i sobie samym, i ogarniać te przeżycia wzruszeniem. Rozdwoja się jednak swoiście. Nie tak jak tafla szklana, rozłamana po linii wyróżnionej diamentem, lecz raczej tak jak szczapa drzewa, w której uwięzła siekiera: rozdarła się już w części macierzysta więź, ale w części nadal spaja. Tak właśnie żałujemy, że minęła jakaś radość, gniewamy się na siebie, żeśmy pozwolili sobie rozczulić się, wstydzimy się żeśmy się dali ponieść oburzeniu.

Przeżycie, zwrócone ku własnemu przeżyciu, które teraz trwa lub ma się zjawić, jest w duszy żywą siłą. Może stłumić lub rozżarzyć to przeżycie, może pogłębić lub zetrzeć dyspozycję, może wskazać drogę ku sytuacjom, gdzie to pierwotne mogłoby wyrosnąć z głębi świadomości lub — przeciwnie — zniknąć. Ale przeżycie wtórne nie rodzi pierwotnego: pragnienie radości nie jest radością. Tę samą rolę może mieć wobec przeżyć cudzych. Druga osoba, postrzegająca naszą reakcję na jej przeżycie, albo się w nim umacnia, albo osłabia. Gniew, który widzi, że się zeń cieszą, rośnie; miarkuje się natomiast, gdy się spotka z oburzeniem. A więc przeżycia wtórne pełnią niejako funkcję kontrolną nad pierwotnymi. Podsycają je lub gaszą, pogłębiają lub wymywają ich ślady, powiększają lub pomniejszają szanse ich trwania.

Przeżycia wtórne, jako reakcje uczuciowe, są przeżyciami wartości: rodzi się z nich i sprzęga z nimi ocena wtórna. W ich oczach jedne przeżycia pierwotne nabierają wartości dodatniej, inne ujemnej; i z tym znakiem wchodzi do ogólnego rachunku szczęścia, który prowadzi do oceny egzystencjalnej.

2. Ocena pochodna. Przeżycia mogą się nawarstwiać dalej. Wyobraźmy sobie: jakiś A jest zadowolony, że B cieszy się, iż C smakuje brzoskwinia. Są tu trzy fakty, jak gdyby w trzech poziomach, sprzężone w całość swoistą, którą nazwiemy trójadą oceny. Swoistą pozycję ma tu przeżycie naszego C. Jego świadomość obcuje tylko z brzoskwinia i nie musi notować w swym polu osób A i B. Przeżycie naszego B już nie jest samoistne, bo zależy od poprzedniego. Ustala ono stosunek świadomy tego B od C, niesymetryczny, bo C nie zostaje tu w tym samym stosunku do B i dwuczłonowy. Przeżycie naszego A tym mniej jest samoistne, bo ogarnia myślą dwa przeżycia poprzednie i jest

reakcją na ich swoiste sprzężenie. W nim powstaje lub znajduje wyraz stosunek świadomy tego A do B i do C; jest tedy trójczłonowy i niesymetryczny. Triada przeżyć jest tedy całością kierunkową, której człony pozwalają się uporządkować tylko w jeden sposób. Można ją zobrazować w zestawieniu:

- (1) C lubuje się brzoskwinią.
 (2) B cieszy się, że C lubuje się brzoskwinią.
 (3) A jest zadowolony, że B cieszy się, iż C lubuje się brzoskwinią.

Przeżycie, które jest reakcją na przeżycie wtórne, samo jest podobne do wtórnych przez to, że jego przedmiotem jest inne przeżycie. Ale jednocześnie różni się bardzo od wtórnego. B nie zostaje w stosunku bezpośrednim do brzoskwini; a gdyby nawet pozostawał, nie wchodziłoby to w rachubę. A natomiast pozostaje w bezpośrednim stosunku do C i to ma podstawowe znaczenie dla struktury naszej triady. Ten stosunek nie jest opisany wyraźnie w trzech zdaniach powyżej. Ale jest rzeczą oczywistą, iż A zadowolony jest z zachowania się B dla tego, iż sam ma pewną postawę wobec C. Sam cieszy się, że temu C smakuje brzoskwinia, więc jest zadowolony, że ktoś inny się cieszy. Ten stosunek A do C może powstać dopiero w chwili, gdy A zauważył osoby B i C w swoim polu świadomości, z tymi ich przeżyciami. Ale bywa raczej, że stosunek do C tkwi w jakiejś trwałej dyspozycji, która istnieje w duszy A już z dawna, przedtem, nim się B ucieszył, że naszemu C smakowała brzoskwinia. Ta trwała dyspozycja jest wówczas źródłem, z którego wypływa przeżycie naszego A. Stąd nazwiemy to przeżycie pochodnym w stosunku do tego wtórnego, w którym A przybiera postawę bezpośrednio wobec C.

Łatwo potwierdzić tę analizę na innym przykładzie. A gniewa się na B za to, że ten się cieszy, iż C znajduje przyjemność w paleniu tytoniu. Jest tak dlatego, iż A jest życzliwy, powiedzmy, dla C, a stąd obawia się dlań złych skutków tytoniu; co za tym idzie, gniewa go, gdy się ktoś cieszy gdy stały się prawdopodobne przykre przeżycia tego C.

Dodać trzeba, że nie zawsze jest łatwo wskazać to przeżycie, czy tę dyspozycję wtórną, z której wypływa reakcja naszego A. To nie nazwane uczucie może być niejasne, a nawet nieuchwytnie dla samego A, tym bardziej dla widza. Ta sama reakcja bowiem może mieć w różnych dwóch przypadkach różny wywód descendencyjny.

Trudno rozstrzygnąć krótko, kto w tej triadzie jest postacią centralną. Można by rzec, iż jest nią C, skoro ze stosunku naszego A do niego wypływa stosunek do B. Ale znowuż to wysuwa na pierwsze miejsce tego B przeżycie, które spaja triadą, a mianowicie przeżycie A wobec B, jako tego, czyje przeżycie podlega ocenie. Tylko, że znowuż A zatrzymuje swą myśl na przeżyciu naszego B nie dla niego, lecz dla C: a więc B ma rolę służebną w stosunku do C; i B jest w oczach A podporządkowany C. To jest rys szczególnie znamieny dla naszej triady, która, dokładnie biorąc, po wyjaśnieniach ostatnich ukazuje się nam jako tetrada.

Jej czwartym elementem jest postawa bezpośrednia naszego A wobec C. Schemat całości tedy da się przedstawić, jak następuje:

- (1) A żywi uczucie u (doznaje wzruszenia lub pragnienia) wobec C
- (2) C doznaje przeżycia p_c
- (3) B doznaje przeżycia p_b dlatego, że C doznaje p_c
- (4) A doznaje przeżycia p_a wobec tego, iż B doznaje p_b wobec
tego, że C doznaje p_c

W dalszym toku rozważań będziemy jednak mówili o triadzie oceny z tej racji, że uwikłane są tylko trzy osoby i że przeżyć pewnych, uchwytnych jest trzy: uczucie (przeżycie), które jest wiązadłem triady, pozostaje na drugim planie, w ukryciu.

3 Ocena moralna — przeżyciem pochodnym życzliwości. W praktyce życiowej ważną pozycję mają oceny i dyrektywy moralne. Zazwyczaj próbowano je określać zwięźle, jakimś jednym rysem charakterystycznym. Ale zdaje się, że dopiero pewien zespół cech pozwala wyróżnić ocenę moralną spośród innych.

Otóż ocena moralna jest przeżyciem pochodnym życzliwości. Wiązanym triady mogą być różne uczucia: miłość, sympatia, nienawiść, zazdrość i inne. Między innymi życzliwość powszechna. Właśnie ocena pochodna tej życzliwości, i tylko ta ocena, jest moralna.

A, życzliwy dla C, pragnie, by temu C działa się dobrze. Jeżeli teraz w przeżyciu, jakiego doznaje B, jest pragnienie, by się C działa dobrze, A ocenia je dodatnio, w przeciwnym przypadku — ujemnie. Innymi słowy: dodatnio ocenia stosunek przyjazny, ujemnie — nieprzyjazny.

Życzliwość świadoma swej powszechności, przedstawia sobie mniej lub więcej jasno te osoby czy istoty, ku którym się zwraca, a których zbiór nazwiemy kręgiem życzliwości. Przedstawia je bądź tak, iż je obejmuje myślą imiennie, bądź też zdaje sobie sprawę, że się zwraca ku każdemu, kto posiada pewien zespół cech z_c (na przykład, ku każdemu, kto jest Polakiem, Europejczykiem, człowiekiem białym). W tym drugim przypadku krąg życzliwości określony jest ogólnie; przy tym może być określony czasem nietrafnie, gdy A niejasno wie, dzięki jakim swym cechom jakaś istota budzi jego życzliwość.

A życzliwy dla kręgu osób $Z (C_n)$, może się spotkać tu i teraz z taką sytuacją konkretną s , iż w niej B cieszy się, powiedzmy, z tego, iż C_1 doznaje udręki. Jest przypadkiem, że w takiej sytuacji znalazł właśnie tego C_1 , nie zaś innego C_k : mógłby znaleźć i tego C_k . A oburza się na B, że ten cieszy się, iż C_1 doznaje udręki. Jednocześnie A jest świadom tego, że tak samo by się oburzał, gdyby na miejscu C_1 był ktokolwiek z $Z (C_n)$. Można tedy ocenę naszego A ująć w zwrot następujący:

„W oczach życzliwości, jaką ma A dla każdego C_n , oburzające jest, że B cieszy się, iż C_1 doznaje udręki; i byłoby tak samo oburzające, gdyby chodziło o któregośkolwiek innego C_n .”

Ten zwrot składa się z dwóch zdań. Pierwsze ocenia jednostkowy przypadek, drugie ustala ogólnie, że „oburzające jest, ilekroć B cieszy się z tego, że ktoś z $Z(C_n)$ doznaje udręki.“ Na pierwszy rzut oka wydaje się, że ważniejsze jest tu pierwsze zdanie i że drugie jest tu tylko komentarzem do pierwszego. W istocie rzeczy jest odwrotnie. Zdanie pierwsze wyraża ocenę moralną tylko wtedy, gdy je dopełnia to drugie. Drugie natomiast jest samo przez się zdaniem oceniającym: pierwsze zaś jest tylko jego indywidualnym zastosowaniem, jak jednostkowa konkluzja ze zdania ogólnego. Nazwiemy to zdanie ogólne klauzulą zamienności.

Ta klauzula wymaga jeszcze rozszerzenia. A. — w swej życzliwości powszechnej — oburzałby się również, gdyby cieszył się z cudzej udręki nie ten określony B, lecz jakikolwiek B_n , określony za pomocą zespołu cech Z_b . Powstaje tylko pytanie, jaki stosunek zachodzi między kręgiem $Z(B_n)$ a kręgiem życzliwości $Z(C_n)$, jeśli ocena ma być oceną moralną.

Przyjeliśmy, że życzliwość może być powszechna, obejmując nie wszystkich ludzi, lecz tylko pewien krąg, wybrany ze względu na zespół z_o i zbiór $Z(B_m)$ może być wybrany na podstawie zespołu cech Z_b tak, że oba te zbiory nie będą zachodziły na siebie. Oto przykład: „A (dyrektor szpitala) oburzałby się, gdyby ktokolwiek z lekarzy (B_m) cieszył się z udręki pacjenta (C_n).“ Jeśli w tym szpitalu lekarz nie może być pacjentem, kręgi $Z(B_m)$ i $Z(C_n)$ się wyłączają. I ocena nie jest jeszcze moralną.

Czujemy, na razie intuicyjnie, że postawa oceniająca moralna musi być jakoś jednakowa, symetryczna wobec B i C. Tymczasem w rozważanej triadzie oceny, jak widzimy, nie jest symetryczna; podobnie nie jest symetryczna wobec osób z $Z(B_m)$ i z $Z(C_n)$ przy założeniu, przed chwilą przyjętym. Wydać się więc może wręcz, że rozważana przez nas triada nie może być tą strukturą, która by dawała ocenę moralną. Ale zważyć trzeba, że stosunek naszego A mógłby się stać jednakowy do B i do C, gdyby chodziło nie o jedną ocenę w jednym odosobnionym przypadku, lecz o zbiór wielu przypadków.

Załóżmy najpierw, że świat życzliwości naszego A składa się z dwóch osób P_1 i P_2 i że w nim, w ciągu jego trwania zaszła tylko taka jedna sytuacja, iż P_1 znalazł się w pozycji B w naszej triadzie, P_2 zaś w pozycji C. W tym świecie, aż po jego koniec, P_1 pozostaje w y b r a ń c e m życzliwości naszego A, P_2 pozostaje tym, kto miał rolę służebną wobec P_1 . Ale przyjmijmy teraz, że w tym świecie powstała też druga sytuacja, gdzie odwrotnie P_2 znalazł się w pozycji B, P_1 zaś w pozycji C. Tutaj wyrównała się niesymetryczność odosobnionej triady: raz w y b r a ń c e m życzliwości był P_1 , drugi raz P_2 . W tym świecie praktyka życiowa ujawniła, że A ma jednakową życzliwość dla P_1 i P_2 .

Ta życzliwość może być jednakowa dla P_1 i P_2 już wówczas, gdy A wierzy, iż w jego świecie możliwe są na równi przypadki, gdzie w pozycji C_n znajdować się będzie P_1 lub P_2 wobec drugiego z nich, który będzie w pozycji B_n . Oczywiście, łatwo rozszerzyć krąg życzliwości na większy zbiór osób $Z(P_n)$. A wówczas zdanie oceniające przybiera postać:

„W oczach życzliwości, jaką ma A dla każdego P_n , oburzające jest jeśli ktokolwiek z nich, P_k , cieszy się, że którykolwiek z nich, P_m , doznaje udręki“.

albo też postać:

„W oczach życzliwości, jaką ma A dla każdego P_n , oburzające jest, jeśli ktokolwiek z nich jest tym B, który się cieszy z udręki któregośkolwiek innego, który jest tym C_n , co cierpi udrękę“.

Nie jest zręczny ten drugi zwrot, ale daje on wyraźną odpowiedź na pytanie postawione powyżej. Ocena jest moralną dopiero wtedy, gdy każda osoba, która jest przedmiotem życzliwości naszego A, może zajmować w naszej triadzie zarówno pozycję służebną, jak i pozycję wybrańca. Klauzula zamienności jasno uwydatnia, że zamienna jest pozycja B i C dla każdego, kto należy do $Z (P_n)$.

Uogólnimy teraz naszą klauzulę i opiszemy wszelkie przeżycie moralne lub inaczej: wszelkie przeżycie wartości moralnej:

„Ze względu na życzliwość, jaką ma A dla każdego P_n , A doznaje przeżycia (wzruszenia lub pragnienia) p_a , ilekroć którykolwiek z P_n (P_b), doznaje przeżycia p_b wobec tego, iż ktokolwiek inny spośród $Z (P_n)$ (P_c) doznaje przeżycia p_c “.

Odpowiednio, zdanie oceniające moralnie przybiera postać:

„W oczach przeżycia p_a jakiego doznaje A w swej życzliwości dla każdego P_n , ma wartość w_n to, że którykolwiek z $Z (P_n)$ doznaje p_b , gdy ktokolwiek inny z $Z (P_n)$ doznaje p_c “.

Powstaje teraz dalsze pytanie, czy w ocenie moralnej A należy czy też nie należy do kręgu swej życzliwości. Zdaje się, że mowa potoczna nie daje tu wyraźnego wskazania. I wobec tego dobrze będzie chyba rozróżnić po prostu typy postawy moralnej, zależnie od tego, czy i jak włącza tego A w krąg życzliwości.

Z natury swej życzliwość jest uczuciem odsiebnyim. Jest w nim wprawdzie ciepło, czasem urastające w żar, pragnienie, by się innym ludziom działo dobrze. Ale jest w nim również chłód odległości, albowiem ono nie musi pragnąć obcowania i cieszyć się obcowaniem z tymi, ku którym się zwraca. W życzliwości przy tym „ja“ zapomina wręcz o sobie, nie widzi siebie, jak oko, które może patrzeć tylko przed siebie. Zdaje się więc, że A życzliwy dla innych, nie obejmuje siebie tym uczuciem. I oceniając cudze przeżycia, A może zgoła nie myśleć o tym, jaki jest jego stosunek do kręgu jego życzliwości. W jego postawie moralnej jest wtedy naiwna prostota myśli, która zbytnio nie docieka. Atoli możliwe jest również, że A wyraźnie zaprzecza w swej myśli, iżby należał do tego kręgu. Tak musi myśleć o sobie istota, doskonała w porównaniu z tymi P_n , których darzy życzliwością, ale których niedoskonałe przeżycia nie mogłyby nigdy być jej własnymi. A wówczas postawa moralnie oceniająca zabarwia się poczuciem protekcyjnej wyższości lub też czułością, która się smuci ze swego wywyższenia. Obserwacja ludzi, którzy oceniają moralnie, uczy nas, że w praktyce życiowej można spotkać wszystkie trzy postawy: i tę naiwną, i tę

protekcijną, i tę czulą. I w wierzeniach religijnych ludzie na te różne sposoby przedstawiają sobie postawę oceniającą Istoty Najwyższej.

Człowiek nie darzy samego siebie życzliwością, albowiem żywi ku sobie uczucie gorętsze: miłość dla własnego „ja”. Bywa ona w granicznych przypadkach z przyrodzenia słaba, nienatępna, a nawet płochwila wobec innych uczuć. Ale samorzutnie nie przeistacza się w życzliwość. Trzeba dopiero świadomego wysiłku, by we własnych oczach nasze „ja” postawić na równi z „ja” innych ludzi. Może się to stać dwojako. Można dążyć do tego, by rozżarzyć życzliwość powszechną tak, iżby się stała podobna do miłości dla własnego „ja”. Tego chce, kto każe „miłować bliźniego, jak siebie samego”. Zdaje się, że dusza nasza nie rozporządza takim zasobem sił pędnych, iżby mogła wyrównać różnicę między życzliwością, a miłością własnego „ja”. Odległość od innego „ja” zawsze pozostanie, a z nią i nieunikniony chłód. Stąd też, gdzie w praktyce życiowej zjawia się to dążenie wyrównawcze, tam wślizguje się też pozór, który chce być lepszy od tego, co jest naprawdę. Rzetelniejsza jest ta miłość własnego „ja”, która kładzie na siebie powściąg i wyrzeka się maksymalizmu swych dążeń. W tym przypadku nasze „ja” podporządkowuje się pod miarę ogólną i do kręgu swej życzliwości wchodzi z lekkim pochyleniem głowy, jak człowiek wysoki do niskiej izby. To pochylenie jest znakiem godnej pokory, która się zniża, siebie nie poniżając, i która jest koniecznym składnikiem oceniającym postawy moralnej w poczuciu chrześcijańskim. W tej powściągniętej miłości dla siebie pozostanie pragnienie, by „mnie” się dobrze działo, które pozwala to „ja” postawić na równi z osobami z kręgu życzliwości. W schemacie zdania oceniającego trzeba tedy dodać wzmiankę o tym rozszerzeniu kręgu $Z(P_n)$.

Ale rzecz się na tym nie kończy. Powstaje bowiem jeszcze jedno pytanie: czy A formułując swą ocenę moralną, ma na myśli tylko siebie, jako tego kto ocenia. Bywa niewątpliwie, iż A , powściągliwy w swych sądach, swoją tylko wyraża ocenę, wyraźnie ją relatywizując. Zdaje się jednak, że częściej A bywa niepowściągliwy i że jest przekonany, iż tak samo oceniałby każdy inny A_n na jego miejscu, w stosunku do swego własnego kręgu życzliwości. Jeszcze jednego wówczas przekształcenia wymaga nasz schemat oceny:

„Ktokolwiek będzie tym A_n , który ocenia i jakikolwiek będzie jego krąg życzliwości $Z_{A_n}(P_{r_n})$, A^n dozna przeżycia p_a wobec tego, że jakiś P^n_k dozna przeżycia p_k wobec tego, że jakiś inny P^n_c dozna przeżycia p_c .”

Ten niepowściągliwy A uważa, że ustala ocenę ogólną, wyzwoloną od wszelkiej relatywizacji, a więc bezwzględną. Analiza schematu nie potwierdza jednak tego poglądu. Widoczne jest bowiem, że ocena jest zrelatywizowana w odniesieniu do uczucia życzliwości i do przeżycia p_a , które się legitymuje z tego uczucia. Schemat nasz wskazuje tylko, że ocena jest ta sama, niezależnie od tego kto żywi, i dla kogo, uczucie życzliwości. Ocena, powiemy w myśl naszego A , wypływa z natury samej życzliwości, nie zaś z cech i postaw ubocznych, jakie ma ten lub ów A_n . Jest bardzo prawdopodobne, że A będzie uznawał, iż o tym, że

każdy A_n zareaguje przeżyciem p_a , wie on intuicyjnie, wglądając od wewnątrz w powiązanie uczuć i przeżyć. Takie wejście w wewnętrzne powiązanie zdarzeń ma być możliwe tylko w dziedzinie psychiki, gdzie wobec tego nie potrzebne jest pracowite gromadzenie wielu faktów do siebie podobnych. Trzeba umiejętnie, ostrożnie, wyczerpująco przeniknąć strukturę jednego powiązania dwóch zdarzeń typu t_1 i t_2 , by wiedzieć z pewnością i z góry, że zdarzenie typu t_1 zawsze się sprzęga tak samo ze zdarzeniem typu t_2 . W tym intuicjonistycznym ujęciu rzeczy nasz schemat powiązania przeżyć w triadzie oceny jest schematem prawa natury.

Nie rozstrzygając, czy słusznie myśli nasz A, będziemy tu jednak uznawali, że ocena jest moralna nawet bez tego ostatniego jej rozszerzenia.

4. Ocena moralna a jej przedmiot. Życzliwość chce, ażeby jej wybrańcom działa się dobrze. Ocenia więc dodatnio każde zdarzenie, które przynosi samo lub w swych skutkach pewne quantum przyjemności dla jakiegoś wybrańca P_n , albo oszczędza mu pewnego quantum przykrości. Takie zdarzenie jest *pożyteczne* dla P_n . Zdarzenie zaś jest *szkodliwe* dla P_n , gdy mu przynosi przykrość lub pozbawia go przyjemności. Takie zdarzenie życzliwość ocenia ujemnie.

Zdarzeniem pożytecznym lub szkodliwym dla człowieka może być zdarzenie fizyczne: powiew chłodzącego wiatru w upał, huragan znoszący budynki. Ale człowiek w bardzo dużej mierze zależy też od innych ludzi, których zachowanie rozmyślne przynosi mu wiele pożytku lub wiele szkód. Na to zachowanie właśnie zwraca swą oceniającą uwagę życzliwość.

Może je traktować na równi ze zdarzeniem fizycznym, nie badając nawet, czy jest rozmyślne. To, że B postawił przed głodnym C talerz z owocami, jest zdarzeniem podobnym pod pewnym względem do tego, że wiatr strząsnął do stóp C owoc z wysokiego drzewa. Ocena jest tu czysto utylitarna i ma na widoku tylko samego C, zapominając wręcz o tym, że B jest osobą. Ale może też brać pod uwagę, że B jest osobą, która działa, i wnikać w to, czy B chciał osiągnąć swym działaniem ten stan rzeczy, który jest dla C pożyteczny lub szkodliwy. Oceniająca życzliwość uzna ruchy tego B za jego działanie, gdy stwierdzi zgodność między *zamiarem* a *wynikiem*. Wtedy tylko zapisze te ruchy, jako działanie, jako pozycję w rachunku tego B, i orzeknie, czy w tym działaniu swoim B jest pożyteczny, czy też szkodliwy dla C. Ocena i tu jest utylitarna, ale już bierze w rachubę to, że B jest osobą, a więc ośrodkiem, czy źródłem swoistym *aktywności*. A orzeknie tu nie tylko, że działanie d_b było pożyteczne dla C, lecz również, że B był *pożyteczny* dla C ze względu na swe działanie d_b . To nie jest proste przekształcenie słowne. Ustalając, że B jest pożyteczny dla C, A przyporządkowuje tego B swoście swemu C i otwiera niejako rachunek tego B w dziejach C. B nie staje się przez to samoistnym przedmiotem zainteresowania dla A; niemniej staje się pozycją jego ocen. Taka ocena nie jest moralna, a nawet rzecz można, że się przeciwstawia moralnej. Ale ma duże znaczenie i szeroki obieg w życiu społecznym. Z kumulacji takich ocen wyrastają spiżowe pomniki dla zasłużonych.

A, w swej życzliwości dla C, może się starannie zająć osobą tego B. Oto B ofiarował C kosz brzoskwiń, wiedząc, że C je lubi. Stało się to z po-

żytkiem dla C; B oddał mu usługę. Lecz A nie wie jeszcze, dlaczego B to zrobił. Mógł B po prostu pragnąć, by C miał przyjemność jedzenia brzoskwiń. Takie pragnienie, dla C przyjazne, życzliwość naszego A oceni dodatnio. Ocena pragnienia i ocena wyniku działania są tu zgodne co do znaku. Atoli możliwe jest też, że B chciał tym zjednać sobie wdzięczność jakiegoś D, zainteresowanego szczególnie przeżyciami C; że dla B obojętna była ta przyjemność, jakiej dozna C. W oczach A nie zmieni się teraz utylitarna ocena wyniku, ale ulegnie zmianie ocena pragnienia. W oczach życzliwości, jaką ma A dla C, jest co najmniej obojętne, że B pragnie wdzięczności ze strony D. A może nawet zgoła ujemną jest rzeczą, że C stał się narzędziem dla B. Jasne jest przy tym, że nie można liczyć, iżby się powtórzyło działanie przyjazne, skoro B nie będzie go mógł użyć dla swych celów wobec D.

Ocena pragnienia i ocena wyniku rozchodzą się też wtedy, gdy pragnienie jest przyjazne, lecz gdy działanie nieudolne nie osiąga zamierzonego stanu rzeczy: źle opakowane brzoskwinie doszły zepsute do rąk C. Pragnienie było dodatnie, wynik ujemny dla C. Gdyby przyjazne pragnienie tego B miało się zawsze wykolejać po drodze do celu, mały byłby z niego przychód szczęścia dla C.

Jeśli naszego A interesuje nie jedno działanie i tego działania źródło emocjonalne, lecz trwały stosunek tego B do C, ocena pragnienia (dążenia) wysuwa się na plan pierwszy. I A docieka, z jakiej trwałej dyspozycji, z jakiego uczucia lub jakiej dążności powstało to dążenie, które doprowadziło do zamierzonego wyniku, albo i nie osiągnęło go, nieudolne. Jeśli B dał dla C brzoskwinie dlatego, że ma dla niego sympatię, to jest duże prawdopodobieństwo, iż w innych sytuacjach również okaże dążenia przyjazne dla C. Na długą metę więc ocena przeżycia, które skłoniło do działania i dyspozycji u jego podstawy, jest bardziej ważna niż ocena wyniku. Ona wyznacza wartość, jaką ma B dla C, jako stały element jego społecznego otoczenia. Staje się tym bardziej ważna, gdy patrzy na tego B, jako na stały element otoczenia dla wszystkich tych P_n, którzy wchodzą w krąg życzliwości naszego A. Tak zaś musi patrzeć ocena, podyktowana przez życzliwość powszechną, a więc, moralna.

Sięgając do dyspozycji emocjonalnych, ocena orzeka nie tylko, jakie jest działanie, jakie jest dążenie, z którego powstało, lecz również, jaki jest sam człowiek, który działał i dążył. W ocenie moralnej jest tedy naturalna tendencja, by oceniać nie tylko przeżycie, prowadzące do działania, lecz również i samą osobę, doznającą przeżycia. Może ona podsuwać oceny zbyt pośpieszne, albowiem z przeżyć ostrożnie trzeba wnioskować o dyspozycji jej trwałości. Szlachetny odruch jednorazowy jeszcze nie mówi o szlachetności. Późniejsze rozważania nauczą nas, jak głęboko trzeba sięgnąć w głąb struktury ludzkiego „ja”, by móc powiedzieć o kimś, że jest dobry, to znaczy: że zasługuje na najwyższą i najbardziej syntetyczną ocenę moralną.

Skoro ocena moralna sięga do głębi świadomości naszego B i przypisuje wartość poruszeniom emocjonalnym, czasem nawet niezależnie od

tego, czy z nich dla C wyjdzie pożytek czy szkoda, to B staje w środku pola uwagi, C zaś widziany jest z ukosa. Są też ludzie, co ulegają złudzeniu, że ocena moralna nie bierze zgoła w rachubę tego C. Twierdzą nawet z emfazą, że ocena ta wyniosłe pomija wszelki pożytek czy szkodę dla kogokolwiek. Nie dostrzegają, że mówi ona o trwałych warunkach pożyteczności.

Trzeba też pamiętać, że A w naszej triadzie jest równie życzliwy dla B i C. C jest wybrańcem jego życzliwości przez to, że A troszczy się dlań o pożytek, a więc o szczęście; z drugiej strony A daje dowód swej życzliwości dla B tym, że z zadowoleniem i aprobatą zbiera wszystko, co może świadczyć o doskonałości tego B w przynoszeniu pożytku dla C. A przypisuje tej doskonałości wartość. I jego przeżycie oceniające jest jednocześnie przeżyciem tworzącym nowego uczucia dla B, które A zacznie żywić obok życzliwości. Jest to uczucie typu szacunku, w różnych odmianach, poczynając od ostrożnego i ograniczonego uznania, a kończąc na nie znającej ograniczeń czci. Dla tej doskonałości niejedyn A ma taki entuzjazm, że ceni ją więcej niż szczęście. Wtedy szala jego życzliwości przechyla się ku B, jeśli chce dla C szczęścia, a dla B doskonałości.

5. Przeżycia, które podlegają ocenie moralnej. Wyjaśniliśmy, czym się to dzieje, że ocena moralna sięga przeżyć a nie zatrzymuje się na zachowaniu widzialnym. Trzeba teraz dodać, że się zatrzymuje nie na każdym takim przeżyciu.

Przez świadomość przesuują się różne myśli i poruszenia serca. Jedne — efemeryczne — rozbłyskują i nikną; inne, choć przelotne, powracają natrętnie; inne jeszcze trwają uporczywie i powracają natrętnie jak woda zaskórna, przesycając widocznie lub niewidzialnie pole świadomości. Wszystkie te przeżycia są w tej samej świadomości; a więc zda się, że wszystkie winny być jednakowo przeżyciami tego „ja“, do którego „należy“ ta świadomość. Jeśli w mojej świadomości jest myśl, że dziś sobota, to „ja myślę, że dziś sobota“; a jeśli jest apetyt na majonez, to „ja mam apetyt na majonez“. Przeżycie jest jak tułów, któremu „ja“ przygotowuje samo siebie jako głowę. Ale właśnie w świadomości jest tak, że nasze „ja“ nie każdemu przeżyciu chce przygotować głowę: nie każde przeżycie chce zapisać jako swoje do swych dziejów. Człowiek, który się zna na fizyce, nie powie: „ja mam nadzieję, że ktoś zbuduje perpetuum mobile“, bo zapisał do swych dziejów to, że wie, iż to jest niemożliwe. A chory, który bardzo pragnie wyzdrowieć, nie powie: „ja chcę majonezu“ skoro wie, że ten przysmak mu zaszkodzi. Będziemy mówili, że fizyk nie chce wcielić do swego „ja“ nadziei na perpetuum mobile, a chory swego apetytu na majonez. A jednocześnie, że przeżycie spotyka się ze sprzeciwem tego „ja“, do którego miałyby należeć.

Ten sprzeciw polega na tym, że uwaga umyka przed przeżyciem, że zjawia się lęk przed tym, by się rozrosło w świadomości, że powstaje dążenie typu wstrętu, że impulsy hamujące rozlewają się szeroką falą, zapobiegając z góry, by się nie zmieniły w ruch impulsy nieproszone.

Powstaje stan napięcia, czasem tak ostry, że zmaganie między dążeniami, wcielonymi do naszego „ja“, a natrętem, przybiera postać walki wewnętrznej. Przy bardzo wielkim napięciu tej walki „ja“ ulega złudzeniu, że natrętne przeżycie jest mu poddane z zewnątrz; albo zgoda, że w jego świadomości zjawilo się drugie, obce i nieprzyjazne, „ja“ z tym natrętym przeżyciem, rzekłbyś: drugie centrosoma w protoplazmatycznej masie komórki. I, przy pewnych warunkach, bierze stąd początek rozdzielenie świadomości.

Ale bywa, że nasze „ja“ nie wciela danego przeżycia, jednak mu się nie sprzeciwia: będziemy tu mówili, że je dopuszcza. Gdzieś na obrzeżu świadomości u chorego powstaje myśl o majonezie, może całkiem pozbawiona pędu ruchowego: bezimienny i obojętny statysta, który zniknie za chwilę. Nasze „ja“, które jak monter z rupieciarni warsztatu wybiera części do swej konstrukcji, pomija tę myśl uwagą i zostawia ją, bezsilną, własnemu jej losowi. Może się jednak zdarzyć, że ta myśl w pewnej chwili dyskretnie odkryje swój ładunek ruchowy: na jej gładkim lustrze powstają ledwie dostrzegalne fale pragnienia. Troska o zdrowie, wcielona do tego „ja“ już dawniej, pilnie baczy, by nie dopuścić w ognisko uwagi tego zdrożnego pragnienia. Ale jednocześnie „ja“ chorego jakoś nie odejmuje mu widoków i nie usuwa ze świadomości. Zda się, że między tym „ja“, a nieadoptowanym pragnieniem jest jakiś kontakt tajemny. Powściągliwe, jak gdyby na pokaz przed samym sobą, „ja“ jakoś niewidzialnie rozkoszuje się słodyczą nieadoptowanego pragnienia, a to pragnienie znowu jakoś nie traci nadziei, że mu się uda opanować świadomość. Jest tedy nieszczerą grą między „legalną“ troską o zdrowie, a tym „ja“, które ją uznaje za swoją, i jednocześnie nie czyni nic, by usunąć ostatecznie jej rywala, który, jak każde pragnienie, tylko oczekuje na to, by swą z naglą ujawnioną siłą pędną opanować świadomość.

Czasem gra ta staje się jasna zupełnie. Mimo, że troska o zdrowie czujnie i zazdrośnie potępia zdrożny apetyt, „ja“ przyznaje się do niego i żyje nim, przynajmniej w chwilach, gdy słabnie tamta czujność. „Ja“ chorego ze stanowiska swej troski o zdrowie ocenia tu ujemnie swój apetyt niezdrowy; ale jednocześnie wciela go do swych dziejów. Powiadamy, że się z nim godzi. W ocenie ujemnej jest sprzeciw, we wcieleniu przyzwolenie. „Ja“ wikła się więc w sprzeczność, która nie daje mu spokoju.

Zdaje się, że ocena moralna może dotyczyć bez żadnej wątpliwości dopiero przeżycia, na które „ja“ się godzi. Takie przeżycie już niewątpliwie należy do „ja“, i słusznie można o tym „ja“ orzekać, że jest takie, iż rozmyślnie wciela dane przeżycie do swoich dziejów. Dodać przy tym trzeba, że tym przeżyciem, na które „ja“ się godzi, czy które dopuszcza, może być równie dobrze wzruszenie jak dążenie. Człowiek, na przykład, dopuszcza czasem, że w jego świadomości trwa nieśmiała radość z cudzego niepowodzenia, albo smutek z powodu sukcesu. Czy ocena moralna może dotyczyć przeżycia, do którego dopuszczono, trudno orzec ogólnie. Przejście między przeżyciem, zgola niepostrzeżonym, a przeży-

ciem, do którego „ja“ dopuszcza, jest niejasne i granica między nimi nieuchwytna. Podobnie, nieuchwytna jest granica między dopuszczeniem do przeżycia a zgodą na nie. Niemniej, już to, do jakich wzruszeń i dążeń dopuszcza, mówi nieco o człowieku.

Dopuszczenie do przeżycia i zgodę na nie odróżnić trzeba od decyzji. Ta ostatnia, jak zobaczymy później, jest aktywna, jest działaniem wewnętrznym. Tamte zdarzenia, to raczej zestawienia, konfiguracja przeżyć niż samoistne przeżycie. Fałszywie rozumiejąc naturę tych faktów, błędny stworzylibyśmy sobie obraz świadomości. Prąd świadomości płynie najczęściej gładko, bez zatrzymań i nagłych zrywów, jakimi są decyzje. Jakoś „samo się robi“, że „ja“ wciela swoje przeżycia. Najczęściej zjawiają się już wcielone, bez uprzedniej oceny i rozmysłu. Budząc się rano, od razu „ja mam apetyt na śniadanie“, od razu „ja się cieszę z pogody“. I takie bezpośrednie, nieselekcjonowane poruszenia uczuć mogą być przedmiotem oceny moralnej. To, co gładko przepływa przez świadomość, daje pewne świadectwo o człowieku.

Ale ocenę moralną interesuje niewątpliwie bardziej ocena egzystencjalna. Jest to przeżycie, które ma pozycję specjalną. W niej się zbiega i ogniskuje wiele przeżyć przygotowawczych: na drodze do niej leżały oceny jakościowe, porównawcze, superlatywne. Ona dla pewnej sytuacji i dla pewnego przedziału czasu wyznacza stosunek naszego „ja“ do świata jego uczuć. W ocenie egzystencjalnej jest przy tym moment aktywności. Już każda ocena porównawcza wymaga aktywnego zestawienia w myśli ocen jakościowych; a cała droga do oceny, co dobrze by było, żeby istniało, leży w polu czynnej i wytężonej uwagi. Ocena egzystencjalna nie jest decyzją, a nawet decyzji przeciwstawia się tym, że, co jest dobre, znajduje, a nie stwarza. Ale do decyzji podobna jest tym, że a k t y w n i e z w y s i ł k i e m działania wewnętrznego, wyznacza co jest dobre i co istnieć powinno. Jak wiadomo, z oceny egzystencjalnej naturalną drogą powstaje d y r e k t y w a i s t n i e n i a.

Głównym, najbardziej interesującym moralnie, przedmiotem oceny jest d e c y z j a: przeżycie swoiste, które analizować będziemy niebawem. Jest to przeżycie, które leży na drodze między oceną egzystencjalną, a tym splotem zdarzeń, dzięki któremu w pewnym fragmencie świata powstaje nowy porządek rzeczy. Mowa o nim w rozdziale następnym.

6. G a t u n k i o c e n y m o r a l n e j. Życzliwość może przychylnym lub niechętnym okiem widzieć to lub inne przeżycie, nie pytając czy jest na nie miejsce w ciasnocie naszego świata. Miłe jej jest, na przykład, zadowolenie z cudzej dobrej nadziei, miła uciecha z cudzej radości albo z ustania czyjegoś smutku. Niemiłe natomiast zazdrość lub gniew, lub złośliwe pragnienie cudzego cierpienia. Jest to j a k o ś c i o w a ocena moralna; i n t u i c y j n a, bo obejmuje wzrokiem tylko samo przeżycie bez jego skutków.

Gdy życzliwość docieka skutków przeżycia i ocenia je łącznie, powstaje ocena g l o b a l n a. Odruch miłosierdzia, sam przez się miły życzliwości, może być ujemny w całości swych skutków, jeśli obudzi i umocni zuchwałość. Podobnie, radość z czyjogoś lubowania się przysmakami wyhodować może pożądlivosti podniebienia, które więcej przysporzą utrapień niż zadowolenia. A z drugiej strony gniew, zawsze przykry życzliwości, może ukształcić czyjś charakter i do szczęścia się przyczynić.

Oceny jakościowe, czy globalne, zestawione, dają ocenę porównawczą. Względnie łatwo porównywać oceny jakościowe. Choć i tu czasem, gdy bardzo różna jest treść zestawionych przeżyć, niełatwe jest porównanie. Pod odmienną treścią życzliwość szuka wtedy utajonego pragnienia dobra albo pragnienia zła, według którego mierzymy wartość przeżycia. Ale któż rozstrzygnie pewnie, czy więcej jest troski o cudze dobro w przebaczeniu niż w gniewie? Tym trudniejsza, oczywista, jest porównawcza ocena globalna: niemal niepodobna przejrzyć wszelkie skutki dwóch przeżyć.

Powołując się na mowę potoczną, może ktoś odmówić jednak tym ocenom charakteru ocen moralnych. Powie, że ocena moralna ma urządzić świat, a więc wskazywać, co dobrze jest, by istniało. Powie, że ma być ostateczna, rozstrzygająca, a taka jest dopiero ocena egzystencjalna. Czcza to rzecz, o to się spierać. Ta ostatnia ma pośród ocen moralnych niewątpliwie miejsce naczelne, bo od niej dopiero wywodzi się dyrektywa istnienia. Wartościowe jest samo przez się życzenie, by ktoś miał mocne mięśnie; i wartościowe również pragnienie, by posiadał rozległą wiedzę. Ale mała pojemność świata nie pozwala być i atletą i uczonym. Musi więc ocenić życzliwość, czy dobrze jest, by jej wybrańcom życzyć siły, czy wiedzy, czy też, dla równowagi i harmonii, zgodnego połączenia umiarkowanej siły i celowo zakreślonej wiedzy. Aby to ustalić, życzliwość musi znać dobrze strukturę tego fragmentu świata, który tu wchodzi w rachubę; a więc: charakter i uzdolnienia swego wybrańca, warunki, w których on żyje, poglądy na zadania życiowe człowieka, jakie panują w danym środowisku społecznym, i wiele innych rzeczy, które czasem poznać niełatwo własnymi tylko siłami.

7. Ocena moralna a pogląd na świat. Rozważając ocenę egzystencjalną, widzieliśmy już, że dotyczy ona struktury świata. Wyznacza mianowicie, przy jakim doborze elementów i przy jakim ich układzie najlepszy jest świat tego uczucia, które kształtuje ocenę. A zatem ocena egzystencjalna wymaga odpowiedniej znajomości tego świata. A żeby ustalić, co dobrze jest, by istniało, trzeba wiedzieć, co już istnieje i co w ramach tego, co już jest, istnieć może. Aby ustalić, jaki obraz ma wisieć na ścianie, trzeba wiedzieć, jaka jest ta ściana, co już na niej wisi, jakie meble przy niej stoją, oraz jakie obrazy mogą być zawieszane.

Poznając świat jednego uczucia lub jednej dążności, odkrywamy przy tym często, że koliduje ona z inną postawą emocjonalną. Wtedy

dla postaw kolidujących powstaje świat wspólny i ocena egzystencjalna dostaje się pod opiekę dążenia do harmonii. I jeśli jedna z kolidujących postaw nie odniesie całkowitego zwycięstwa, ocena ta rozszerza się i obejmuje ten świat amalgamowany. Oto chcę zjeść pomarańczę, którą trzeba osłodzić. „Badając“ świat tego dążenia, przekonuję się, że jest w nim porcja cukru, nie dość wielka, by można było osłodzić pomarańczę i mieć go do herbaty, na którą mam też ochotę. Światy tych dwóch dążeń sprzęgają się dla mnie w jeden w tej chwili, gdy poznaję ich strukturę.

Właśnie w ten sposób, gdy się rozszerza nasza znajomość świata lub myśl o świecie już znanym, powstaje ocena moralna tam, gdzie przed tym była ocena pozaspołeczna lub, w każdym razie, pozamoralna. Oto, powiedzmy, C chce się napić wina. Jeśli w jego świecie nie ma drugiej osoby, która by kandydowała w jego rozumieniu do tej samej miarki wina, to ocena, że dobrze jest się napić, jest indywidualna. I B, który ma taki sam pogląd na świat swego C, ocenia pozamoralnie, gdy jego ocenę aprobuje. Dwuczłonowa tylko jest jego ocena: B ocenia to, że C doznaje pewnego pozaspołecznego przeżycia. Lecz niechaj teraz C zauważy, że D jest bardziej spragniony i że dla nich obu jest tylko ta jedna miarka wina. C wie teraz, że pijąc, przyprawia D o cierpienie. I trwając przy swym dążeniu, chce, albo co najmniej: godzi się na to, żeby D cierpiał. Jeśli teraz B wie o tym również, powstaje triada oceny moralnej: B się oburza, że C chce, by D cierpiał. Z tego prostego przykładu widać, że znajomość zbyt rozległa świata może być niebezpiecznym przeciwnikiem pragnień, które by przy mniejszym widnokregu myśli zachowały swe prawo istnienia. Są nawet ludzie, według których złe i krzywdzące byłoby pragnienie wszelkiej rzeczy materialnej, gdybyśmy tylko mieli odwagę myśleć o tym, że ku tej samej rzeczy wyciągają się ręce bardziej spragnione. Dlatego to zapewne asceta hinduski szuka najpierw koło siebie głodniejszego, nim kęs mu ofiarowany spożyje.

Ocena egzystencjalna wymaga wiedzy, przy tym często tak rozległej, że to przekracza naszą zdolność poznawczą. Wiem tylko wtedy, gdy mam o czymś przeświadczenie jasne i oczywiste, albo gdy je mogę wywnioskować pewnie z takiego przeświadczenia. Tak wiem, że papier, na którym piszę, jest biały, że cień pada na balkon, że punkt dzieli prostą na półproste. Ale granice takiej wiedzy dla każdego z nas zwłaszcza z osobna, są bardzo szczupłe. Nigdy, na przykład, nie możemy być zupełnie pewni, co w danej chwili przeżywa inny człowiek, a właśnie cudze przeżycia są przedmiotem oceny moralnej. Jeszcze mniej możemy być pewni, co w konsekwencji danego przeżycia w pewnym odcinku czasu przeżyjemy sami lub ktoś inny. Gdybyśmy tak docieklewie spróbowali wyznaczyć granicę własnej wiedzy, to by się okazało, że tylko w bardzo prostych przypadkach możemy naprawdę ustalić, co jest dobrze, by istniało. Kiedy indziej należało by się powstrzymać od oceny. A tymczasem praktyka życiowa wymaga ocen, choćby z pewnym ryzykiem. Oglądamy świat naszych uczuć, nie rozsze-

rzając zbyt widnokregu myśli, i nie sięgamy zbyt głęboko w przyszłość. Poza tym, gdzie nam wiedzy nie starcza, tam ratujemy się wierzeniem.

Czasem uznajemy coś za prawdę, choć nie jest to dla nas oczywiste, ani niezbicie dowiedzione. Takie przeświadczenie nazywamy wierzeniem. Może ono być tak niewzruszone i tak ufne w siebie, jak wiedza. A nawet więcej: bo wiedza gotowa jest zawsze legitymować się ze swego uzasadnienia, wierzenie natomiast często odmawia tego niecierpliwie. Tę ufność wiary można nazwać euforią wiary: teologowie ją nazywają niekiedy łaską wiary. I niewątpliwie, wierzenia są cennym i niezbędnym darem dla naszej praktyki życiowej. Dają często odwagę czynu, w harmonijną całość wiążą obraz świata.

Wierzenie z poczuciem ryzyka ma też rolę pożyteczną. Operujemy nim jak narzędziem, które się kiedyś może złamać lub ukruszyć. Nie sprzeciwiamy się jego korekturze, jeśli z nią przychodzi nowozdobytą wiedza. I nie narażamy się przez to na niebezpieczeństwo, iżbyśmy mieli wierzyć wbrew wiedzy.

Nasze wierzenia są bądź indywidualne, bądź zaszczerpione społecznie. Indywidualne wywodzą się z pragnień lub uczuć. Pragniemy czegoś, więc wierzymy, że to już jest lub że będzie. Pod wpływem uczuć przeświadczenia tworzą się i umacniają łatwiej i szybciej; i odważniej bronią się przed nadzorem myśli. Miłość, gotowa do podziwu, łatwo wierzy, że jej przedmiot jest godny podziwu. Czuła życzliwość, gotowa do poświęceń, chętnie wierzy, że jej przedmiot jest słaby i potrzebuje pomocy. Nie nawiść, gotowa do radowania się wadami, pośpiesznie się przekonuje, że jej przedmiot jest tak bardzo niedoskonały. Czasem jednak wierzymy w to, czego się obawiamy, jak gdyby w przekornym holdzie dla zła. To, co nas zdejmuje lękiem, ma taką moc fascynującą, że braknie nam inicjatywy i odwagi, by sprawdzić czy istnieje. Tak właśnie nie może się dziecko wyżyć strachu przed nieznanym, które się czai w ciemnym kącie, lub w mrokach sąsiedniego pokoju. Podobnie człowiek pierwotny zaludnia świat duchami, których się boi.

Wielką rolę w naszych ocenach mają też wierzenia, zaszczerpione społecznie. Szeroko bardzo przenikają każdą niemal dziedzinę działania. W sprawach czysto indywidualnych wierzymy, na przykład, że są pożyteczne albo szkodliwe te a te napoje i pokarmy, lekarstwa, zabiegi kuracyjne. W rzeczach społecznych wierzy człowiek w swe powinowactwo z potężnymi duchami, w moc ponadziemską władcy, w nieuchwytnie — złe lub dobre — wpływy jednego człowieka na innych, w tajemnicze znaczenie obrzędów. Takie wierzenia upodobniają świat zewnętrzny dla żyjących obok siebie ludzi, poddają oceny jednakowe i zacieśniają dla jednostki granicę tego, co dobrze jest, by istniało.

Naczelne miejsce pośród wierzeń mają te, które są wyrazem reakcji uczuciowej człowieka na całość świata lub na świat jako całość. Takie wierzenia nazywamy religijnymi, a ich zespół religią. Dziś niektórzy wolą je nazywać ogólniej światopoglądem. Te postawy religijne podzielić trzeba przede wszystkim wedle tego, czy

syntetyczna ocena świata jest dodatnia czy ujemna. Optymistyczna jest, gdy przyjmuje, że świat zbudowany jest tak, iż życie jednostki może się w nim rozwijać z wyraźną przewagą przeżyć przyjemnych, że siły człowieka wystarczają, by zapewnić istnienie temu, co dobrze jest, by istniało. Pesymistyczna zaś, gdy przeciwnie, jest przeświadczona o tym, iż siły świata kształtują bilans człowieka z nadwyżką cierpienia, że się przeciwstawiają temu, co dobrze jest, by istniało. Z drugiej strony rozróżnić trzeba religie, które uznają, że poza istnieniem doczesnym jest świat, nieuchwytny zmysłami, w który się przedłuża życie człowieka, oraz takie, które nad światem doczesnym nic nie nadbudowują. Pierwsze są transcendentne, bo wychodzą poza doczesność, drugie immanentne, bo jej nie przekraczają. Rzecz jasna, że ocena egzystencjalna pierwszych mieć musi znacznie szerszy widnokrąg; ale też jej rachunki muszą być bardziej zawile.

Dla życzliwości, która na znajomości świata musi opierać ocenę moralną, ważne jest bardzo, jaki jest w nim stosunek między losami poszczególnych jednostek. Światopogląd indywidualistyczny przypisuje przede wszystkim nieprzywiedlną wartość każdej jednostce z osobna. Dobrze jest tylko wtedy, gdy udział szczęścia dla wszystkich ludzi jest możliwie równy. Ten pogląd nie godzi się tedy na taki „wyrównawczy“ rachunek szczęścia, w którym lepiej jest czasem, że kosztem cierpienia Piotra bardzo szczęśliwy jest Paweł, niż gdyby Piotr i Paweł, obaj, choć mniej niż sam Paweł, byli szczęśliwi. Wierzy też indywidualizm, że jednostka mniej zależna jest co do swego szczęścia od innych ludzi, niż od warunków, które ma w sobie i w swym środowisku fizycznym. W istniejącej zaś zależności jednostek między sobą upatruje raczej źródło cierpienia i dlatego dąży, by prewencyjnie zapobiegać konfliktom i kolizjom, tworząc jak najszerszą enklawę życia prywatnego.

Przeciwstawia się temu gregaryzm, który wierzy, że więź między jednostkami jest bardzo ścisła i że szczęście jednostki zależy przede wszystkim od jej podobnych i od dóbr, które są z biorywymtorem. Uznaje też, że możliwy jest ten rachunek wyrównawczy, w którym dobrze jest, by jednostka cierpiała dla szczęścia innej jednostki lub dla dobra powszechnego. Przy tym w jego ujęciu dobro powszechne w jakiś niewyjaśniony sposób może być różne od sumy szczęścia jednostek; rzekłbyś niemal: szczęśliwa społeczność może się składać z nieszczęśliwych jednostek. Ten pogląd podkreśla też z naciskiem, iż dobra są, ogólnie biorąc, tworami wspólnymi gromad nie zaś jednostek; zwłaszcza tam, gdzie chodzi o zaspokojenie potrzeb materialnych, a więc w dziedzinie gospodarczej.

8. Surowość oceny moralnej. Ocena moralna jest z natury swojej surowa dla tego, o czyich przeżyciach orzeka. Polega to na tym, że ogranicza ona swobodę przeżywania i działania oraz nie dopuszcza, by dążenia znajdowały zaspokojenie. Przeciwstawia się ta ocena swobodnej grze dążeń.

W triadzie oceny B, jak już wiemy, ma rolę służebną wobec C. Mimo, że A jest równie życzliwy dla B i C, to jednak w danej sytuacji podporządkowuje go w stosunku do C. To podporządkowanie jest znamionem

i niezmiennym rysem w strukturze oceny moralnej. I przez nie właśnie ocena moralna jest surowa dla B. Nie uznaje ona, iżby każde dążenie tego B miało prawo istnienia. Poddaje dążenia ostrej selekcji, i to nie ze względu na samego B, lecz na C. Tym samym przeciwstawia się, co najmniej w części, naturze istniejącego świata i chce stworzyć świat lepszy: w danym przypadku kosztem naszego B.

Jak poświęca A, w granicach danej sytuacji, tego B dla C, to zależy od jego postawy ogólnej oraz od tego, jaka w jego rozumieniu jest natura świata. Są tacy A, którzy zdają się znajdować widoczną lub tajoną przyjemność w tym, że kładą więzy dezaprobaty na B. Ci często godzą się jednocześnie łatwo z myślą, że natura świata jest taka, iż B nie ma żadnego ani bezpośredniego, ani pośredniego zysku z ofiary, którą mu wyznacza w udziale ocena moralna. Powstaje stąd pogląd religijno-moralny, który nazywamy rygoryzmem. Ale z drugiej strony są ludzie, którzy nie cieszą się złośliwie z tego, że ocena moralna więzy nakłada na dążenia i potrzeby człowieka. Ci przeważnie szukają myślą, czy to, że B ponosi ofiarę dla C, ostatecznie jemu samemu (B) nie wychodzi na dobre. I wielu wierzy, że tak jest zbudowany świat, iż przez tę ofiarę staje się lepszy i dla B. Kto dla innych ma życzliwe i gorące poruszenia uczuć, ten zmiękcza ich serca dla siebie i stwarza dobra, które należą do własnego jego świata. W tym rzeczy ujęciu łagodniejsza ostrość spojrzenia, jakim ocena moralna darzy przeżycia ludzkie. W każdym zaś razie życzliwość powszechna nie może odczuwać zadowolenia stąd, że prawa natury tak sprzęgają ludzi ze sobą, iż przykrość, jakiej doznaje jeden, jest ceną przyjemności, którą przeżyje drugi. Życzliwości taki stan wydaje się raczej smutny; i świat przez to niedoskonały. Odczuwa to życzliwość szczególnie ostro i silnie, gdy oceną swą hamować musi przeżycia przyjazne, ze względu na ciasnotę świata. A bywa przecież tak, że trzeba powściągnąć sympatię lub miłość, by ześrodkować i wzmocnić energię innego dążenia.

Nie tylko moralna ocena egzystencjalna ma ten rys surowości, lecz w ogóle wszelka taka ocena, która odrzucać i dezaprobować musi to, co samo przez się jest dodatnio cenne. Szkoda, że nie można powiesić drugiego pięknego obrazu z braku miejsca; i że w jednym dniu nie można być na kilku szczytach górskich; i że nie można całych sił swych użyć dla jednego przyjaciela, gdy pomocy potrzebuje też drugi. Ten żal powstaje nie tylko wtedy, gdy spośród rzeczy dodatnio cennych jedna w całej pełni zaspokaja dążenie. Tam, gdzie kolidują co najmniej dwa dążenia, kompromisowy wybór jest zawsze wyrzeczeniem: zaspokojenie przynajmniej jednego z nich nie osiągnie kulminacji i zrodzi się stąd żal niezasycenia.

Życzliwość nie smuci się tym, że kładzie pieczęć dezaprobaty na wzruszenie i dążenie naszego B, nieprzyjazne dla C. Nie ma takiego punktu, z którego A, życzliwy dla C, mógłby pragnąć nieprzyjaznych dlań uczuć u B. A to, że się łączy coś, co jest ujemne, przyjmujemy z niezadowoleniem. Czasem natomiast A pragnie dla B, by się ziszcilo pragnienie tego B, bezpośrednio bynajmniej nie zwrócone przeciw C. Chciałby A, powiedzmy,

tego, by B mógł wieczorem dla odpoczynku sięść przy fortepianie. Ale to koliduje ze spokojnym snem naszego C. Tu życzliwość żałuje niewątpliwie, że musi być surowa. Postawa B wobec C nie jest nieprzyjazna sama przez się, jak w gniewie lub w zazdrości. Staje się nieprzyjazna dopiero pośrednio przez to, że B chce stanu rzeczy, który swym skutkiem jest szkodliwy dla C. Taka jest chyba ogromna większość przypadków, gdzie człowiek działa na szkodę człowieka. Zdaje się, że ludzie tylko z rzadka, wyjątkowo, mają potrzebę cudzego cierpienia. Przeważnie popycha ich ku działaniu, czy zachowaniu się na cudzą szkodę ułomna natura rzeczy, niepojemna na pragnienia.

Jak surowa jest ocena moralna, to zależy od tego, którą z dwóch dróg możliwych obiera życzliwość. Jeśli się nie lubuje potępieniem i nie rozdaje zbyt odważnie cierpienia, to stara się jak pnać objąć i przyniknąć rzeczywiste warunki każdej sytuacji z osobna. Dezaprobuje grę wieczorną na fortepianie, jeśli C jest ciężko chorym, B zaś znużonym próżniakiem, który nie wie jak skrócić godzinę wieczorną. Ale nie zakaże tej gry, gdy B jest wirtuozem, gotującym się do jutrzejszego koncertu, C zaś śpiochem wygodnym. Ten sposób oceny, od przypadku do przypadku, stąd: kazuistyczny, jest najbardziej przyjazny dla ludzi i może dać w przypadkach kolizji maksimum szczęścia. Ale droga to trudniejsza i dłuższa: trzeba tu każdorazowo długich obliczeń globalnych i porównań niepewnych. Łatwiej jest nie oglądać się zbyt czule na cierpienia i nie szukać zbyt pilnie optymalnego rozkładu szczęścia między osobami w kolizji. Wystarczy ustalić ogólnie, że źle jest, gdy ktoś zakłóca spokój wieczorną porą. Taka ocena sumaryczna jest niewątpliwie, jak ogrodnik, który z zasady zbyt krótko przycina pędy. Pod jej nożycami ginie niejeden pęk szczęścia, który by mógł nieco lepszym uczynić świat. Ale tak tnie ona szybko i pewnie, a to jest niezbędne w powszedniej praktyce życiowej, gdzie często trzeba się orientować bez zwłoki, co dobrze jest, by istniało. Oczywiście, taka ocena jest oceną przeciętną wielkiego zbioru przypadków i pozostaje w takim stosunku do słusznej oceny kazuistycznej, jak przeciętna wzrostu, powiedzmy, do rzeczywistej wysokości tego oto Piotra lub Jana. Stąd ten konflikt, w życiu tak częsty, między oceną sumaryczną a kazuistyczną. Ta ostatnia jasno widzi i dokładnie ocenia konkretny przypadek i nieledwie wymierzyć może odchylenie między wartością rzeczywistą a przeciętną rachunku. Przeciętna wydaje jej się tedy fałszem, przeciw któremu się buntuje. I wydaje się jej, że ma prawo się buntować, jak każda rzecz, która istnieje naprawdę, ma prawo się opierać zniekształcającej ją fikcji. Ale w istocie rzeczy ocena sumaryczna ma przeważnie dobrą sprawę, często bowiem lepiej wyznacza sumę szczęścia dla całego zbioru przypadków, które obejmuje, niż zbiór ocen kazuistycznych, nie dość trafnych. A nietrafne mogą być łatwo, gdy są dokonywane w pośpiechu. Poszczególne przypadki winien wtedy poddać się tej surowości oceny, która z umysłu pomija jego relief niepowtarzalny.

Tylko skrajny rygoryzm zdaje się być zadowolony, że kolizje, wynikające z ciasnoty świata, sprzęgają ludzi w nieprzyjaznym zderzeniu i że można wobec tego potępiać i zakazywać. Życzliwość nie aprobeuje tej ciasnoty i dąży do tego, by rozszerzyć granice świata tak, iżby nie było kolizji, ograniczających swobodę życia.

Niemniej, surowość oceny moralnej zależna jest nie tylko od utajonej lub jawnej ambiwalencji uczuć wobec ocenianej osoby. Czasem narzuca ją nieprzemownie ciasnota świata, zmienna w toku dziejów. Są w dziejach okresy łatwizny i luzu, gdy dóbr jest pod dostatkiem dla wszystkich i gdy człowiek może się poruszać swobodnie, nie następując na domenę innego. Wtedy ocena moralna nie musi dezaprobować przyrodzonych pragnień i potrzeb w obawie, że zaspokajając je, stwarzać będzie człowiek cierpienie bliźniemu. Ale są też okresy, gdzie żywość lub szaleństwo zbiorowe, zwane wojną, wyniszcza zasoby bogactw tak bardzo, iż niemal na każdy kęs czekają niejedne zgłodniałe usta. Wtedy z góry staje się podejrzanе każde pragnienie, jako to, co może czyhać na cudzą zgubę i co jeszcze bardziej zacieśnia świat. W takich okresach próby zjawia się często wierzenie, że przez swe dążenia niedoskonała jest do gruntu natura człowieka; zwłaszcza przez te, które służą potrzebom ciała. Rygoryzm takich okresów jest dla rodzaju ludzkiego szkołą ciężką, ale często zbawienną.

9. Treść oceny moralnej. Życzliwość jest postawą, w pewnym znaczeniu formalną. Chce, by jej wybrańcom dobrze się działo, ale w niej samej nie ma wskazania, jak się im ma dziać; to znaczy: jakimi zdarzeniami mają być wypełnione ich dzieje. Stąd nie ustala życzliwość dokładnie, jak się ma zachowywać człowiek wobec człowieka. Uznaje tylko za dodatnią każdą postawę przyjazną, a każdą nieprzyjazną za ujemną. I wydaje się, że to jest jedyna naczelną oceną życzliwości. To mianowicie, że życzliwość ceni dodatnio życzliwość, a każdą inną postawę wedle tego, ile w niej jest widocznej lub utajonej życzliwości.

Miłość indywidualną lub sympatię takąż widzi życzliwość przychylnie i często orzeka, iż jest dobrze, że takie uczucia istnieją. Są one bowiem spoiwem grup mało liczebnych, ale dla ludzkiego szczęścia niezmiernie ważnych, takich jak rodzina, czy związek przyjaźni. Ale podstawowemu pragnieniu życzliwości nie wystarczają te uczucia. Po pierwsze dla tego, że łatwo mogą przesłaniać interesy innych ludzi i nawet stwarzać z nimi wyraźne konflikty. Miłość rodzicielska zaślepia czasem człowieka na potrzeby innych dzieci i innych ludzi; podobnie, przyjaźń gorliwa nie zaostrza wzroku. A przy tym miłość, sympatia czy przyjaźń bywa zachłanna: żąda dla swego wybrańca tyle, że wchodzi w kolizję z potrzebami innych ludzi. Po drugie zaś, życzliwość powszechna nie może cenić najwyżej uczuć, które nie są powszechne, które nie mają tylu wybrańców, co ona. W jej oczach, luką jest w każdym uczuciu, jeśli ono nie obejmuje jakiegoś człowieka, ku któremu ona zwraca swe uszczęśliwiający pragnienie. A miłość, sympatia i przyjaźń z natury swej nie mogą być powszechne. Zbyt sęzione są ich siły pędne, by mogły zataczać krąg zbyt rozległy. Z drugiej

strony życzliwość nie żąda tych dążeń, które tym uczuciom dają charakter intymny: ani potrzeby obcowania, ani potrzeby wyróżnienia dla swego przedmiotu.

Nie pozostaje jej tedy nic innego, jak tylko cenić najwyżej życzliwość, jak i ona, powszechną. Pokrywa się jej krąg własny i tamtej, więc nie ma przypadku, gdzieby w ocenionym uczuciu z zalem odczuwała lukę. Każdy jej wybrańiec P jest też wybrańcem tamtej. Widzi więc w tamtej niejako swego sobowtóra, a w każdym razie godnego zaufania zastępcę. A, który stwierdza życzliwość swego B dla każdego z $Z(P_n)$, z ufnością może temu B powierzyć ich losy. I w oczach jego w każdej, jakiegokolwiek sytuacji dobrze jest, jeśli B żywi życzliwość powszechną. Ocena egzystencjalna nie jest tu więc ograniczona jakimikolwiek warunkami. Zawsze dobrze jest być powszechnie życzliwym.

Ocena innych wzruszeń i dążeń, czy uczuć i dążności, jest pochodną tej oceny naczelnej. Dodatnio cenna jest miłość, przyjaźń, sympatia, miłosierdzie, litość, gotowość poświęcenia i wiele innych postaw, jeśli tylko nie stwarzają konfliktów i kolizji. Ujemnie cenna jest nienawiść, gniew, zazdrość, pogarda, pycha i wiele innych.

Ocena egzystencjalna wyznacza i wywołuje przeżycie dyrektywy, której treść jest normą. Z oceny moralnej tedy powstaje norma moralna; jedna prosta norma naczelna: „w oczach życzliwości, jaką ma A dla każdego P_n , każdy człowiek z kręgu $Z(P_n)$ winien być życzliwy dla każdego innego człowieka z tegoż kręgu“. Jest to sformułowane przed wiekami w Dekalogu przykazanie miłości bliźniego. Normy szczegółowe są tylko prostym zastosowaniem tej ogólnej normy; i mniej lub więcej łatwo jest wyprowadzić je z tamtej, przez odpowiednie podstawienie na zmienną. Trudno przy tym określić ogólnie, jakie normy pochodne należy wypowiadać wyraźnie. Chyba trzeba by wiedzieć, jakich uczuć i dążności brak danej epoce, a jakie trzeba w niej hamować. W czasach zdziwienia wojennego należy mówić ludziom wyraźnie, iż nie powinni zabijać i nienawidzić obłądnie; w okresach szybkiego narastania bogactw, iż nie powinni zazrościć; w czasach, gdy krzepnie dopiero więź rodzinna, iż powinni czcić ojca i matkę; a w dobie zepsucia obyczajów, iż nie należy rozwiązać pożądać. Istotnie też, w różnych czasach i krajach różne wskazania ryto na tablicach zakonu moralnego.

Takie normy, wraz z ich normą naczelną, to normy moralne stosunku bezpośredniego: regulują bezpośredni stosunek uczuciowy i zachowanie człowieka wobec człowieka.

Są też normy stosunku pośredniego. B może przynosić pożytek lub szkodę dla C, zachowując się tak lub inaczej wobec ludzi i rzeczy, temu C nieobojętnych. I to zachowanie więc chce uregulować życzliwość. Nie samo zachowanie osoby B wobec osoby D lub rzeczy R popiera lub potępia taka norma. Nie ma nic dobrego w tym samym, że B pozbywa się jakiejś rzeczy, bo raczej dobrze jest posiadać. Ale dobrze jest pozbyć się czegoś, by zwiększyć stan posiadania dla C. I nie jest złe samo przez się pożądać niewiastę, bo z pożądania takiego powstaje życie. Ale złe jest, gdy się pożąda niewiasty cudzej, bo z tego krzywda cudza

może powstać. Złe jest na ogół, gdy w dążeniu jakimś zadzierzga się węzeł konfliktu czy kolizji. Toteż normy stosunku pośredniego swymi zakazami starają się zapobiec powstawaniu takich węzłów. Takie zakazy, to normy ciasnoty świata. Ustala je również Dekalog mówiąc: „nie kradnij“, „nie pożądaj rzeczy cudzej, ani żony cudzej“.

Tu należą również normy, co na pierwszy rzut oka regulują takie zachowanie prywatne człowieka, które dotyczy tylko jego samego. Że B nie powinien się upijać, to może być normą indywidualnego systemu praktyki życiowej, poczętego z miłości dla własnego „ja“. Norma taka nie jest mocą definicji normą moralną. Lecz niech życzliwość powszechna spojrzy na pijaństwo tego B, jako na rzecz pośrednio szkodliwą dla C (dla żony tego B, jego dziecka, współobywatela), a ocena i norma stają się moralnymi. Jak widać, z samego rdzenia normy nie można rozpoznać, czy norma jest moralna. Trzeba do tego zwrotu relatywizującego, który wyraźnie wskazuje, że to życzliwość powszechna ocenia zachowanie tego B ze względu na co najmniej jedną jeszcze osobę C.

Tu należą również reguły umiaru, tak częste w systemach moralnych. Jest wiele uczuć i dążeń, dla których jest miejsce w świecie życzliwości powszechnej, byle im się nie poddawać bez umiaru. Ciasne granice świata nie pozwalają na to, by się one rozrastały bez granic. Takie są, na przykład, przyjemności stołu. Nie jest źle samo przez się rozkoszować się smakiem potraw i napojów. Złe jest tylko, gdy jedząc kosztownie odbiera się innym możliwość, by zasycili prosty głód.

Są wreszcie normy techniki moralnej. Życzliwość powszechna zaleca ludziom nie tylko żywić, lecz i praktykować życzliwość powszechną. Aby ją praktykować, trzeba pewnych czynności pomocniczych. Należy przede wszystkim żywo przedstawiać sobie i jak najbardziej wszechstronnie obejmować myślą wszelkie skutki, jakie dla różnych ludzi może przynieść rozważane przeżycie lub działanie. Na tym właśnie polega czujność moralna. Człowiek z wyobraźnią, wydaną a nie lękliwą, szybko rozsnuwa w myśli sieć radości lub cierpień, którymi jego bliźni zapłacą za jego przeżycia. Wygodnie jest nie mieć takiej wyobraźni, albo raczej: mieć wyobraźnię usługową, która nie stawia przed oczy tego, co może utrudnić sąd oceniający. To daje łagodną pogodę spożywania dóbr ziemskich i nie mąci uznania dla swej doskonałości. Niewygodnie natomiast jest mieć wyobraźnię przekorną, która zawsze, w każdej radości i w każdym pragnieniu, ukazuje cenę cierpienia, jaką za nie trzeba zapłacić. Taką właśnie wyobraźnię miewają wielcy asceci.

Aby praktykować życzliwość powszechną, trzeba też wczuwać się dobrane w cudze przeżycia. Kto nie ma żywego oddźwięku na nie, ten nie może dokonać tego globalnego rachunku szczęścia, bez którego nie masz oceny moralnej. Trzeba więc pielęgnować tę czułość moralną, by móc się kierować życzliwością.

Norma czujności i czułości, to tylko dwie spośród wielu norm techniki moralnej, o jakich będzie mowa poniżej, gdy rozważać będziemy te

cechy osobowości, które jej nadają wartość moralną. Na razie chcieliśmy tylko wyczerpująco wyliczyć rodzaje normy moralnej. Potocznie bowiem nie jest dość ostro wyznaczona granica między normami moralnymi a różnymi innymi. A to dlatego, że bywa iż norma, której źródło jest poza oceną moralną, uzyskuje ponadto nadzorczą, rzekłbym, aprobatę moralną. Normy doskonałości indywidualnych, na przykład, mają swe źródło w dążeniach, które miałyby pozycję również w świadomości izolowanej. Ale znajdują uznanie oceny moralnej, bo doskonałość indywidualna nieraz wychodzi na dobre innym ludziom. Robinson miał wytrwałość w swych dążeniach: przydała się ona bardzo, gdy znalazł się znowu wśród ludzi. Oszczędność również jest cechą, która cenna jest dla jednostki samotnej, a niemniej ceną czyni tę jednostkę w społeczności. Życzliwość powszechna pragnie właśnie, by w skład społeczności wchodziły jednostki z różnorakimi doskonałościami indywidualnymi.

Do norm, wtórnie mających aprobatę moralną należą wspomniane już reguły wszelkiego umiaru. Ciasnotę świata odczuwa już jednostka; i dla samej siebie wciąż rozwiązywać musi zadania na wyszukanie optimum. Rzadko zjawiają się w świadomości, a raczej w duszy i w ciele, pragnienia, które by całkiem były niebezpieczne dla szczęścia jednostki. Przeważnie mogą jej dać pewien aport szczęścia, jeśli tylko ich roszczenia nie przekroczą pewnych granic. Nie jest źle, w oczach miłości własnego „ja“, jeść smacznie, ale jest źle się przejadać. Nie jest źle używać ruchu, ale jest źle się przemęczać. U zwierząt niższych sama natura daje takie urządzenia instynktowne, że pragnienia sycą się tylko do granic potrzeby, a później same nikną. Człowiek natomiast musi sam wytyczać granice potrzebom: usta często chcą jeść więcej, niż potrzebuje żołądek. I dlatego człowiekowi potrzebne są reguły umiaru. Gdy z nimi wchodzi do życia społecznego, nie powiększa zbytnio ciasnoty świata.

Zespół wszystkich norm moralnych, to system moralny. Jest to jeden z możliwych systemów praktyki życiowej. Ogarnia on, jak widzieliśmy, łatwo normy innych systemów, ale nie jest wszechobjęmujący. Wiele jest spraw życia, które nie podlegają ocenie moralnej, choćby najbardziej docieklivej i przenikliwej. W ujęciu potocznym normy moralne chwiejnie są odgraniczone od innych i dlatego system moralny często zda się obejmować normy różnej bardzo struktury i różnego pochodzenia. Przekonamy się o tym w dalszych rozdziałach.

Normy moralne powstają z ocen naszego A, ale dotyczą zachowania B. B zachowuje się dodatnio lub ujemnie pod względem moralnym. I zależnie od tego ma, jak się to mówi potocznie, zdrową lub zepsutą moralność. Ten ostatni termin ma chwiejne znaczenie. Czasem zdaje się oznaczać system norm moralnych; czasem znowu ogół dyspozycji, które wyznaczają to zachowanie, co podpada pod ocenę moralną. Tutaj będziemy przez moralność osoby P rozumieli właśnie ten ogół, lub raczej splot dyspozycji. Pamiętać przy tym trzeba, że można sobie pomysleć świat, w którym P zachowuje się moralnie dodatnio, lub po prostu: moralnie, nie kierując się rozmyślnie normami moralnymi. P może mieć wiele przyjaznych uczuć dla każdego z tych, z którymi obcuje

z osobna; i może mieć zawsze na widoku dobro tych ludzi, nie powodując się życzliwością, świadomie powszechną.

Oczywista, tak być może tylko w świecie niewieloosobowym, gdzie miłość, sympatia, współczucie mogą spełniać równie dobrze, a nawet lepiej, zadania życzliwości powszechnej. Trzeba też, by w tym świecie nie było zbyt ciasno; i aby kolizje nie zadzierzgały się zbyt często również dzięki temu, iż pragnienia trzymają się z natury rzeczy wąskich granic. Taki mniej więcej bywa czasem świat małych grup rodzinnych, przenikniętych miłością, oraz małych grup sąsiedzkich. Tam praktykuje się moralność, nie myśląc o normach moralnych.

10. Sumienie. Rozważyliśmy naszą triadę oceny zakładając, że A, B i C są trzema różnymi osobami. Ale możliwe jest, że trzy rozróżnione tam przeżycia rozwijają się w świadomości dwóch osób lub nawet jednej.

Najważniejsze jest to, że jedną osobę P można oznaczać przez „A” i „B”. P doznaje wtedy jakiegoś dążenia lub wzruszenia wobec C i zarazem to przeżycie ocenia. Jest swoim sędzią i nadzorcą. A jest wtedy sumieniem osoby P. W mowie potocznej rozumiemy przez sumienie to A, nie w jego jednorazowej funkcji kontrolnej nad danym przeżyciem, lecz jako czynnik stały świadomości, który czuwa nad tym, co B przeżywa i ceni. Ponieważ to A często się przeciwstawia wzruszeniom i dążeniom, które się zjawiają w świadomości, i nie chce dzielić z nimi ich popędliwości i zaślepienia, przeto powstaje między nim, a tym samorzutnym prądem przeżyć, które oznaczamy przez „B”, stan napięcia taki, iż świadomość gotowa temu A przypisywać niemal samodzielną osobowość. Oczywiście, prostą nieostrożnością myśli jest taka hipostaza. To A co gani, potępia, pobłaża, a czasem chwali — to sumienie, inaczej, nie jest niczym innym, jak życzliwością, która stała się mocną i trwałą dyspozycją i na swój cel opanowała myśl i uwagę.

Pełni ona w świadomości w sposób ciągły. Gdy gani przeżycie przeszłe, wywołuje żal lub wstyd, który mać jasność wspomnienia o przeżyciu minionym, a osłabia na przyszłość pragnienie przeżyć podobnych. Alkoholik, któremu dokucza wyrzut sumienia, nie śmie myśleć o tym, jak przyjemnie mu było wczoraj delectować się winem i grażyć się powoli w nieuzasadnioną, ale głęboką radość. A jeśli sobie rozpamiętywać zacznie swój eksces, to mu się we wspomnieniu ukaże doznana przyjemność pomniejszona i odarta z uroku. Podobnie psuje sumienie zakazaną terażniejszą radość, odbierając bezpośrednio przeżyciu. Już pod kontrolą myśli, która analizuje poruszenie serca z obecnej chwili, słabnie ono i zostaje odarte z sił pędnych; więdnę nagle, kruszeje i znika, gdy na nie natrętnie rąta inne poruszenie serca, które je ocenia. Tak samo, nie może się rozwijać swobodnie pragnienie zwrócone w przyszłość, gdy je w swe kleszcze ujmie ocena potępiająca. Nie może ono wtedy z całą swobodą wyobraźni lubować się myślą o chwili swego zyczenia i tym samym wzmacniać swych sił pędnych. Zepchnięte na obrzeże świadomości, w niejasnych zarysach widzi swój cel i nie może przygotowywać roztropnie jego spełnienia. A czasem sumienie odważnie podej-

muje walkę i samo mu przed oczy stawia ten stan rzeczy, w którym się ma zasycić i zniknąć; oczywista, przedstawia tak, by się wydał niegodny pragnienia.

Sumienie chwali też czasem i a probuje: nie ma sposobności, by chwalić często istoty, tak źle przystosowane do ciasnoty swego świata jak ludzie. W tej aprobacie różna bywa siła pędna, zależna od osobowości człowieka. Czasem jest aprobata przeniknięta smutkiem, choć to przecież reakcja raczej radosna. Widocznie jest w niej myśl o tym, jak rzadkim jest wyjątkiem wśród licznych okazji karcenia. A może jest w niej skrupulatny niepokój o to, czy myśl ostatecznie sprawę sądzoną zbadała. W przeciwnym przypadku granicznym bywa uroczysta i nawet majestatyczna niemal, zwłaszcza, gdy jest przeznaczona na pokaz, co zresztą nie leży w samej jej naturze: jej mowa bowiem, głos sumienia, jest raczej cicha i wewnętrzna. Wtenczas zazwyczaj jest w niej jakaś przymieszka ufności w siebie, jaką daje miłość dla własnego „ja”. W przeżycie z natury odsiebne wślizguje się chyłkiem zadowolenie ze siebie. W każdym razie jednak, w swej średniej skali jest aprobata moralna źródłem sił pędnych, nie gwałtownych wprawdzie, lecz dających równą i spokojną energię oraz odwagę działania lub trwania w postawie przybranej.

Gdy „A” i „B” oznaczają tę samą osobę P, wówczas P ocenia swój własny stosunek do drugiej osoby. Jeśli „A” i „C” są znakami tego samego P, ocenia on stosunek drugiej osoby do siebie. Ocena i tu jest moralna pod wyraźnym warunkiem, że P nie powoduje się w pełni swą miłością dla własnego „ja”, lecz ją tonuje na poziom życzliwości powszechnej. Z tej oceny powstaje u P, w jego roli „C”, poczucie moralnego rozczenia, jeśli jeden tylko sposób zachowania naszego B jest najlepszy. P ma prawo oczekiwać, że B tak a nie inaczej się zachowa; i ma prawo dezaprobować zachowanie tego B, niezgodne z oczekiwaniem.

Jeśli „B” i „C” oznaczają tego samego P, A zaś jest drugą osobą, ocena nie jest moralna, o ile na jej widnokregu nie ma jeszcze jednej osoby. A bowiem ocenia stosunek niespoleczny, a taka ocena mocą definicji nie jest moralna. Obojętna to moralnie rzecz, czy P troszczy się o swój apetyt, albo swoją umiejętność pływania. Chyba, że jego zdrowie cenne jest dla D i że je pielęgnuje z myślą o nim. Ale wtedy zmienia się, jak już mówiliśmy powyżej, przedmiot oceny.

To samo zachodzi w przypadku granicznym, gdy ten sam P występuje we wszystkich trzech rolach. Ocena taka jest moralna tylko wtedy, gdy P w swej roli „B” ma na względzie drugą osobę. Jeśli więc P potępia to, że sobie pozwala być smakoszem, to ocenia moralnie, o ile widzi w tej chwili, że jego smakoszostwo wyrządza komuś krzywdę. Ale wówczas potępia właściwie to, że sobie pozwala krzywdzić swym smakoszostwem innego człowieka. W obu więc ostatnich przypadkach tylko pozornie wygląda na to, iż ocena moralna może się zajmować stosunkiem człowieka do niego samego. Dokładnie wysłowiona, ujawnia, że jest tam w grze i druga osoba. Jest tak nawet i w tym przypadku, gdzie P potępia własne zachowanie w stosunku do siebie z wyraźną myślą, iż tak samo dezaprobowałby własne lub cudze zachowanie wobec dowolnej osoby

z kręgu swej życzliwości. W polu widzenia takiej oceny jest, dokładnie biorąc, nie tylko sam P, lecz i każda osoba z tego kręgu. Nikogo nie należy okłamywać, powiedzmy; a więc nie należy też okłamywać samego siebie. Nie należy też zabijać nikogo, a więc i siebie.

Gdzie ta sama osoba występuje w dwóch rolach „A“ i „B“, tam łatwo może powstać dalsze „n a w a r s t w i a n i e“ p r z e ż y ć. A mianowicie, łatwo zjawić się może osoba D oceniając to, że A zajmuje postawę p_a wobec B, który zajmuje postawę p wobec C, który z kolei przeżywa p_c . Wówczas D ocenia i przeżycie p_a i p_b , osoby P; ocenia nie tylko postawę tego P wobec C, lecz i reakcję jego sumienia na tę postawę. W życiu społecznym nieraz stajemy w pozycji tego D i badamy, w jakim stopniu życzliwość powszechna, którą żywi P, kontroluje jego zachowanie wobec bliźnich. W takiej roli występuje zwłaszcza społecznik, który roztrząsa nie tylko czyny i poruszenia serca, ale ocenia też i to, jak sumienie człowieka potrafi sprawować nad nimi władzę nadzorczą. Choć więc sztuczne wydaje się na pierwszy rzut oka te cztero-poziomowe spiętrzenie przeżyć, jest ono przecież schematem, który życie wciąż wypełnia treścią pulsującą. I oczywista ocena osoby D jest też moralna, jeśli wypływa z życzliwości powszechniej. Nie różni się ona w sposób istotny od oceny trzeciego poziomu, chyba tym, że obejmuje nie jedno przeżycie p_b , lecz i p_a . Ale to są dwie oceny różne, gdy A jest różny od B, albo oceny tej samej osoby P w dwóch różnych jej rolach. W drugim przypadku tetrada osób znów staje się triadą; i uwidoczni się szczególnie dobitnie, że ocena moralna jest nie tylko oceną przeżyć, lecz i osoby, która przeżywa. O tym będzie mowa, gdy sobie wyjaśnimy dokładnie strukturę osobowości.

Adam Schaff

Zasada sprzeczności w świetle logiki dialektycznej

Dialektyka jest konsekwentną teorią rozwoju. Jako taka posiada, naturalnie, punkty styczne z tradycyjną teorią ewolucji. Wbrew rozpowszechnionej opinii, że dialektyka jest zaprzeczeniem tradycyjnej teorii ewolucji, zdanie to jest tylko częściowo słuszne. Tradycyjna teoria ewolucji, ujmując podobnie jak dialektyka rzeczywistość dynamicznie, w wiecznym ruchu i rozwoju, musi zarazem ujmować rzeczy i zjawiska w ich wzajemnym związku i wzajemnym uwarunkowaniu. Te podstawowe założenia są więc wspólne i dialektyce i tradycyjnej teorii ewolucji, co pozwala nam traktować dialektykę jako szczególnego rodzaju teorię ewolucji.

Różnice, istniejące między obiema koncepcjami rozwoju, wychodzą na jaw dopiero wtedy, gdy zaczynamy zgłębiać zagadnienie genezy i dróg rozwoju. Odnosnie do pierwszego problemu różnica zdań między dialektyką i tradycyjną teorią ewolucji da się sprowadzić do zagadnienia ciągłości względnie ciągłości rozwoju. Dowodząc, iż różnice jakościowe posiadają byt obiektywny i nie dadzą się po prostu sprowadzić do zmian ilościowych, dialektyka wysuwa przekonujące argumenty za prawdziwością sformułowanego przez nią prawa przechodzenia ilości w jakość. Konsekwencją wypływającą z tego prawa, jest koncepcja skokowego, rewolucyjnego, nieciągłego charakteru rozwoju. Ten też moment, wobec faktu, że przeciwstawia się pojęciu absolutnej ciągłości rozwoju, właściwemu tradycyjnej teorii ewolucji, uchodzi za najistotniejszą cechę dialektycznej teorii rozwoju. Charakteryzuje się też dialektykę, w przeciwieństwie do teorii ewolucji, jako rewolucyjną teorię rozwoju.

Niewątpliwie, sposób rozwiązania omówionego wyżej zagadnienia wyraźnie różni obie koncepcje rozwoju. Ale bynajmniej nie ten problem jest kamieniem obrazu dla przeciwników dialektyki. Ostatecznie przecież na ogół panuje zgoda co do tego, że (w ten lub inny sposób) to, co nazywamy „jakością” posiada określony sens, i że istnieją w pewnym rozumieniu różnice jakościowe. Wobec tego, mimo iż rewolucyjny charakter prawa

przechodzenia ilości w jakość wywołuje pewne opory dzięki swemu wydzwękowi społecznemu, nie ono stanowi główną trudność w zrozumieniu dialektyki. Właściwa trudność zaczyna się tam, gdzie dochodzimy do sedna dialektyki — do prawa jedności i walki przeciwieństw.

W tradycyjnej teorii ewolucji problem genezy ruchu i rozwoju jest potraktowany po macoszemu. Teoria ta zajmowała się głównie opisem ruchu, nie zaś jego źródłem, czy siłami napędowymi. Zagadnienie genezy rozwoju i jego sił napędowych należy do rzędu najtrudniejszych i dlatego też nie jest dziełem przypadku, że albo się je w ogóle przemilcza, albo apeluje do pomocy z zewnątrz, do jakiegoś „pierwszego impulsu“ (Newton), co prowadzi nieuchronnie do fideizmu. Ścisłe naukowa koncepcja, która stawia sobie za cel zbadanie prawidłowości panującej w przyrodzie i wyjaśnienie zasad jej rozwoju, bez uciekania się do pomocy czynników nadprzyrodzonych, musi wyjaśnić genezę ruchu i rozwoju we własnym zakresie, własnymi siłami przyrody. To właśnie zadanie rozwiązuje dialektyczne prawo jedności i walki przeciwieństw; w związku z tym rozwiązaniem dialektyka popada jednak w konflikt z największą potęgą, ciężącą nad naszym umysłem — potęgą tradycyjnego sposobu myślenia.

Często słyszy się zdanie, że właściwie nie wiadomo, co to jest ta dialektyka; przy tym wygłaszający to zdanie ludzie bynajmniej nie chcą powiedzieć, że nie są im znane zasady dialektyki — gdyż są one im znane — ale po prostu, że dialektyka to absurd. Ten ostry sąd o dialektyce wypływa zaś zwyczajnie z błędnej oceny prawa jedności i walki przeciwieństw, które wygląda na sprzeczne z tzw. zasadniczymi prawami myślenia, względnie podstawowymi założeniami logiki (princ. identitatis, contradictionis et exclusi tertii). Ponieważ idzie tu nie tylko o argumentację naukową, ale i o momenty natury psychologicznej, wywołujące główne trudności, musimy najpierw rozprawić się z tymi ostaniami.

Zacznijmy od wyraziście ilustrującej sytuację analogii historycznej. Dziś każde dziecko, uczęszczające do szkoły powszechnej, wie, że ziemia jest okrągła i że obraca się dookoła słońca. Dlaczego tak jest i jak to się odbywa młody uczeń (a często i starsi ludzie) wyjaśnić nie potrafią. Wie jednak, że tak jest, jest o tym przekonany i będzie gorąco zwalczał koncepcje, przedstawiające ziemię np. jako płaską tarczę, albo odmawiającej jej ruchu. A trzysta lat temu zwolennicy teorii Kopernika byli ścigani przez inkwizycję; ich koncepcje były uznane za absurd nie tylko dlatego, że przeczyły argumentom kościoła, ale i dlatego, że przeczyły tzw. zdrowemu rozsądkowi. Gdy się ogląda dziś ilustracje z owego okresu, które miały świadczyć o absurdalności teorii Kopernika, gdy się ogląda kulę z figurkami, umieszczonymi w czterech jej punktach i widzi się, że człowiek na antypodach chodzi głową na dół, a ludzie na bokach utrzymują się w stanie dziwacznej równowagi, to ten nasz tzw. zdrowy rozsądek ma nawet i dziś twardy orzech do zgryzienia. I gdy obecnie ten sam zdrowy rozsądek tak bardzo buntuje się przeciw zasadzie jedności przeciwieństw, przeciw zasadzie myślenia kategoriami „i — i“, a nie tylko „albo — albo“, to należy pamiętać, że w swoim czasie w nie mniejszym stopniu buntował się przeciw teorii Kopernika i nie mniejsze przytaczał

przeciw niej racje, aniżeli dziś przeciw dialektyce. A jednak okazało się, że prawdy bronił Kopernik nie zaś zdrowy rozsądek i że w ogóle jest bardzo ryzykowne ufać mu na ślepo. W swoim czasie Engels wskazywał na to, że zdrowy rozsądek może się przydać na domowy użytek, ale zachynają się z nim dzieła dziwne rzeczy, gdy puszcza się na szersze wody. I o tym musimy pamiętać, przystępując do analizy prawa dialektyki o jedności i walce przeciwieństw. Nie ulega wątpliwości, że przeczy ono temu, do czegośmy przywykli, że przemawia przeciw niemu tradycja i zdrowy rozsądek. Ale historia uczy, że nie są to momenty decydujące i ostatecznie przesądzające sprawę. Dlatego też jeśli nie chcemy odciąć sobie drogi od naukowej analizy zagadnienia powinniśmy dojść do istoty działających w nas oporów psychicznych, wznieść się ponad nie, wreszcie na zimno rozważyć argumenty, przemawiające pro i contra omawianej teorii.

Dalszą przeszkodą w przyswojeniu sobie zasady jedności przeciwieństw stanowi fakt utożsamienia dialektyki z dialektyką heglowską. Nie tu jest miejsce na szersze omawianie sprawy stosunku dialektyki marksistowskiej do heglowskiej. Nie ulega wątpliwości, że genetycznie dialektyka materialistyczna Marksa wywodzi się z dialektycznej metody Hegla. Łączą je nie tylko więzi genetyczne, ale i wspólna terminologia oraz pokrewieństwo sposobu myślenia. Te podobieństwa są przyczyną, dla której zwłaszcza niewtajemniczeni w tajniki historii filozofii oraz w zasady systemu marksistowskiego chętnie stawiają znak równości między dialektyką Marksa i Hegla. W ten sposób odium, związane ze spekulatywną i mistyczną dialektyką samorozwijającej się myśli u Hegla, zostaje całkowicie przeniesione na marksistowską dialektykę. To przetransplantowanie ujemnego stosunku jest jednak zupełnie nieuzasadnione. Materialistyczna dialektyka Marksa jest bowiem, jak to stwierdził jej twórca, przeciwieństwem idealistycznej dialektyki Hegla, która została „postawiona z głowy na nogi“ w systemie marksizmu. Tak więc, gdy mówimy o zasadach marksistowskiej dialektyki, musimy pamiętać, że są to prawa różne od heglowskich i że nie wolno nam przenosić po prostu oceny jednych na drugie.

Prawo jedności i walki przeciwieństw jest próbą dialektycznego wytłumaczenia genezy ruchu i rozwoju. Jak zobaczymy w dalszym ciągu, dialektyka widzi w walce wewnętrznych przeciwieństw, tkwiących w każdej rzeczy i zjawisku, siłę napędową rozwoju (dokładniej mówiąc: samorozwoju). Prawo to — zarówno dzięki swej treści, jak również z racji jaskrawego kontrastu między nim, a założeniami tradycyjnej logiki formalnej — uchodzi za sedno dialektyki. Szczególnie wysoko cenili wartość poznawczą tego prawa Lenin, który teoretycznie je pogłębił i uzasadnił i niejednokrotnie dawał wyraz znaczeniu, które z nim wiązał.

„We właściwym znaczeniu — czytamy u Lenina — dialektyka jest poznaniem sprzeczności w — samej istocie przedmiotów“ (...*)

*) Lenin: Filozofskie tetradi, str. 263.

„Pokrótce można określić dialektykę — czytamy w innym miejscu — jako naukę o jedności przeciwieństw“*)

Zacznijmy od rozważenia istoty interesującego nas sporu.

Wydaje się oczywiste i od czasów Arystotelesa stało się w nauce dogmatem, że dwa sądy sprzeczne (tzn. sądy, z których temu, co jeden twierdzi, drugi zaprzecza) nie mogą być jednocześnie prawdziwe. Odwrotną stroną tego twierdzenia jest teza, że jeden z tych sądów musi być prawdziwy. A więc np. ciało nie może się jednocześnie znajdować i nie znajdować w jednym i tym samym miejscu, w jednym i tym samym czasie. Z tego zaś bezpośrednio wynika, że ciało albo się znajduje, albo się nie znajduje w danym miejscu, w danym czasie; trzeciej możliwości nie ma.

Otóż przeciw temu dogmatowi tradycyjnej logiki, który wydaje się niezbity i sam przez się oczywisty dla naszego myślenia, występuje dialektyka, twierdząc, że dwa sądy sprzeczne mogą być jednocześnie prawdziwe, gdy stanowią odbicie rzeczywistości, zawierającej w sobie przeciwieństwa; konsekwencją zaś tego twierdzenia dialektyki jest dalsza teza, a mianowicie, że nasze myślenie nie musi się kierować zasadą „albo-albo“, lecz może w określonych wypadkach kierować się zasadą „i—i“. A więc, wedle dialektyki, ciało w ruchu w danym momencie i znajduje się w danym miejscu i nie znajduje się w nim (a tym samym będą prawdziwe sprzeczne sądy). W konsekwencji, wedle dialektyki, nie można twierdzić, że dane ciało albo się znajduje w danym miejscu, albo się w nim nie znajduje, należy natomiast twierdzić, że ono i znajduje się i nie znajduje się w tym miejscu.

Z punktu widzenia naszego ujmowania rzeczywistości i zasad myślenia, dialektyka stanowi w porównaniu z tradycyjnym sposobem myślenia przewrót bodajże głębszy aniżeli system Kopernika w porównaniu z poprzedzającą go hipotezą kosmologiczną. Przewrót spowodowany w naszym myśleniu przez Kopernika dotyczył bowiem tylko zagadnień układu słonecznego, a problem poruszony przez dialektykę jest znacznie ogólniejszy i dotyczy podstaw naszego myślenia, podstaw naszego poglądu na całą rzeczywistość. I stąd też nie dziwota, że nowy punkt widzenia napotyka na tak poważne opory ze strony tradycyjnego sposobu myślenia. Siła tradycji, inercja myśli uniemożliwiały niegdyś ludziom zrozumienie tak prostego dziś dla wszystkich faktu, że ziemia jest okrągła; podobnie i wiele rzeczy, które wydają się nam dzisiaj dziwne, albo wręcz niemożliwe, być może w niedalekiej przyszłości staną się dla ludzi wychowanych w nowych tradycjach równie oczywiste, jak dla nas system Kopernika. Obecnie znajdujemy się w okresie odwalania gruzu tradycji. A najsukuczniejszą w takich wypadkach metodą jest odwołanie się do faktów, do doświadczenia.

Dla uniknięcia ewentualnego nieporozumienia należy podkreślić następujący moment.

*) Lenin, Op. cit., str. 213.

W dalszym ciągu nasze rozumowanie opierać się będzie na konfrontacji zasad logicznych z faktami doświadczenia. Z punktu widzenia logiki formalnej można by wysunąć zastrzeżenie, że dyskusja została w ten sposób zepchnięta na niewłaściwe tory. Logika formalna zajmuje się bowiem tylko formalną stroną procesów myślowych i sprawa powiązania z rzeczywistością nie ma dla niej znaczenia; dlatego też dowody z tej dziedziny zaczerpnięte leżą na zupełnie innej płaszczyźnie aniżeli zainteresowania i przedmiot logiki formalnej.*)

Logika formalna uważa oddzielenie badania formalnej strony rozumowania od badania jego treści za swój sukces. Ten proces wyodrębnienia strony formalnej został zakończony w logice matematycznej: Stąd też ewentualna opozycja przeciw sprowadzaniu sporu na grunt ontologii.

Tego rodzaju zarzut jest jednak, mimo pozorów, niesłuszny. Nie możemy w tym miejscu szerzej omówić zagadnienia stosunku formy do treści w badaniach logicznych. Jest to problem, sięgający do definicji istoty logiki i jej zadań, który wykracza poza ramy naszego tematu. Zakładając jednak, że stanowisko logiki formalnej odnośnie do jej przedmiotu jest słuszne, nie twierdzimy tym bynajmniej, że systemy logiczne są zupełnie oderwane od rzeczywistości. Sformalizowany system logiki matematycznej jest systemem symboli, który służy nam jako narzędzie pomocnicze, jako środek techniczny w naszym myśleniu. Pozornie zajmuje się on tylko „samą myślą“, tylko „zgodnością myśli samej z sobą“. Ale faktycznie, by spełnić swe zadanie środka technicznego, system taki musi pomagać nam w poznawaniu rzeczywistości. Inaczej bowiem byłby on tylko zabawką myślową bez żadnego znaczenia; nie ma zresztą autora, który by postulował taką rolę logiki. Ale, by móc pomagać w myśleniu jako środek techniczny, zasady systemu logicznego muszą być zgodne z badaną rzeczywistością. Ta zgodność ujawnia się normalnie pośrednio; ogniwem pośredniczącym jest tu świat pojęć danej konkretnej nauki, do której stosuje się zasady logiki, a za jego pośrednictwem są one konfrontowane z realną rzeczywistością. Taką zgodność zasad logiki z rzeczywistością nie przeczy zadaniom, które stawia przed sobą logika formalna i przeciw takiemu jej pojmowaniu nie może walczyć nawet skrajny zwolennik logiki formalnej, jeśli poważnie pojmuje jej zadania.

Zanim więc przejdziemy do ogólnych zasad i praw przyjrzymy się faktom. Każda teoria tak długo nas zadowala, jak długo nie stykamy się z faktami, nie dającymi się pomieścić w jej ramach. gdy takie fakty zostaną odkryte, należy daną teorię uważać za niewystarczającą. Wobec tego, że zastaną teorią, na której opiera się nasze myślenie, jest teoria tradycyjnej logiki z jej prawem sprzeczności i wyłączonego środka, należy zacząć analizę od zbadania, czy można by się powołać na fakty przeczące tej te-

*) Dla zilustrowania tego stanowiska zacytujemy autora jednego z poważnych podręczników logiki formalnej ostatniej doby — Jørgensena: „Logika formalna nie ma więc w zasadzie do czynienia ze stosunkiem między myślą i rzeczywistością, lecz tylko z samą myślą. Ona bada jedynie, jakie warunki są konieczne w tym celu, byśmy mogli na podstawie określonych przesłanek dojść do wniosków, które byłyby równie „słuszne“ lub prawdziwe jak same przesłanki...“ (Jøregn-Jørgenson: A treatise of formal, logic, V. I. p. 3),

orii. Od tego też zaczyna konsekwentnie swój atak dialektyka, wysuwając jako główny atut te fakty, które nie dadzą się pomieścić i wytłumaczyć w ramach koncepcji logiki formalnej.

Zasada sprzeczności i wyłączonego środka, jak już na to wskazaliśmy i jak to jeszcze w dalszym ciągu szerzej omówimy, są organicznie ze sobą powiązane, stanowiąc faktycznie dwie strony jednego i tego samego zagadnienia. Dlatego też atak dialektyki przeciwko koncepcji tradycyjnej logiki, wybierający za punkt głównego natarcia zasadę wyłączonego środka, jest tym samym skierowany przeciw zasadzie sprzeczności. Przeciwno zastanowieniu sposobowi myślenia, utrwalonemu przez tradycyjną logikę w pewnik, że coś może tylko albo być, albo nie być, dialektyka wysuwa jako argument zjawiska ruchu.

„Dopóki rozpatrujemy rzeczy w stanie spoczynku i martwoty — pisze Engels — każdą dla siebie, obok siebie i po sobie, nie napotykamy w nich oczywiście na żadne sprzeczności... Ale zupełnie inaczej się dzieje, gdy zaczynamy rozpatrywać rzeczy w ich ruchu, w ich zmianie, w ich życiu, w ich wzajemnym wpływie na siebie. Wówczas natykamy się natychmiast na sprzeczności. Sam ruch jest sprzecznością; nawet prosta mechaniczna zmiana miejsca może nastąpić tylko w ten sposób, że ciało w jednym i tym samym momencie znajduje się w jednym miejscu i w tym samym czasie znajduje się w innym miejscu, znajduje się w jednym i tym samym miejscu i nie znajduje się w nim“^{*)}.

Nie ulega wątpliwości, że nasz tradycyjny sposób myślenia zaczyna ujawniać poważne luki, gdy przystępujemy do analizy jakiegokolwiek zjawiska stawania się. Czy to będzie zjawisko ruchu mechanicznego, czy np. problem stawania się płodu żywym organizmem w łonie matki (znany problem jurydyczny, kiedy usunięcie płodu jest dzieciobójstwem), czy też zjawisko utraty pewnych właściwości, np. agonii, w każdym z tych wypadków, jeśli myślenie będzie dążyć do uchwycenia ruchu, zmian, tradycyjne ramy myślenia kategoriami „albo — albo“ okazują się zbyt wąskie. Rzeczywistość zmusza nas do myślenia wedle kategorii „i — i“.

W ten sposób wszystkie zjawiska ruchu, zmiany, stanowią pierwszą klasę faktów, którą musimy wziąć bliżej pod uwagę, rozstrzygając spór tradycyjnej logiki i dialektyki o ich podstawowe zasady.

Po tej samej właściwie linii idą argumenty, związane z drugą klasą faktów, wysuwanych przez dialektykę jako dowód ograniczonego charakteru tradycyjnego sposobu myślenia i formułującej jego zasady tradycyjnej logiki. Z zasady myślenia kategoriami „albo — albo“ wynika bowiem nie tylko, że nie mogą współistnieć w jednej całości przeciwieństwa i co z tego wynika, że nie mogą być jednocześnie prawdziwe będące ich sformułowaniem sądy sprzeczne, lecz także i to, że przeciwieństwa te są biegunami, między którymi nie ma przejścia. Z interesującego nas punktu widzenia rozróżnianie między sprzecznością (czarne i nie-czarne), a stosunkiem kontrastu (czarne — białe) nie posiada znaczenia, gdyż ten

*) Fr. Engels — Anti-Dühring, tłum. ros. 1931, str. 109.

ostatni zawiera w sobie implicite i sprzeczność (białe jest nie-czarne). Otóż, przystępując do analizy zjawisk dynamicznych, znajdujących się w ruchu, rozwijających się, widzimy, że izolowanie biegunów przeciwstawności (to, co sprawiedliwe nie może być niesprawiedliwe) jest również ograniczonością tradycyjnego sposobu myślenia. Zasada „*summum ius est summa iniuria*“ będzie dla nas symbolem tej klasy faktów, które mówią o tym, iż wbrew twierdzeniom tradycyjnej logiki i zastanego sposobu myślenia przeciwieństwa są ze sobą powiązane, rozwijają się i wzajem w siebie przechodzą, co świadczy o niesłuszności sztucznej ich izolacji. Jest to, rzecz oczywista, inne zagadnienie, aniżeli przysługiwanie przeciwnych właściwości temu samemu obiektowi, ale i ono naświetla w pewien sposób analizowaną zasadę.

Przecież wreszcie klasa faktów, którą posługuje się dialektyka w swej walce przeciw tradycyjnej logice, to te fakty realnej rzeczywistości (rzeczy i zjawiska), które zawierają wewnętrzną sprzeczność, stanowiąc jedność przeciwieństw. Bogatym źródłem takich faktów jest przyroda stanowiąca wedle słów Engelsa kamień probierczy dialektyki. Tu właśnie znajdujemy szereg faktów, które w sposób nieulegający wątpliwości wykraczają poza ramy tradycyjnego sposobu myślenia.

Interesują nas rzeczy i zjawiska, które zawierają wewnętrzną sprzeczność, tzn. odnośnie do których są możliwe dwa prawdziwe sądy sprzeczne (twierdzący i przeczący). Tak np. najnowsze teorie, dotyczące struktury materii (teoria de Broglie) wykazały, że pewne zjawiska ruchu materii tylko wtedy stają się zrozumiałe, gdy rozpatrujemy ją jednocześnie i jako cząsteczkę i jako wiązkę fal. Okazuje się, że materia jest jednocześnie czymś, co posiada masę i co jest tej masy pozbawione. Twierdzenie to pozostaje zresztą w zgodzie z innymi danymi teoretycznymi, świadczącymi o przechodzeniu energii w masę i odwrotnie (teoria Einsteina). Podobnie przedstawia się sprawa z fotonem, który również jest jednocześnie korpuskułą i falą.

Aby rozpocząć analizę przytoczonych przez nas faktów i zbadać, która teoria — dialektyczna, czy tradycyjna, formalno-logiczna — jest lepszym ich uogólnieniem, musimy w pierwszym rzędzie określić granice tradycyjnego, zastanego sposobu myślenia, w których miałyby się pomieścić omówione wyżej fakty. Dopiero bowiem, gdyby się okazało, że są one istotnie zbyt wąskie, miałoby sens twierdzenie o fałszywości danej koncepcji i konieczności zastąpienia jej przez inną.

Poruszony przez nas problem wchodzi w zakres logik. Musimy w tym miejscu porzucić na tak ogólnikowym umiejscowieniu zagadnienia, gdyż w przeciwnym wypadku, podając bliższe określenie logiki, stanęlibyśmy na gruncie jednej z wielu istniejących logik, rozbijając tym samym jedność, której się dorozumiewamy pod wspólną nazwą. Jest rzeczą ciekawą i przez wszystkich logików zgodnie podkreślaną, że jedna z najstarszych i najściślejszych gałęzi nauki, jaką jest logika jest zarazem jedną z najstąbiej uzgodnionych jej dyscyplin. Nie ma po dziś dzień zgodności ani co do definicji, ani co do celów i zadań, ani co do metody logiki. Wystarczy przypatrzeć się pracom takich autorów jak Lipps, Cohen,

Husserl, Hegel i powiedzmy Russell, aby uprzytomnić sobie, że trudno w ogóle powiedzieć, co to jest logika. Ale przy tych wszystkich, nieraz głębokich różnicach, jakie istniały pomiędzy poszczególnymi systemami, całą dotychczasową logikę, którą nazywamy ogólnie tradycyjną (a którą w terminologii marksistowskiej nazywają metafizyczną), cechuje oparcie się o tzw. zasady lub pewniki logiki, nazywane przez kierunek psychologiczny podstawowymi prawami myślenia. Nas interesują tu trzy z nich, a mianowicie: principium identitatis, contradictionis i exclusi tertii. Te organicznie powiązane, nawzajem ze siebie wynikające zasady, przyjmuje się za podstawę całej tradycyjnej logiki.*) Nie stanowi w tym względzie zasadniczej różnicy, czy dany system przyjmuje wzmiankowane zasady świadomie jako podstawę swych konstrukcji, czy uznaje je milcząco, bądź też wysnuwa je jako wniosek z przyjętych aksjomatów. Jest niezaprzeczalnym faktem, że prócz „logiki sprzeczności“ — jak nazwał dialektykę Plechanow — jedynie tzw. logika wielowartościowa zawiera w sobie elementy odstępstwa od tradycyjnych zasad względnie pewników logicznych. Ale logikę wielowartościową, niewątpliwie posiadającą ciekawe możliwości, ogranicza jej punkt wyjścia do roli dowolnej konstrukcji logicznej, oderwanej od obiektywnej rzeczywistości, nieświadomej swego związku z jej prawidłowościami. I dlatego też, rejestrując fakt próby zajęcia nowego stanowiska przez współczesną logikę, możemy w dalszym ciągu podtrzymywać twierdzenie, że prócz logiki dialektycznej cała dotychczasowa logika stała na stanowisku prawa sprzeczności i związanych z nim zasad.

*) Przez logikę tradycyjną rozumiemy te systemy logiki, które w ten lub inny sposób akceptowały tzw. „zasadnicze prawa myślenia“ jako swoją podstawę. Przed pojawieniem się logiki matematycznej wszystkie systemy logiki prócz dialektycznej *expressis verbis* uznają te zasady. Z chwilą pojawienia się logiki matematycznej, a zwłaszcza logistyki we współczesnym tego słowa znaczeniu, zaszła zmiana w tym kierunku, że tzw. podstawowe prawa myślenia nie koniecznie musiały być uznane za aksjomaty systemu, a raczej za takie uznawane nie były (por. np. Kotarbiński: *Elementy*, str. 220 — 222, o „tak zwanych najwyższych prawach myślenia“ jako o „pseudoaksjomatach“). Aksjomaty były jednak tak dobierane, że prawa te z nich wypływały. I nawet w systemach logistyki, o ile stoją one na stanowisku dwuwartościowości, te prawa zachowują pełny swój walor. Tak np. Łukasiewicz, który posiada bodajże największe zasługi w ich podważeniu dzięki swym rozważaniom, poświęconym logice wielowartościowej oraz dzięki swej pracy o zasadzie sprzeczności u Arystotelesa — pisze:

„U podstaw logiki, którą się posługujemy, leży założenie, że każde zdanie posiada zawsze jedną i tylko jedną z dwóch wartości logicznych: fałszu, lub prawdy. Założenie to nie jest zazwyczaj sformułowane *explicite*, jest jednak podstawowym założeniem logiki. Ta zasada **dwuwartościowości** naszej logiki odpowiada zasadzie sprzeczności i wyłącznego środka, rozumianym w ten sposób: żadne zdanie nie jest zarazem prawdziwe i fałszywe (zasada sprzeczności) i każde zdanie jest prawdziwe lub fałszywe (zasada wyłącznego środka). W tym sensie zasady te mogą uchodzić za podstawowe prawa logiki“. Łukasiewicz: *Elementy logiki matematycznej*, 1929, str. 115).

Dokładne rozpatrzenie, zanalizowane i ocena tzw. pewników logicznych zawiodłaby nas zbyt daleko. Jest to zadanie, wymagające obszernej monografii. Konieczne jest wszakże dla realizacji naszego zadania, mianowicie dla zbadania, czy wzmiankowane przez nas fakty dadzą się pomieścić w ramach teorii tradycyjnej logiki i czy są w tych ramach wytłumaczalne, pobieżne chociażby naszkicowanie podstawowych jej założeń i zanalizowanie możliwości wytłumaczenia na ich podstawie realnej rzeczywistości w porównaniu z odpowiednimi możliwościami dialektyki.

Nie ulega wątpliwości, że autorytet Arystotelesa, podkreślony i uwypuklony w okresie średniowiecza, w poważnym stopniu zaciążył nad losami sformułowanej przez niego zasady sprzeczności, pomagając do jej przekształcenia w dogmat. Podkreślaliśmy już wyżej wybitną rolę tradycji w oporze przeciw zasadom dialektyki. Jest to tym ciekawsze, że tradycja ta została oparta na Arystotelesie, wbrew samemu Arystotelesowi, który, jak pięknie wykazał Łukasiewicz w swej stanowczo niedocenionej u nas pracy „O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa“, sam bynajmniej nie był przekonany o aksjomatycznym charakterze swej zasady, mimo, iż mówił o niej jako o „najsolidniejszej z zasad“. Sprawa polegała na tym, że średniowieczna tradycja uśmierciła to, co było żywe i silne u Arystotelesa — jego umiarkowanie, będące wyrazem poszukiwania prawdy — a zastąpiła ją absolutnymi twierdzeniami, które legły u podstaw tradycyjnego sposobu myślenia, ujmującego zjawiska w bezruchu i martwocie.

Jakkolwiekby się sprawa historycznie przedstawiała, zostało ogólnie przyjęte, że zasada tożsamości (princ. identitatis), sprzeczności (princ. contradictionis) oraz wyłączonego środka (pr. exclusi tertii) są pewnikami i dzięki swej oczywistości nie wymagają żadnego dowodu. Łączne występowanie tych zasad, jak to już zaznaczyliśmy, nie jest rzeczą przypadku, gdyż przyjmując jedną z nich musi się przyjąć i pozostałe. Wszystkie bowiem wzajem są sobie formalnie równoważne, jako że są różnymi sformułowaniami jednej i samej zasady podstawowej — zasady sprzeczności.

Jak jednakże te zasady tłumaczą przytoczone przez nas fakty?

Zasada tożsamości odgrywa tu najmniejszą rolę. U różnych autorów, zajmujących zresztą rozmaite stanowisko wobec podstawowych problemów logiki, spotykamy się ze zgodną niską oceną poznawczej wartości tzw. principium identitatis, głoszącego, że $A = A$ (niezależnie do tego, czy rozumiemy je jako identyczność pojęć, czy też sądów). Nie można nie zgodzić z Heglem, który w swej „Nauce logiki“ uważa tę zasadę za tautologię. Bo rzeczywiście, jakie znaczenie posiada prawo, które prowadzi, że drzewo jest drzewem, a stół jest stołem. Gdy powiadamy, że „drzewo jest drzewem...“ oczekujemy zawsze w orzeczeniu nowego określenia; tylko posiadanie wartości poznawczej. Hegel słusznie też wykazuje, że tożsamość ma tylko taka tożsamość, która zawiera w sobie różnicę i prowadzi do tautologii.

Właśnie dlatego, że nie chcemy, aby tożsamość $A = A$ nadajemy inny sens, nie możemy jej interpretować, nie możemy jej przyjąć jako zasady niezmienności rzeczy.

(Należy zaznaczyć, że formalnie rzecz biorąc logika zasady tożsamości w tym sensie nie większa; sens ten wypływa jednak z interpretacji zasady) $A = A$ oznaczałoby wówczas zaprzeczenie wszelkiego ruchu, zmian i rozwoju. Umiarkowane interpretowanie tej zasady w duchu nie tożsamości, lecz takożsamości, tzn. rozumienie jej w tym sensie, że mimo zmian szeregu właściwości mamy jednak do czynienia z określoną jednością (np. Jan dwudziestoletni i tenże Jan pięćdziesięcioletni) również nie wykazuje, iż jednocześnie $A = A$ i $A \neq A$. Interpretacja princ. indentitatis jako zasady niezmienności, bezruchu nie jest wcale dowolna. Łączy się ona organicznie z tym, że, jak to dalej wykażemy, tzw. podstawowe założenia logiki są założeniami statycznej koncepcji rzeczywistości, opierają się o ujęcie rzeczywistości w bezruchu, a poszczególnych rzeczy i zjawisk w izolacji, w oderwaniu od związku z całością.

Tak więc zasada tożsamości $A = A$ albo sprowadza się do tautologii i nic nie znaczy, albo jest zaprzeczeniem rozwoju i upada przy konfrontacji z faktami zmian i rozwoju obiektywnej rzeczywistości. Sigwart jak i szereg innych autorów, stara się ratować zasadę tożsamości jako postulat niezbędny dla prawidłowego wnioskowania. Zasada tożsamości zostaje sprowadzona do skromnej roli postulatu niezmienności pojęć w trakcie dowodzenia, bez czego wszelkie wnioskowanie byłoby niemożliwe. Przeciwnie takiemu postulatowi nikt nic mieć nie może, ale cóż właściwie pozostaje przy tym z szumnej zasady? Faktycznie nic, gdyż teoriopoznawcze znaczenie postulatu Sigwarta jest zupełnie inne niż zasady tożsamości; w szczególności nie twierdzi on, że rzeczywistość zachowuje się wedle zasady $A = A$, tzn., że jest niezmienna. Wzmiankowany postulat sprowadza się faktycznie do technicznej normy w dowodzeniu.

We właściwym swym znaczeniu zasada identyczności jest antydynamiczna i niezdolna do wytłumaczenia interesujących nas faktów zmian. Nie dziwota więc, że nie może tego dokonać i zasada sprzeczności, która jest właściwie negatywnym wyrazem zasady tożsamości.

Zasada sprzeczności u Arystotelesa, jak to przedstawił Łukasiewicz, posiada trojaki sformułowanie: ontologiczne, psychologiczne i logiczne sensu stricto. W tych trzech kierunkach idzie również obecnie ocena krytyczna omawianej zasady. Jako argument przemawiający za koniecznością jej utrzymania wysuwa się to, że nie ma rzeczy ani zjawisk sprzecznych, że dwa sprzeczne akty wiary nie mogą współistnieć, że wreszcie dwa sądy sprzeczne nie mogą być jednocześnie prawdziwe.

Argument pierwszy, a mianowicie, że nie ma zjawisk zawierających sprzeczność wewnętrzną, argument godzący więc w koncepcję jedności przeciwieństw da się rozstrzygnąć na podstawie doświadczalnej. Rozumiał to nawet Arystoteles mimo, że przyznawał zasadzie sprzeczności charakter aksjomatu. W trakcie jednak postępujących badań doszedł do wniosku, że w realnym świecie nie potrafi znaleźć rzeczy niesprzecznych wobec tego przeniósł swą zasadę do świata idei.

Poriószszy klęskę na terenie ontologicznego sformułowania, Arystoteles starał się obronić zasadę sprzeczności argumentem psychologicznym

i logicznym. Podobnie i dziś zwolennicy tej zasady starają się przenieść punkt ciężkości zagadnienia z terenu realnej rzeczywistości w sferę psychologii i logicznego aprioryzmu. Za analizowaną zasadą i jej charakterem pewnik przemawia rzekomo to, że człowiek nie może jednocześnie przeżywać dwu sprzecznych aktów wiary, tzn. twierdzenia czegoś i jednocześnie zaprzeczenia tego samego. Temu jednak przeciwstawia się fakt, że istnieli nawet wybitni myśliciele, jak Heraklit, Hegel, czy Marks, którzy zrealizowali tę rzekomą niemożliwość, a nawet podnieśli ją do rzędu teoretycznej zasady (naturalnie w zupełnie określonym sensie). Jeśli idzie o rozprawienie się z psychologicznym sformułowaniem zasady sprzeczności i jej argumentami, wystarczyłoby powołanie się na rozważania Husserla, zwalczające psychologizm („Logische Untersuchungen“ I, str. 80 i dalsze). Husserl broni koncepcji apriorycznego charakteru zasad logiki i w tej swojej obronie przeciw psychologizmowi oddaje nieocenione zasługi w jego przewyciężeniu (co bynajmniej nie przesądza sprawy o graniczości i fałszywości własnych pozycji autora). Otóż Husserl wykazuje, że psychologiczna formuła zasady sprzeczności w ogóle nie jest prawem. Przeciwstawne sobie akty wiary istnieją jednocześnie u różnych jednostek, u tych samych jednostek w różnym czasie, a nawet w tym samym czasie, gdy mamy do czynienia z błędem. Wreszcie Husserl wskazuje, że nie zostało z tego punktu widzenia zbadane życie psychiczne ludzi anormalnych i zwierząt. Dodajmy od siebie, że przeprowadzone badania nad tzw. prymitywnym myśleniem u członków pierwotnych kolektywów (przede wszystkim przez Levy — Brühla) wykazują, że nie zna ono zasady sprzeczności. Możemy też w rezultacie powtórzyć w ślad za Husserlem, że z princ. contradictionis w psychologicznym sformułowaniu nie zostaje nawet cień prawa w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Zwolennicy zasady sprzeczności najbardziej upodobali sobie logiczne jej sformułowanie. Bierze się to stąd, że sformułowanie to ujęte w sposób oderwany, bez związku z realną rzeczywistością, stwarza dogodniejsze pole dla aprioryzmu, który uchyla się od niebezpiecznej kontroli doświadczenia. Przystępując do oceny traktowania zasady sprzeczności jako apriorycznej — najczęstsze zjawisko u zwolenników logiki formalnej — musimy zakwestionować roszczenia do prawdziwości i powszechnej ważności takiego potraktowania sprawy. Chociażby dlatego, że genetyczna analiza myślenia ludzkiego wykazuje, iż na wcześniejszych etapach jego rozwoju zasada sprzeczności nie tylko nie jest znana, ale jest nawet niezrozumiała. Cóż to więc za aprioryczna forma myślenia, która pojawia się historycznie na wysokim poziomie tzw. logicznego myślenia? I czy nie można stąd wysnuć wniosku, że jest ona tylko przejściową formą, która z biegiem czasu może się stać niewystarczająca podobnie, jak w określonej fazie rozwoju niewystarczającymi stały się formy myślenia pierwotnego?

Okazuje się więc, że jednak volens nolens, zwolennicy zasady sprzeczności muszą stoczyć bój na terenie sformułowania ontologicznego. W ostatniej ławie instancji o prawdziwości omawianej zasady decyduje to, czy sprawdza się ona w zastosowaniu do rzeczywistości, czy też nie.

A więc czy istnieją zawierające w sobie sprzeczność rzeczy i zjawiska? Zaczynijmy od problemu ruchu, tzn. od pierwszej klasy wysuniętych pod dyskusję faktów.

Od starożytności znany jest eleacki paradoks strzały. Sens jego jest taki, że strzała nie może się poruszać, ponieważ w każdym momencie znajduje się w stanie spoczynku, a suma stanów spoczynku dać może w rezultacie tylko spoczynek, bezruch. A więc, wszelki ruch jest złudzeniem, wnioskowali Eleaci. Mimo swej oczywistej niesłuszności w zestawieniu z doświadczeniem, paradoks ten posiada mocne ugruntowanie logiczne, naturalnie, jeśli staniemy na gruncie logiki tradycyjnej. Bo rzeczywiście jeśli dzielić będziemy czas przelotu na dowolnie drobne jednostki, w każdej z nich strzała gdzieś się znajduje, zajmuje określone położenie. Przy obecnym stanie techniki możemy to nawet sprawdzić doświadczalnie, dokonując przy pomocy specjalnych aparatów kinematograficznych zdjęć przelotu strzały, czy kuli armatniej i ograniczając czas ekspozycji do tysięcznych części sekundy. W rezultacie otrzymamy tysiące zdjęć, a na każdym z nich fotografowany przedmiot zawisa nad jakimś punktem przestrzeni, a więc — znajduje się w stanie spoczynku. Jakże się wobec tego odbywa ruch, którego istnieniu nie możemy zaprzeczyć na podstawie doświadczenia? Należy przyznać, że z punktu widzenia logiki tradycyjnej, nie ma dlań miejsca i że z jej punktu widzenia należało by się raczej solidaryzować z eleackim paradoksem. Jeśli bowiem staniemy na stanowisku zasady sprzeczności i wyłączonego środka, to jest oczywiste, że strzała albo się znajduje w danej chwili w określonym miejscu, albo się w nim nie znajduje; jednocześnie znajdować się w nim i nie znajdować nie może. Wobec stwierdzenia, iż strzała w każdym momencie gdzieś się znajduje, druga możliwość odpada. Ale tym samym odpada i możliwość ruchu, bo z sumy bezruchów, jak to ściśle logicznie wykazują Eleaci, nie może w żadnym wypadku powstać ruch. Możemy śmiało powiedzieć, że tu ujawnia się pięta achillesowa tradycyjnej logiki. Przytoczonemu rozumowaniu nic bowiem zarzucić nie można. Tu chodzi o punkt wyjściowy. I nic nie pomogą odwoływania się do continuum, ani próby rozwiązania paradoksu drogą rozmaitych konstrukcji logiki matematycznej. Logika tradycyjna stoi przed wyraźnym dylematem: albo utrzymać swoje pewniki i zgodzić się wbrew doświadczeniu z Eleatami, że ruch jest tylko złudzeniem, albo z pewników tych zrezygnować. Można by na to odpowiedzieć, że lepiej stanąć na stanowisku, iż po prostu nie wiemy jeszcze jak się odbywa przejście z jednego punktu przestrzennego do drugiego, podobnie jak nie znamy wielu innych zjawisk, niż zrezygnować z zasad logiki, posiadających ponoć aprioryczny charakter. Ale to, rzecz oczywista, nie jest rozwiązaniem zagadnienia. Po pierwsze dlatego, ponieważ świadomy agnostycyzm jest rezygnacją z nauki; po drugie zaś dlatego, ponieważ nie ratuje on zupełnie sytuacji. Możemy bowiem nie wiedzieć jak się odbywa przejście przedmiotu poruszającego się z jednego punktu przestrzennego do drugiego, ale wiemy, że przyjmując założenia tradycyjnej logiki i stwierdzając, iż ciało w każdej chwili znajduje się w określonym punkcie przestrzennym, tym samym logicznie negujemy możliwość

ruchu. Ponieważ jednak ruch jest faktem obiektywnym, założenia te, z których wynikają wręcz odwrotne konsekwencje, muszą być fałszywe. Pod warunkiem, naturalnie, że przyjmujemy istnienie jakiegoś związku między prawami logicznymi, a faktami obiektywnej rzeczywistości.

Ten słaby punkt tradycyjnej logiki stał się celem specjalnych ataków ze strony jej przeciwników. Ostro atakuje go Hegel, który posiada ogromne zasługi dla ugruntowania zasad dialektycznej logiki.

„...sprzeczności nie należy uważać za jakąś anomalię — czytamy u Hegla — na którą natykamy się tylko gdzieś tam... Sam zewnętrzny zmysłowy ruch jest jej bezpośrednim bytem. Coś porusza się nią w ten sposób, że w danym „teraz“ znajduje się tu, a w innym „teraz“ tam, a tylko w ten sposób, że w jednym i tym samym „teraz“ znajduje się tu i nie tu, że w tym „tu“ jednocześnie znajduje się i nie znajduje się. Należy zgodzić się ze starożytnymi dialektykami, że sprzeczności, które wykryli w ruchu, rzeczywiście istnieją; lecz z tego nie wynika, że ruchu nie ma, a na odwrót, że on sam jest wcieloną sprzecznością“.*)

Te same myśli zawiera przytoczony przez nas wyżej urywek z „Anti — Dühringa“ Engelsa. Taki sam tok rozumowania znajdujemy też u wybitnego rosyjskiego marksisty Plechanowa.

„Podstawę wszystkich zjawisk przyrody — czytamy — stanowi ruch materii. Ale co to jest ruch? Jest to oczywista sprzeczność. — Jeśli nas zapytają: czy poruszające się ciało w danej chwili znajduje się w danym miejscu, to mimo najszczerzej chęci nie będziemy w stanie odpowiedzieć zgodnie z regułą Uberwega, tj. podług formuły: „tak — tak i nie — nie“. Poruszające się ciało znajduje się w danym miejscu i jednocześnie nie znajduje się w nim. Nie można o nim sądzić inaczej jak podług formuły. „Tak — nie i nie — tak“. Jest ono tedy niezaprzeczalnym dowodem na korzyść „logiki sprzeczności“, a kto nie chce się pogodzić z tą logiką, musi wzorem starego Zenona uznać, iż ruch jest jeno złudzeniem naszych zmysłów.

Wszystkich zaś którzy nie kwestionują ruchu, zapytamy, co mamy sądzić o takim „podstawowym prawie“ myślenia, które zaprzecza podstawowemu faktowi bytu. Czy nie powinniśmy odnosić się doń... z pewną rezerwą“.**)

Ciekawe, że nawet zdecydowani przeciwnicy dialektyki, jak Trendelenburg, są zmuszeni przyznać, iż ruch w samym swym pojęciu zawiera sprzeczność (ciało, które dzięki samemu pojęciu ruchu, jest i nie jest w danym punkcie).***)

Ta obiektywna sprzeczność nie da się usunąć, bez negacji ruchu. Ta sprzeczność właśnie przemawia za dialektyką, a przeciw tradycyjnej logice, której kategorii mogą być zastosowane tylko do stanów bezruchu, spoczynku, są zaś bezsilne w zastosowaniu do zjawisk ruchu, zmian. Że zaś wszędzie tam, gdzie istnieje materia, obiektywna rzeczywistość, istnieje również — w tej lub innej formie — ruch, dialektyka ze swą zasadą jed-

*) Hegel: Dzieła. Tom V, Nauka Logiki, tłum. ros. Moskwa 1937, str. 521.

**) Plechanow: Podstawowe zagadnienia Marksizmu, wyd. „Książka“, 1946. str. 100—101.

***) Trendelenburg: Logische Untersuchungen, t. I.

ności przeciwieństw uzyskuje niezwykle szerokie zastosowanie, wypierając tym samym tradycyjną logikę z jej dotychczasowych pozycji. Wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia ze stawianiem się lub z zanikaniem czegoś, więc z ruchem, z rozwojem, musimy stosować dialektykę i jej prawa, jeśli chcemy odzwierciedlać obiektywny byt w naszych subiektywnych myślach.

Jeśli idzie o wykazanie istnienia obiektywnej sprzeczności w rzeczach i zjawiskach dialektyka nie ogranicza się tylko do analizy ruchu. Doświadczenie dostarcza poza tym bogatego materiału dla poparcia jej stanowiska wobec zasady sprzeczności.

Elementy dialektyki istnieją w rozmaitych systemach filozoficznych od czasów najdawniejszych. Polegają one na bardziej lub mniej wyraźnym uznaniu obiektywnego charakteru zasady jedności przeciwieństw. Szczególnie ciekawą jest z tego punktu widzenia sprawa tzw. antynomii, która tak podczas niej zajęła w systemie Kanta. Znaczenie zagadnienia antynomii dla dialektyki w pełni docenił Hegel, krytykując Kanta tylko za to, że ograniczał ich ilość do czterech nie widząc, że cała rzeczywistość składa się z różnego rodzaju antynomii. Hegel jedność przeciwieństw podniósł do roli zasady. Ale to, co w jego czasach można było twierdzić tylko na podstawie spekulatywnych zasad, dzisiaj samorzutnie wypływa z pozytywnego materiału badań nauk przyrodniczych.

Bardzo często mówi się o kryzysie, przeżywanym przez nauki przyrodnicze. Świadomość tego kryzysu istnieje w przyrodoznawstwie od schyłku ubiegłego stulecia. Polega on na całkowitej rewolucji pojęć w dziedzinie fizyki oraz na nie uzgodnieniu nowych osiągnięć w przyrodoznawstwie z ich uogólnieniem w dziedzinie zasad logicznych. Na jednym z pierwszych miejsc znajduje się tu niezawodnie sprawa zasady sprzeczności. Badacze przywykli dotąd przyjmować za dogmat, że przeciwieństwa nie mogą współistnieć; pozytywne badania coraz częściej zaś zaczynają wykazywać istnienie rzeczy i zjawisk, zawierających wewnętrzną sprzeczność. Ponieważ wedle tradycyjnego dogmatu jest to niemożliwe rozpoczyna się gorączkowe poszukiwanie za drogą rozwiązania i zlikwidowania tych sprzeczności, które wciąż jeszcze uchodzą za pozorne. Poszukiwanie takie jest z góry skazane na niepowodzenie i prowadzi do wewnętrznych konfliktów, do hamowania badań, utrudnia zrozumienie zjawisk.

Fakty, na które powołuje się dialektyka, są oparte o stwierdzenie istnienia jedności przeciwieństw w przyrodzie. Nie wszystkie wypadki jedności przeciwieństw, stwierdzone przez dialektykę, popadają w konflikt z logiczną zasadą sprzeczności. Jedność pozytywnego i ujemnego ładunku elektryczności w atomie (proton i elektron); jedność pozytywnego i ujemnego bieguna w magnezie; jedność siły odśrodkowej i dośrodkowej w ruchu planet po ich orbicie; jedność klas o przeciwstawnych interesach — wszystko to są przykłady obiektywnej jedności przeciwieństw, ale jeszcze nie sprzeczności. Sprzeczność występuje tam, gdzie jedność przeciwieństw jest tego rodzaju, że pozwala na wydanie sprzecznych sądów o tym samym przedmiocie, a nie jest wyrazem współistnienia przeciwstawnych tendencji w skomplikowanej, złożonej całości. Tak np. sprzecznością jest jedność korpuskularnej i falowej istoty światła i materii (teo-

ria de Broglie). O tyle więc, o ile stwierdza istnienie takich faktów, teoria jedności przeciwieństw popada w konflikt z zasadą sprzeczności logiki formalnej.

„...Przyroda stanowi potwierdzenie dialektyki — pisze uogólniając te fakty Engels — i winniśmy być wdzięczni współczesnemu przyrodoznawstwu za to, że dostarczyło niezwykle bogatego i codziennie powiększającego się materiału na potwierdzenie tej tezy i tym samym dowiodło, że w przyrodzie w ostatecznym rachunku sprawy toczą się dialektycznie, a nie metafizycznie“^{**}).

Nie jest też rzeczą przypadku, że szereg fizyków pod naporem materiału faktycznego, przechodzi nie tylko bezwiednie (jak to się często dzieje), ale świadomie na stronę dialektyki, nie mogąc znaleźć poza dialektyczną zasadą jedności przeciwieństw wytłumaczenia dla obserwowanych zjawisk. Tak np. Leo Gilbert (Neue Energetik, 1912) postuluje zasadę jedności przeciwieństw. Tak również Melchior Palagyi (Zur Weltmechanik, 1925) budując teorię biegunowości akceptuje zasadę jedności przeciwieństw.

Zresztą dowodu istnienia jedności przeciwieństw w obiektywnej rzeczywistości należy szukać nie tylko w dziedzinie współczesnej fizyki. Lenin proponował w ślad za Heglem sprawdzenie tej zasady na najprostszych faktach rzeczywistości i widział je niemal w każdym wypowiedzianym przez nas zdaniu^{**}). Gdy powiadamy: „Liście są zielone“, „Iwan jest człowiekiem“, „Zuczek jest psem“, to, jak twierdzi Lenin, w każdym z tych zdań mamy do czynienia z jednością przeciwieństw: jednostkowego i ogólnego. Faktycznie niepodobna — z pominięciem tej formy jedności przeciwieństw — sformułować większości naszych myśli. Ze wszystkiego co się dotąd powiedziało wynika w każdym razie jasno: są fakty, które nie dadzą się wcisnąć w ramy tradycyjnej logiki z jej założeniami, a są doskonale wytłumaczalne w ramach dialektyki z jej zasadą jedności przeciwieństw. Tym samym „logika sprzeczności“ uzyskuje teoretyczną przewagę, gdyż pierwszeństwo należy przyznać takiej teorii, która lepiej tłumaczy fakty, lepiej odzwierciedla prawidłowości otaczającego nas świata. Z tego punktu widzenia w dziedzinie omawianych przez nas zjawisk należy uznać przewagę dialektyki. Inna sprawa jak teoria dialektyki potrafi sobie dać radę z faktami, które znajdują adekwatne odbicie w prawach logiki tradycyjnej. Odpowiedź na to pytanie odkładamy do rozpatrzenia stosunku wzajemnego logiki dialektycznej i formalnej. Tymczasem zaś możemy się zadowolić ogólnym sformułowaniem Engelsa, określającym historyczne miejsce i znaczenie dialektyki jako logiki rozwoju.

„Teoretyczna myśl każdej epoki, a więc i naszej epoki — pisze Engels — to historyczny produkt, który w rozmaitych okresach, posiada bardzo różne formy, a wraz z tym bardzo różną treść. W kosekwencji nauka o myśleniu, jak i wszelka inna nauka, jest nauką historyczną, nauką o historycznym rozwoju ludzkiego myślenia. A to posiada ważne znaczenie

^{*}) Engels: Anti-Dühring, tłum. rosyjskie 1928, str. 23.

^{**}) Lenin: Filosofskije trietradi 1924, str. 326.

również i dla praktycznego zastosowania myślenia do dziedzin empirycznych. Gdyż, po pierwsze, teoria praw myślenia nie jest jakąś raz na zawsze daną „wieczną prawdą“, którą ze słowem „logika“ wiąże myśl filistra. Sama formalna logika jest od Arystotelesa po dziś dzień areną zacieklej sporów. Co się zaś tyczy dialektyki, to dotąd została ona mniej lub więcej dokładnie zbadana tylko przez dwóch myślicieli: Arystotelesa i Hegla. Lecz właśnie dialektyka jest dla współczesnego przyrodoznawstwa najważniejszą formą myślenia, gdyż tylko ona stanowi analogię i tym samym metodę objaśnienia zachodzących w przyrodzie procesów w rozwoju, najogólniejszych związków przyrody, przejść od jednej dziedziny badania do drugiej“.*)

Przejdźmy do pozytywnego wyłożenia stanowiska dialektyki w sprawie jedności i walki przeciwieństw.

W przeciwieństwie do tradycyjnego sposobu myślenia, który ujmuje zjawiska w izolacji, w oderwaniu od całości i dlatego nie widzi ich ruchu i zawartych w nich przeciwieństw, dialektyka ujmując rzeczy i zjawiska w ich związku i wzajemnej zależności, odzwierciedla realnie istniejący ruch i obiektywnie występującą jedność przeciwieństw. Przeciwieństwa tkwiące w rzeczach i zjawiskach posiadają konkretny charakter. Stąd też nie można ich wymyśleć, nie są sprawą spekulacji, a dojsz do ich poznania można tylko drogą konkretnego poznania przedmiotu. Dialektyka tłumaczy różnicę między swoim stanowiskiem i stanowiskiem formalnej logiki w sprawie jedności przeciwieństw różnicą punktu wyjściowego. Logika formalna bada zjawiska oderwane i znajdujące się w stanie spoczynku: Z tego punktu widzenia sprzeczność znika, gdyż przeciwieństwa zostają sztucznie izolowane. Dialektyka natomiast bada zjawiska w ich powiązaniu całościowym, w ich ruchu, stąd też musi uznać obiektywne istnienie jedności przeciwieństw. Logika formalna, logika wykluczająca jedność przeciwieństw, jest logiką bezruchu; logika dialektyczna, „logika sprzeczności“ jest logiką ruchu.

To poznanie obiektywnego charakteru jedności przeciwieństw daje potężny oręż metodologiczny w ręce dialektyka. Podchodząc bowiem do badania jakiegokolwiek fragmentu rzeczywistości jako do realnej jedności przeciwieństw, wiemy, że dla jego zanalizowania musimy dążyć do wykrycia tkwiących w nim przeciwieństw, do „rozdwojenia jedności“.

„Rozdwojenie jedności i poznanie jej sprzecznych części... jest — powiada konsekwentnie Lenin — istotą dialektyki“****).

Dialektyka dochodzi do poznania obiektywnego charakteru jedności przeciwieństw ponieważ — jak to już podkreśliśmy — widzi i bada zjawiska w ich powiązaniu. Dzięki temu też nie tylko konstatuje istnienie jedności przeciwieństw, ale i ruch tych przeciwieństw, ich wzajemne przechodzenie wzajem w siebie. Dla tradycyjnego sposobu myślenia między biegunami stosunku przeciwstawności leży przepaść, a same te bieguny są ujęte w bezruchu, jako absolutne przeciwieństwa. Dialektyka

*) Engels: Dialektyka przyrody, tłum. ros. 1941. str. 24.

**) Lenin: Filozofskie tetradi, str. 23.

****) Lenin: Filozofskie tetradi, str. 25.

podchodząc do badania tych samych zjawisk z punktu widzenia ich związku, ich ruchu, wykazuje, że między przeciwieństwami nie tylko nie ma żadnej przepaści, ale że przechodzą one wzajem w siebie. Już Hegel w swoim czasie zilustrował to na szeregu przykładów. Sprawiedliwość i niesprawiedliwość są przeciwieństwami. Ale doświadczenie wykazuje, że skrajny, absolutny, z niczym nie liczący się wymiar sprawiedliwości prowadzi do niesprawiedliwości (np. sprawa Elektry). „Summum ius est summa iniuria“ — jak mawiali starożytni. Okazuje się, że bieguny stosunku przeciwstawności są zamknięte w kole, a nie stanowią dwu krańców prostej. Podobnie przedstawia się sprawa z wolnością i niewolą; historia dostarczyła szeregu pouczających przykładów, jak absolutna wolność prowadziła do najgorszej niewoli. I życie emocjonalne człowieka nastęrcza niejeden przykład, potwierdzający naszą tezę, jeśli weźmiemy pod uwagę chociażby znany w psychologii fakt ambiwalencji uczuć. A więc, nie tylko jedność przeciwieństw, ale i ich ruch, ich wzajemne w siebie przechodzenie.

„Dla metafizyka — formułuje te myśli Engels — rzeczy i ich myślowe odbicie, tj. pojęcia są to oddzielne, niezmiennie, zastygłe, raz na zawsze dane przedmioty, które należy badać jeden po drugim oraz niezależnie od drugiego. Myśli on tylko przy pomocy bezpośrednich przeciwstawności: jego mowa składa się z: „Tak — tak, nie — nie; co ponad to, to do diabła“. Dla niego rzecz albo istnieje, albo nie istnieje; przedmiot nie może być samym sobą i jednocześnie czymś innym; to, co pozytywne i to, co negatywne wyłączają się wzajemnie w sposób absolutny, przyczyna i skutek również znajdują się w stosunku niezmiennej przeciwstawności. Ten sposób myślenia wydaje się nam w pełni przekonywujący na pierwszy rzut oka, ponieważ jest on właściwy tak zwanemu zdrowemu rozsądkowi. Lecz zdrowy ludzki rozsądek, nader czcigodny towarzysz w domowym otoczeniu, wśród czterech ścian, przeżywa najdziwniejsze przygody, gdy tylko odważy się puścić w dalekie drogi badań. Tak samo i metafizyczny sposób myślenia, zupełnie słuszny i, zależnie od charakteru przedmiotu, nawet konieczny w pewnych bardziej lub mniej szerokich ramach, szybciej lub później osiąga granice, za którymi staje się jednostronny, ograniczony, abstrakcyjny i zaplątuje się w nierozwiązalnych sprzecznościach, ponieważ za poszczególnymi rzeczami nie widzi ich związku, za ich bytem nie widzi ich powstania i zanikania, za ich spoczynkiem nie widzi ruchu, za drzewami nie widzi lasu“*)

Dialektyka widzi jednak nie tylko jedność przeciwieństw, ale i ich walkę. I tu podchodzimy do najbardziej istotnego momentu teorii dialektycznej. Jedność przeciwieństw jest przemijająca — stwierdza dialektyka — walka przeciwieństw jest wieczna.

Na podstawie doświadczenia widzimy, że przeciwieństwa, zawarte w każdej rzeczy i zjawisku, znajdują się w ciągłej wewnętrznej walce. Przez walkę rozumiemy tu ścieranie się przeciwieństw, tendencję do wyeliminowania drugiego przeciwieństwa. Otóż ta walka wewnętrznych

*) Engels: Anti-Dühring, str. 21.

przeciwieństw jest wedle dialektyki źródłem rozwoju, właściwie samorozwoju rzeczywistości.

Powołując się na teorię Darwina, Engels w swej „Dialektyce przyrody“ wykazuje, że rozwój żywego organizmu od najprostszej komórki do najwyższej rozwiniętych roślin i do człowieka włącznie odbywa się na drodze walki momentów dziedziczenia i przystosowania.

W społeczeństwie ludzkim walka klas, jak to szczegółowo wykazywał materializm historyczny, jest w ostatniej instancji źródłem rozwoju społecznego.

Walkę wewnętrznych przeciwieństw można wykazać i w przyrodzie (martwej (ruch materii), i w społeczeństwie ludzkim, i w dziedzinie myśli. Tym samym jednak rozwiązuje dialektyka jedno z najtrudniejszych zagadnień naukowego poznania. Obnażając wewnętrzne źródła samoruchu, dialektyka może zrezygnować z wszelkiego apelowania do sił poza nią stojących, do „pierwszych bodźców“, tzn. tak czy inaczej do pomocy boskiej. Zostaje stworzona koncepcja, która na czysto naukowej podstawie daje wytłumaczenie rzeczywistości i praw nią rządzących. A o to właśnie chodziło.

Wykrycie walki wewnętrznych przeciwieństw jako źródła ruchu posiada doniosłe znaczenie metodologiczne. Staje się bowiem jasne, że należy podchodzić do badania rzeczywistości od strony wykrycia, walki wewnętrznych przeciwieństw, a w działaniu zmierzającym do przyspieszenia rozwoju należy nastawiać się na ułatwienie gry wewnętrznym przeciwieństwom. Praktyczne wnioski płynące stąd dla walki klasowej proletariatu były bodajże najpoważniejszym szkopułem w upowszechnieniu się dialektycznej zasady jedności i walki przeciwieństw w społeczeństwie burżuazyjnym.

Należy jeszcze podkreślić, że obiektywna dialektyka, tzn. dialektyka obiektywnej rzeczywistości, znajduje swe odbicie w dialektyce subiektywnej tzn. w dialektyce myśli ludzkiej. Dialektyczne prawa naszego myślenia nie są czymś absolutnie samodzielny, lecz stanowią jedynie fragment większej całości: praw rządzących całą realną rzeczywistością. Myśl nasza jeśli ma być adekwatnym wyrazem rzeczywistości, musi posiadać tę samą elastyczność, zmienność, co i wyrażana przez nią rzeczywistość. Lenin niejednokrotnie podkreślał, że najtrudniejszą rzeczą jest wyrazić ruch, który zawiera w sobie sprzeczność. Dialektyka pojęć występuje np. w związku z zagadnieniem wolności i konieczności, przypadku i konieczności itp. Wolność w świetle dialektyki jest uświadomioną koniecznością. Konieczność historyczna przejawia się w przypadkach, przypadkowość zaś jest formą, za którą kryje się konieczność. Nie miejsce tu, aby szerzej rozwinąć te idee. Dla tradycyjnego sposobu myślenia, operującego izolowanymi przeciwieństwami, sztywnymi pojęciami — są to dziwolągi. Ale przecież takim samym dziwolągiem jest właściwie dla tego sposobu myślenia i sam ruch. Dialektyczna elastyczność pojęć jest jego odpowiednikiem, a zarazem gwarancją adekwatności naszego poznania.

W związku ze szkicowym wykładem dialektycznej zasady jedności i walki przeciwieństw należy zrobić jedno poważne zastrzeżenie.

Jak wynika z tego, cośmy dotąd powiedzieli, dialektyka uznaje obiektywne istnienie sprzeczności w postaci jedności przeciwieństw. Dialektyka jest więc w pewnym sensie „logiką sprzeczności“. Nie wynika z tego bynajmniej, by dialektyka dopuszczała wszelką sprzeczność, a w szczególności, by dopuszczała wewnętrzne sprzeczności systemu. Tzn. dialektyka nie dopuszcza możliwości jednoczesnego twierdzenia i zaprzeczenia jej tez, co by poderwało podstawy rozróżniania prawdy i fałszu, a tym samym uniemożliwiłoby prawidłowe myślenie. Logika dialektyczna uznaje bowiem tylko taką jedność przeciwieństw, którą konkretnie możemy stwierdzić w badanym przedmiocie lub zjawisku; dopuszczenie sprzeczności jest więc związane z poznaniem jej obiektywnego charakteru, a nie oznacza bynajmniej dopuszczenia wszelkiej sprzeczności systemu; jest ona wprawdzie „logiką sprzeczności“, ale logiką wewnętrznie niesprzeczną tzn. systemem w swych zasadach niesprzecznym. Nie ma tu mowy o wewnętrznej niesprzeczności w znaczeniu, jakie się temu nadaje w systemach sformalizowanych; nie ma bowiem możliwości przeprowadzenia całkowitego dowodu niesprzeczności na terenie systemu niesformalizowanego. Mówiąc, że dialektyka jest systemem wewnętrznie niesprzecznym, mamy na myśli to, że nie dopuszcza ona zaprzeczenia własnych swych tez oraz nie zawiera takich tez, które byłyby sprzeczne z innymi tezami systemu.

Pozostaje jeszcze do omówienia problem stosunku logiki dialektycznej do logiki formalnej. Problem ten staje się tym bardziej palący, im szersze wpływy zdobywa sobie dialektyka.

Różnica między obiema koncepcjami logiki jest tak wyraźna, że sugeruje po prostu zdanie, iż wykluczają się one wzajemnie. Zaostrza te różnice ferwor walki. Napotykać na opór przeciwnika, po większej części przesadny i nierozsądny, jesteśmy skłonni do zaostrenia własnego stanowiska, wskutek czego niejednokrotnie sami popadamy w skrajności. Niebezpieczeństwo takie jest szczególnie wielkie w związku z interesującym nas sporem, gdyż obie strony posiadają poważne argumenty dla obrony swych pozycji. Poważny wpływ wywiera tu i fakt, że spór dawno już zszedł z płaszczyzny czysto naukowej na wyraźnie polityczną. Wprawdzie najbardziej nawet abstrakcyjne dziedziny wiedzy wiążą się pośrednio (tak lub inaczej) z naszą praktyką życiową, ale w danym wypadku, mimo wybitnie abstrakcyjnego charakteru zagadnień, więź z życiem praktycznym przybiera charakter bezpośredni. Dialektyka jest częścią składową marksizmu, a marksizm oznacza rewolucyjną doktrynę społeczną, rewolucyjną praktykę. Wprawdzie nie powinno to odgrywać roli w ustosunkowaniu się naukowca do analizowanej teorii, niewątpliwie jednak moment interesu klasowego (świadomie lub podświadomie) zawsze wywierał i wywiera wpływ na stanowisko badacza.

Nie zapuszczając się w bliższe dochodzenia, można w każdym razie stwierdzić, że gdy wobec podstawowych zagadnień myślenia naukowego uczucie bierze górę nad postawą obiektywną, wytwarza się dla postępu wiedzy niekorzystna sytuacja. Ze tak niewątpliwie jest, świadczy fakt, iż obie koncepcje logiczne w swej skrajnej postaci doszły — bez żadnego

głębszego uzasadnienia i bez koniecznej potrzeby — do prostej negacji przeciwnego stanowiska. Wina jest wyraźnie obustronna. Kiedy się czyta „uczone“ wywody zwolenników tradycyjnej logiki na temat jej podstawowych założeń, które ostatnio coraz częściej pojawiają się na łamach prasy periodycznej w związku z atakami na dialektykę, nie można się oprzeć wrażeniu, że wyrządzają one niedźwiedzią przysługę bronionemu stanowisku. Oprócz bowiem postulowania apriorycznego charakteru zasad logicznych i przedstawiania przeciwników zasady sprzeczności jako głupców nie wiele więcej można w nich znaleźć, a w każdym razie rzadko napotyka się na rzeczowy argument. Z drugiej zaś strony, niemniej dziwne wrażenie wywierają artykuły i podręczniki filozofii, które w pewnym okresie były publikowane w ZSRR, a z których ku naszemu zdziwieniu dowiadujemy się — wbrew wyraźnemu w tej sprawie stanowisku klasyków marksizmu — że formalna logika to po prostu nonsens. Należy gwoli sprawiedliwości dodać, że okres ten należy już w ZSRR do przeszłości, że zainteresowanie logiką formalną coraz bardziej tam wzrasta i nauczanie jej wprowadza się jako obowiązkowy przedmiot w wyższych klasach szkół średnich. Efektem dotychczasowego stanu rzeczy jest jednak to, że w ZSRR znajomość logiki formalnej stoi na niskim poziomie, a na Zachodzie znajomość dialektyki na jeszcze niższym. W obu wypadkach z poważną szkodą dla nauki.

Cały szereg momentów przemawia za tym, że nadchodzi czas syntezy po długotrwałym okresie zmagania obu sprzecznych koncepcji logicznych. Należy się od razu zastrzec, że przez syntezę nie rozumiemy bynajmniej zgnitego kompromisu i jakiegoś elektyzmu, który by starał się zjednoczyć sprzeczne zasady w jedną nieharmonijną całość. Pewne tendencje w dziedzinie logiki i w dziedzinie nauk pozytywnych wskazują na to, że zdążamy ku jakiejś syntezie; jaka zaś ona będzie — wykaże konkretnie przyszłość i wyniki toczącej się polemiki. Naszym zdaniem winna ona pójść raczej w kierunku wydzielenia dziedzin zastosowania obu sprzecznych systemów logicznych, z których każdy zawiera określony punkt widzenia na jedną obiektywną rzeczywistość. Zanim przejdziemy jednak do ogólnych wniosków, spójrzmy, jak z punktu widzenia założeń obu systemów wygląda możliwość ich stosunku wzajemnego.

Panuje powszechne przekonanie, że marksizm ogranicza się do dialektyki i krytykując z tego stanowiska podstawowe założenia tradycyjnej logiki po prostu zaprzecza jej racji bytu. Wrażenie takie wywołuje okoliczność, że w dziełach klasyków spotykamy się z rozwinięciem zasad dialektyki z krytyki logiki formalnej, nigdzie zaś z rozwinięciem zasad tej ostatniej. Wrażenie to potęguje ostry ton, w jakim klasycy marksizmu, zwalczali pretensje logiki formalnej do absolutnej i powszechnej ważności. W rezultacie, nawet w szerszych kołach marksistów panuje zdanie, że system marksistowski przeciwstawia się po prostu logice formalnej, nie przyznając jej żadnej wartości. W imię prawdy należy stwierdzić, że jest to zdanie mylne; świadczy o tym bardziej wnikliwe przyglądnięcie się odpowiednim wypowiedziom klasyków. Jest szereg miejsc u Marksa i Engelsa, w których autorowie ci wyraźnie stwierdzają pozytywną wartość nau-

kową logiki formalnej i możliwość stosowania jej zasad w pewnych, oczywiście, granicach. Przytoczmy, dla przykładu przynajmniej, niektóre z nich.

Występując przeciw spekulatywnej filozofii, która pretendowała do stanowiska nadrzędnego w stosunku do nauk pozytywnych, Engels podobnie zresztą jak i Marks głosił „koniec filozofii“. W związku z tym Engels pisze:

„Gdy przed każdą poszczególną nauką staje postulat wyjaśnienia swego miejsca w ogólnym systemie rzeczy i wiedzy, jakaś odrębna nauka o tym ogólnym ich związku staje się zbyteczna. I wówczas z całej poprzedniej filozofii samodzielne znaczenie zachowuje tylko nauka o myśleniu i jego prawach, tj. formalna logika i dialektyka, wszystko inne zaś wchodzi w skład pozytywnej nauki o przyrodzie i historii“.*)

W innym zaś miejscu (poprzednio przez nas cytowanym) czytamy: „Tak samo i metafizyczny sposób myślenia (tzn. formalno-logiczny. A. S.) zupełnie słuszny i zależnie od charakteru przedmiotu, nawet konieczny w pewnych bardziej lub mniej szerokich ramach...**).

W innym znowu miejscu czytamy:

„Zrozumiałe, że dopóki badamy rzeczy w stanie spoczynku i martwoty, każdą oddzielnie, obok drugiej lub za nią, nie napotyka się w nich na jakiegokolwiek sprzeczności. O ile te obserwacje wydają się nam dostateczne, o tyle możemy się obejść także z wyczajnym metafizycznym sposobem myślenia“***).

Przykłady takie z dzieł Marksa i Engelsa można by było mnożyć. Ale i przytoczone miejsca wyraźnie wskazują, że nie ma u klasyków mowy o jakiejś absolutnej negacji formalnej logiki. Na odwrót, widzimy, że w określonych granicach przyznaje się jej samodzielne znaczenie.

A teraz, jak wygląda sprawa z punktu widzenia logiki tradycyjnej, nie dialektycznej.

Dialektyka zawiera zasadniczą krytykę tradycyjnego punktu widzenia. W okresie, gdy logika Arystotelesa uchodziła jeszcze za doskonałość, mogło się to wydać świętokradztwem. Dziś jednakże, w czasie gdy nowe systemy logiczne, zwłaszcza logika matematyczna uważa sylogistykę arystotelesowską za drobny zaledwie odcinek przeprowadzanych przez nią badań, gdy ciska się gromy na tradycyjną logikę, a dotychczasowe jej metody uważa się za jałowe, krytyka uprawiana przez dialektykę przestaje być czymś wyjątkowym.

Logika dialektyczna jest logiką uwzględniającą treść w odróżnieniu od logiki formalnej, która interesuje się tylko formą procesów myślowych. Ale i z tego punktu widzenia dialektyka nie stanowi wyjątku, gdyż można wykazać i wśród systemów logicznych, stojących na gruncie tradycją uświęconych założeń, takie, które w większym lub mniejszym stopniu uwzględniały nie tylko formę, ale i treść procesów myślowych. Poie-

***) ibid. str. 22.

*) Engels: Anti-Dühring, — tłum. ros. 1938, str. 265, podkr. nasze A. S.

***) ibid. str. 124—125, podkr. nasze A. S.

mika tych kierunków prowadzi do zasadniczego problemu istoty i zadań logiki. Rozważenie tego zagadnienia poprowadziłoby nas zbyt daleko. Pozostawiamy je więc na uboczu i przechodzimy do sprawy bezpośrednio nas interesującej, a mianowicie do sprawy tzw. podstawowych założeń logiki. Jest faktem, że dialektyka zrywa z tymi podstawowymi założeniami. Ale tu znowu można by wskazać na niezaprzeczalny fakt, że założenia te w najnowszej logice nie odgrywają takiej roli, jak dawniej. Wprawdzie aksjomaty systemów logiki matematycznej są tak dobierane, że tzw. podstawowe założenia z nich wypływają, ale mimo to schodzą one na plan dalszy. Wreszcie systemy logiki wielowartościowej stanowią wyraźny krok ku rewizyj tradycyjnemu stanowiska (o podobnej tendencji świadczy kreską i cytowana już praca Łukasiewicza „O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa“). W każdym razie można stwierdzić, że należycie uzasadniony system dialektyczny, odrzucający tradycyjną zasadę sprzeczności, nie jest czymś niezwykłym na tle tendencji współczesnej logiki.

Rozważania powyższe są jeszcze jednym dowodem na poparcie tezy, że absolutne przeciwstawianie sobie logiki dialektycznej i formalnej nie wypływa z wewnętrznej konieczności obydwu systemów.

Wychodząc znowu od strony faktów, (a to jest niezawodnie w takich razach metoda najlepsza) musimy stwierdzić, że w jednych wypadkach wygodniej jest posługiwać się zasadami logiki dialektycznej, w innych znowu tradycyjnnej. Gdy mamy do czynienia ze zjawiskami ruchu, stawania się, to jak już wskazaliśmy wyżej, jedynie logika dialektyczna jest na miejscu. Gdy znowu mamy odpowiedzieć na pytanie, czy Napoleon przegrał kampanię rosyjską 1812 r., lub czy Paryż jest stolicą Francji, niesposób posługiwać się innymi zasadami aniżeli te, którymi operuje logika formalna. Powstaje w ten sposób pewnego rodzaju dualizm logiczny, który dzięki wyraźnej sprzeczności wchodzących w grę systemów jest kłopotliwy i domaga się ich uzgodnienia. Otóż jak wyjaśnić fakt, że w rozmaitych wypadkach posługujemy się różnymi, a nawet sprzecznymi w swych założeniach systemami logiki oraz jak przedstawia się stosunek wzajemny tych systemów?

Zagadnienie to leży jak dotąd odłogiem. Niepoślednią rolę odgrywa w tym wypadku fakt ostrej walki obu systemów, która prowadząc do ich absolutnego przeciwstawiania, nie pozostawiała miejsca dla rozważań o ich stosunku wzajemnym i ewentualnej możliwości zastosowania w rozmaitych warunkach faktycznych. Jediną poważniejszą próbą postawienia tego zagadnienia, do której możemy nawiązać, jest szkic Plechanowa pt. „Dialektyka i logika“.

Pozwolimy sobie przytoczyć dłuższy cytat z powyższej pracy Plechanowa, który stanowić będzie podstawę dla dalszych naszych rozważań. Omawiając istotę ruchu, Plechanow stwierdza, że trzymając się kurczowo zasad logiki formalnej, musielibyśmy dojść do negacji ruchu.

„Wygląda to — pisze Plechanow — jak gdybyśmy niespodziewanie stanęli przed alternatywą: albo uznać „podstawowe prawa“ logiki formalnej i negować ruch, albo odwrotnie, uznać ruch i negować te pra-

wa. Taka alternatywa jest co najmniej nieprzyjemna. Zobaczymy więc, czy nie da się jej jakoś ominąć.

Ruch materii jest podstawą wszystkich zjawisk przyrody. Ruch jest sprzecznością. Należy myśleć o nim dialektycznie, tj. jakby powiedział p. Bernstein, podług formuły „tak — nie i nie — tak“. Dlatego musimy uznać, iż dopóki mowa o tej podstawie wszystkich zjawisk, dopóty obracamy się w dziedzinie „logiki sprzeczności“. Lecz molekuly poruszające się materii, łącząc się jedne z drugimi, tworzą pewne połączenia rzeczy, przedmioty. Takie połączenia posiadają większą lub mniejszą trwałość, istnieją dłużej lub krócej, a potem giną, ustępując miejsca innym; wieczny jest tylko ruch materii oraz ona sama, niezniszczalna substancja. Lecz skoro w wyniku wiecznego ruchu powstało pewne czasowe połączenie materii i dopóki nie zginęło ono w wyniku tegoż ruchu, kwestia jego istnienia jest nieodzownie rozstrzygana w sensie twierdzącym. Dlatego, jeśli nam wskażą na planetę Wenus i zapytają, czy planeta ta istnieje, wówczas odpowiemy bez wahania tak. A jeśli nas zapytają czy istnieją, wówczas odpowiemy bez wahania nie. Cóż to znaczy? Znaczy to, że gdy mowa o poszczególnych przedmiotach, wówczas w sądach o nich obowiązani jesteśmy postępować podług przytoczonego prawidła Überwega i w ogóle kierować się „podstawowymi prawami“ myślenia. W tej dziedzinie panuje miła sercu p. Bernsteina formuła „tak — tak, nie — nie“^(*)

Na każde ściśle określone pytanie o posiadaniu przez dany przedmiot danej cechy należy odpowiadać albo tak, albo nie. To nie ulega wątpliwości. Ale jak odpowiadać w tym wypadku, kiedy przedmiot zmienia się, kiedy już z a t r a c a daną właściwość, lub kiedy dopiero n a b i e r a jej? Samo się przez się rozumie, że i w tym wypadku obowiązuje nas odpowiedź określona. Ale o to właśnie chodzi, iż ściśle określona będzie tu odpowiedź podług formuły: „tak — nie, i nie — tak“ a podług zalecanej przez Überwega formuły: „albo tak, albo nie“, w ogóle odpowiedzieć się nie da...

..., „Wszystko płynie, wszystko się zmienia“ — powiada starożytny myśliciel z Efezu. Połączenia, nazywane przez nas przedmiotami, znajdują się w stanie stałej, mniej lub więcej szybkiej z m i a n y. O ile dane połączenia pozostają danymi p o ł ą c z e n i a m i, o tyle musimy o nich sądzić podług formuły „tak — tak i nie — nie“. A o ile zmieniają się i przestają istnieć jako takie, obowiązani jesteśmy apelować do logiki sprzeczności...

Podobnie jak spoczynek jest poszczególnym wypadkiem ruchu, tak również myślenie podług prawideł logiki formalnej (zgodnie z podstawowymi prawami myśli) jest poszczególnym wypadkiem myślenia dialektycznego^(**)“.

Stanowisko Plechanowa da się ująć w sposób następujący: stan spoczynku i ruch posiadają swoje odbicie w odrębnych zasadach naszego

^{*}) Plechanow: Podstawowe zagadnienia marksizmu, wyd „Książki“, str. 93—111.

^{**}) ibidem, str. 101—103.

myślenia i w odrębnych założeniach logiki; pierwszy znajduje swój wyraz w logice formalnej, drugi w logice dialektycznej. W określonych warunkach każda z tych logik posiada swoje uzasadnienie. Nie znaczy to jednak jakoby istniały dwa różne, aczkolwiek równorzędne systemy logiki. Jak spoczynek jest momentem ruchu, tak i logika formalna jest tylko poszczególnym wypadkiem logiki dialektycznej, która posiada szerszy charakter i zastosowanie.

Nie można nie uznać oryginalności wyłożonej teorii, którą naszym zdaniem z małymi modyfikacjami należało by uznać za słuszną.

Dla lepszego jej zrozumienia przyjrzyjmy się analogicznej sytuacji w innej dziedzinie nauki. Jak wiadomo, w dziedzinie geometrii system aksjomatyczny Euklidesa zajmował równie silną pozycję i przez równie długi okres czasu, jak system Arystotelesa w dziedzinie logiki. W pierwszej połowie ubiegłego stulecia posady geometrii euklidesowej zostały wstrząśnięte przez wyniki badań Łobaczewskiego, Boliay i Gaussa odnośnie do tzw. V postulatu Euklidesa, dotyczącego linii równoległych. Postulat ten głosi, że przez punkt leżący poza prostą można przeprowadzić do niej tylko jedną prostą równoległą. Systemy geometrii nieeuklidesowej wykazały, że można przeprowadzić dwie takie linie równoległe (jeśli założymy, że wszechświat jest nieskończony), albo ani jednej (jeśli założymy, że wszechświat jest skończony, lecz nie ograniczony). Okazuje się, że w zależności od skali pomiarów, prawidłowe będzie stosowanie jednej lub drugiej geometrii. Dla makrokosmicznych pomiarów sprawdzają się wyniki geometrii nieeuklidesowej, dla praktycznych pomiarów w skali potrzeb ludzkich sprawdzają się wyniki geometrii euklidesowej. Przy tym rzeczywistość jest jedna. Odbywa systemy geometrii analizują ją tylko z różnych punktów widzenia. Odnośnie zaś do stosunku wzajemnego tych dwóch systemów geometrii, możemy go charakteryzować w ten sposób, że geometria euklidesowa jest szczególnym wypadkiem geometrii nieeuklidesowej.

Ta sytuacja w dziedzinie geometrii w pewnych punktach przypomina stan w dziedzinie logiki, która jest rozdwojona na logikę dialektyczną i formalną.

Dialektyczna zasada jedności i walki przeciwieństw wstrząsnęła podstawami tradycyjnej, arystotelesowskiej logiki, podając w wątpliwość jej podstawowe twierdzenie — zasadę sprzeczności i zasady z nią się łączące. Z jakich założeń wychodziła nowa logika? Jej podstawą było myślowe odzwierciedlenie ruchu. Nie ulega wątpliwości, że logika ruchu musi zawierać w swych założeniach odpowiednik tej obiektywnej sprzeczności, która tkwi w samym ruchu, musi być „logiką sprzeczności“. Tak więc, dialektyka ma zastosowanie wówczas, gdy patrzymy na obiektywną rzeczywistość z punktu widzenia jej ruchu i rozwoju.

Ruch i rozwój są nieodłącznymi atrybutami realnej rzeczywistości; dla odzwierciedlenia praw nią rządzących konieczna jest więc logika dialektyczna. Ale musimy pamiętać o tym, że ruch wiąże się ze spoczynkiem, że warunkiem rozwoju są stany względnej równowagi — stany spoczynku. Ruch prowadzi do tworzenia się przemijających stanów równowagi materii — rzeczy, przedmiotów, organizmów. I one podlegają naturalnie

prawom ruchu i rozwoju, ale swoistość ich polega na tym, że w okresie trwania równowagi występują jako określona całość. Dzięki istnieniu tych całości, tzn. rzeczy (w szerszym znaczeniu obejmują one i żywe organizmy) jest możliwy rozwój jako przechodzenie od niższego do wyższego; w przeciwnym bowiem wypadku wszystko roztopiłoby się w ogólnym ruchu, w którym zostałyby unicestwiony i sam rozwój. W tym znaczeniu mówimy o stanach spoczynku (naturalnie względnego) jako o szczególnym momencie ruchu. Stany względnej równowagi (spoczynku) mogą być czasowo rozciągnięte, tak że praktycznie uchodzi naszej uwagi ich zmiana i przyjmujemy te stany za bezruch (np. epoki geologiczne). Otóż stany spoczynku są wprawdzie jedynie momentem ruchu, niemniej przeto posiadają być obiektywny i muszą znaleźć swe odzwierciedlenie w naszym myśleniu, w naszej zdolności poznawczej. Odzwierciedlenie tej strony rzeczywistości daje nam logika formalna i jej podstawowe założenia.

Istnieje — jak już powiedzieliśmy — jedna rzeczywistość, ale przy rozpatrywaniu jej są możliwe różne punkty widzenia. Istnieje punkt widzenia ruchu, który rodzi logikę dialektyczną oraz punkt widzenia bezruchu, który rodzi logikę formalną. Oba punkty widzenia mają swą obiektywną podstawę, a stąd mają ją oba systemy logiki. Każda z obu logik posiada więc swą sferę zastosowania; konkretne warunki analizy rzeczywistości dyktują, który system należy wybrać. Między tymi systemami istnieje nie tylko stosunek wzajemnego uzupełniania się, ale i stosunek hierarchicznej zależności. Jak spoczynek jest tylko momentem ruchu (stan względnej równowagi zrodzony przez ruch i przez tenże ruch likwidowany), tak i logika formalna, odzwierciedlająca prawa statycznej rzeczywistości, jest tylko szczególnym wypadkiem logiki ogólniejszej, logiki ruchu — dialektyki. Rozważana wyżej analogia, dotycząca stosunku między geometrią euklidesową, a nieeuklidesową, nie jest wcale zupełna. Sprawa wzajemnego stosunku obu logik i ich zastosowalności jest o wiele bardziej skomplikowana i o wiele w związku z tym ciekawsza.

Byłoby mechanistycznym uproszczeniem założenie, że w zależności od punktu widzenia raz myślimy kategoriami tylko logiki formalnej, a drugim razem tylko logiki dialektycznej. Uważniejsza analiza naszej zdolności poznawczej wykazuje, że nie potrafimy spostrzegać inaczej, jak wprowadzając pewien bezruch w spostrzeganą rzeczywistość. Potrafimy spostrzegać nie ruch w ogóle, nie ruch jako taki, a tylko ruch czegoś, a to coś jest jakimś stanem względnej równowagi materii. Jest to w pełnej zgodzie z prawami obiektywnej rzeczywistości. Ale wynika z tego, że nawet poznając ruch i myślowo go odzwierciedlając, jednocześnie myślimy i kategoriami ruchu i bezruchu, i kategoriami dialektyki i logiki formalnej. Wydzielenie dziedzin zastosowania obu logik nie oznacza więc mechanicznego ich rozgraniczenia; na odwrót w myśleniu naszym wiecznie się one nawzajem przeplatają i uzupełniają, stanowią momenty ludzkiego poznania.

Rezultaty naszych rozważań noszą naturalnie dyskusyjny charakter. Wykazują one jednak dostatecznie jasno, że nie ma mowy o pełnym wyrugowaniu jednego z rywalizujących systemów logicznych przez drugi.

Nie ma też mowy o detronizacji logiki formalnej; raczej idzie o zniesienie jej monarchii absolutnej i o wprowadzeniu swoistego systemu dwuwładzy z przyznaniem pierwszeństwa logice dialektycznej. W każdym razie nie ma mowy o pozbawieniu dialektyki tak doskonałego oręża technicznego, jakim jest logika matematyczna — wykwit logiki formalnej. Idzie tu w pierwszym rzędzie o to, że nie negując absolutnie znaczenia logiki formalnej, a tylko określając jej granice i modyfikując dotychczasowy sposób jej stosowania, dialektyka dopuszcza do głosu logikę formalną, a tym samym i logikę w określonej sferze działania. Czy metoda matematyczna mogłaby zostać zastosowana bezpośrednio do dialektyki po jej sformalizowaniu, jest rzeczą wątpliwą i wydaje się niecelowe. Z drugiej strony, sojusz z dialektyką mógłby uchronić logikę matematyczną przed niebezpieczeństwem formalistycznego wypaczenia, które jej, mimo wszystkich niezaprzeczalnych sukcesów, poważnie zagraża. Wzajemne poznanie się, przemyślenie stosunku wzajemnego i roli każdego ze zwalczających się systemów logicznych oraz doprowadzenie do syntezy bez popadnięcia w eklektycyzm, miałyby niezawodnie zbawcze skutki dla rozwoju logiki i postępu nauki w ogóle. I dlatego warto by poświęcić temu zagadnieniu więcej uwagi i wszcząć wokoło niego poważną dyskusję. Tylko tą drogą można bowiem dojść do pozytywnych rezultatów.

Roman Markuszewicz

Ideały wychowawcze w przeszłości a w rzeczywistości współczesnej

I. DOTYCHCZASOWE TEORIE PSYCHOLOGICZNE A TEORIA BIOLOGICZNO-SPOŁECZNA JAKO PODSTAWA WYCHOWANIA

Zgadza się wszyscy, że wychowanie jest najpilniejszym zagadnieniem przełomowych czasów obecnych. Okres okupacji barbarzyństwa niemieckiego — okupacji nie tylko fizycznej ale i moralnej — zaciążył nad rozwojem naszej młodzieży. Jest ona przedwcześnie dojrzała, jeśli chodzi o cierpienie ludzkie — ale jednocześnie i niedorozwinięta, gdyż nie zaznała beztroskiej radości dziecięcej. Chce ona być zrozumiana przez pokolenie starsze — gdyż często nie rozumie sama siebie.

Reformy szkolnictwa, uprzystępnienie i upowszechnienie nauczania nie rozwiązują całości zagadnienia. Istnieją przeciwieństwo wykształceni barbarzyńcy — czego dowodem są Niemcy. Ale dopiero wykształcenie, któremu towarzyszy właściwe wychowanie, prowadzi do rozwoju psychicznego człowieka i decyduje o kulturze. Jakim więc powinno być wychowanie? Rozlegają się w prasie głosy, nawołujące do nowego stosunku do pracy, do moralnego odrodzenia człowieka. Narzuca się jednak pytanie: w jaki sposób odrodzenie to można osiągnąć? Należy przede wszystkim zastanowić się nad wychowaniem dotychczasowym współczesnego młodego pokolenia, zrozumieć genezę ówczesnych ideałów wychowawczych i przyczyny ich niepowodzenia — a następnie ściśle określić nowe ideały wychowawcze społeczeństwa demokratycznego. Celem znalezienia odpowiedzi na nasuwające się tutaj zagadnienia i wątpliwości, winniśmy oprzeć się o odpowiednią teorię psychopatologiczną, która umożliwiłaby zrozumienie psychicznego rozwoju człowieka w związku z jego warunkami bytowania.

Istnieje szereg teorii psychologicznych i psychopatologicznych, które niezależnie od ich zasług w historii rozwoju tej nauki, nie spełniają jednak wysuniętego przez nas żądania: nie wyjaśniają rozwoju psychicznego człowieka i chorobliwych odchyień tego rozwoju w związku z warunkami bytowania.

Psychologia oficjalna, szkolna, posługuje się nadal intelektualistycznym pojęciem świadomości, wprowadzonym do psychologii w XVII stuleciu przez Descartes'a. Jest to introspekcyjne pojmowanie świadomości jako zamkniętego w sobie świata wewnętrznego, który jest dostępny poznaniu jedynie przeżywającego podmiotu; psychologia klasyczna stała się nauką subiektywną, niesprawdzalną obiektywnie, gdyż metodą poznania psychologicznego była introspekcja. Przedmiot psychologii uległ w ten sposób sztucznemu ograniczeniu, gdyż sprowadzony został do poznania jedynie funkcji świadomości.

Psychologia fizjologiczna, doświadczalna wniosła do nauki dużo doniosłych faktów, umożliwiła poznanie, dzięki eksperymentalnemu badaniu całego szeregu czynności świadomości, jak np. postrzeganie, uwaga, pamięć itp. Psychologia fizjologiczna nie była jednak dotychczas w stanie wyjaśnić bardziej złożonych procesów psychicznych i przeżyć, nie uwzględnia ona również znaczenia czynników społecznych w psychologii, wobec czego jej wartość dla psychopatologii jest ograniczona.

Jako reakcja na subiektywizm psychologii klasycznej powstał w Ameryce na początku XX stulecia nowy kierunek psychologii tzw. behaviorizm (behaviour — oznacza zachowanie się). W Rosji kierunkiem analogicznym była refleksologia (Bechterew). Behaviorizm odrzuca świadomość człowieka i bada jego działalność, zachowanie się, aby w ten sposób stać się psychologią obiektywną, niezależną od introspekcji. Działalność jednak ludzka sprowadzona zostaje przez ten kierunek psychologii do nieświadomych odruchowych reakcji, występujących jako odpowiedź na bodźce zewnętrzne. Behaviorizm prowadzi w ten sposób do zniekształcenia obrazu człowieka, który staje się zmechanizowanym automatem. Nie są bowiem brane pod uwagę wewnętrzne przyczyny działalności człowieka — jego popędy. Dowodzą tego również ostatnie odkrycia Cybulskiego i Becka w dziedzinie fizjologii ośrodkowego układu nerwowego — a mianowicie powstawanie w korze mózgowej prądów elektrycznych, które wpływają na każdy odruch. Odkrycia te, jak słusznie podnosi Mazurkiewicz¹⁾, burzą teorię refleksologiczną. Odruch bowiem jest nie tylko odpowiedzią na bodziec zewnętrzny — ale jest współzależny od energii układu wegetatywnego, od życia uczuciowego, popędowego człowieka. O tym fakcie fizjologicznym należy pamiętać, aby mieć właściwe, krytyczne ustosunkowanie do kierunków psychologicznych, które opierają się o behaviorizm.

Odejście od descartowskiego pojęcia świadomości ujawniło się w sposób znacznie głębszy w kierunku psychopatologii, znanym powszechnie pod nazwą freudyzmu. Świadomość — według poglądów Freuda — jest zaledwie cechą zjawisk psychicznych, nie zawsze im nawet towarzyszącą. Istotnym punktem wyjścia procesów psychicznych jest nieświadomość, która jest siedliskiem popędów. Te ostatnie, a specjalnie popęd seksualny — jak to Freud stwierdził na wielkim materiale klinicznym — jest motorem czynów człowieka. Nieprzemijającą zasługą Freuda jest udowodnienie

1) J. Mazurkiewicz: „O dwoistej funkcji układu nerwowego“, odczyt wygłoszony na Zjeździe Psychiatrów Polskich, dnia 1. XI. 1945 roku.

determinizmu popędowego — dzięki odkryciu historii rozwoju popędu seksualnego, wprowadzenie do psychologii pojęcia dynamiki psychicznej, konfliktu chorobotwórczego, umożliwienie zrozumienia psychopatologii życia codziennego. Uznanie to jednak nie powinno przesłaniać nam faktu, że istnieją w jego teorii błędy zasadnicze, które w końcu doprowadziły do kryzysu freudyzmu²⁾. Błędami tymi są: panseksualizm i nieuwzględnianie warunków bytowania jako czynnika kształtującego psychikę. Doprowadziło to w końcu do wypaczenia — w praktyce psychoanalitycznej — odkryć F r e u d a: determinizm popędowy przekształcił się w fatalizm konstytucjonalny, analiza subtelnych mechanizmów psychicznych stała się często bezcelowym psychologizowaniem, wyolbrzymiony przez mikroskop szczegół psychologiczny przysłonił całość badanego obiektu, gdyż zagubione zostały powiązania społeczne człowieka.

Potrzeba zrozumienia człowieka jako członka społeczeństwa ujawniła się w kierunku psychologii francuskiej, tzw. szkoły socjologicznej. L é v y - B r u h l, B l o n d e l, P i a g e t wyjaśniają postacie świadomości jako produkty rozwoju społecznego. Ale rozwój psychiczny człowieka — w myśl poglądów tej szkoły — nie jest ciągiem dalszym rozwoju biologicznego, lecz wynikiem wypierania form pierwotnej psychiki, uwarunkowanym rozwojem biologicznym — przez psychikę uspołecznioną. Rozwój więc społeczny jest sztucznie przeciwstawiany rozwojowi biologicznemu człowieka.

Tendecje analogiczne ujawniły się w psychologii radzieckiej. W y g o t s k i j przeciwstawia rozwojowi kulturalnemu rozwój naturalny człowieka. Swoistą jednak cechą psychologii radzieckiej lat ostatnich jest — jak zaznacza R u b i n s z t a j n³⁾ — dążność do zbudowania psychologii marksistowskiej na podłożu dialektycznego materializmu. Psychologia ta ma dlatego charakter deklaratywny; jej punktem wyjścia nie jest materiał obserwacyjny — ale marksizm jako filozoficzna podstawa psychologii. Próba ta nie powiodła się K o r n i ł o w o w i, który w teorii swej połączył psychologię doświadczalną z behavioryzmem. Dopiero w latach ostatnich szkoła moskiewska (R u b i n s z t a j n) stawia problemat psychologii człowieka jako istoty uspołecznionej ze znacznie większym powodzeniem.

Podobnie jak K o r n i ł o w, również R u b i n s z t a j n⁴⁾ w teorii swojej daje syntezę psychologii doświadczalnej z behavioryzmem. Synteza ta jednak powoduje powstanie czegoś nowego, gdyż autor stara się usunąć błędy obu tych kierunków, zaś teorię swoją wyprowadza z filozoficznego marksizmu.

Najnowszy ten kierunek psychologii radzieckiej nawiązuje do poglądów M a r k s a, które wypowiedział on we wstępie do „Krytyki ekonomii politycznej“ (1859 r.) o istniejącym związku między świadomością człowieka a jego warunkami bytowania. R u b i n s z t a j n stwierdza, że zjawiska psychiczne przejawiają się w działalności człowieka i w introspekcji, tzn. w odzwierciedlaniu się psychiki w samej sobie.

2) Por. rozprawy moje: „O njeokńczającej się analizie Freuda“, Rocznik Psychiatryczny, z. XXXIV/XXXV, 1938 r. i „Kryzys freudyzmu“, Lublin, 1945 r.

3) S. L. Rubinsztajn: „Osnovy obszcznej psychologii“, Moskwa 1940 r.

4) Ibid.

Świadomość jest swoistą postacią odzwierciedlania się obiektywnej rzeczywistości, która istnieje niezależnie od świadomości. Ta ostatnia jest więc zamkniętym w sobie światem, gdyż jej treść wewnętrzna wynika z ustosunkowania się jej do zewnętrznej, obiektywnej rzeczywistości. Świadomość jest dlatego zawsze uświadomionym bytowaniem. Świadomość, kształtując się w procesie społecznej praktyki, ujawnia się nie tylko w produktach ludzkiej działalności — ale te ostatnie wywierają na nią również wpływ kształtujący. Psychika kształtuje się w czynności — świadomość więc ujawnia się w działalności, zachowaniu się człowieka. Działalność i świadomość nie są to dwa zwrócone w różnych kierunkach aspekty — ale tworzą organiczną całość — nie tożsamość, ale jedność.

W ten sposób, w teorii Rubinsztajna, ulega zmianie zarówno behaviorystyczne pojęcie działalności, jak i introspekcyjne pojęcie świadomości, którą pojmuje on jako wynik historycznego rozwoju człowieka. Dzięki temu umożliwiające jest zrozumienie powstania psychiki w wyniku dalszego biologicznego rozwoju człowieka. Psychika i materia — nie są dwoistością, nie są również tożsamością — ale jednością. Pierwszą bowiem przesłanką powstania ludzkiej świadomości był rozwój mózgu człowieka. Ale sam mózg i jego swoiste właściwości są produktem historycznego rozwoju człowieka. Podstawowe prawo biologicznego rozwoju organizmu zawarte jest w twierdzeniu o jedności budowy i czynności: organizm rozwija się funkcjonując; zaś jego psychika kształtuje się w procesie jego działalności życiowej. Podstawowe prawo historycznego rozwoju psychiki, świadomości człowieka, zawarte jest w twierdzeniu, że człowiek rozwija się pracując. Zmieniając otaczającą go przyrodę w procesie pracy, człowiek poznaje właściwości przedmiotów, które są obiektami jego pracy — a więc np. właściwości drzewa, żelaza itp. A jednocześnie — w procesie pracy — człowiek sam również podlega zmianie rozszerzając zakres swej świadomości przez zdobycie nowych wiadomości — wiedzy. Podstawowe prawo rozwoju: jedność budowy i czynności — otrzymuje w zastosowaniu do historycznego rozwoju psychiki klasycznej swój wyraz w jednym z fundamentalnych twierdzeń marksizmu: praca stworzyła człowieka.

Najnowsza ta teoria psychologiczna wymaga zastanowienia i dyskusji. W oparciu o znaną zresztą z fizjologii zasadę jedności budowy i czynności, Rubinsztajn wprowadza do psychologii twierdzenie Marksa o jedności pracy, działalności człowieka i jego świadomości. Podkreślony jest w ten sposób kształtujący wpływ działalności na świadomość, dzięki czemu uzasadnione jest znaczenie warunków bytowania jako czynnika formującego ludzką świadomość. Jest to pozytywne osiągnięcie psychologii radzieckiej. Kierunek ten udowadnia konieczność poznawania przez psychologię człowieka jako jednostki uspołecznionej. A jednocześnie uzasadniony jest stale postępujący rozwój człowieka, mimo sprzeczności i pozornych załamań w jego przebiegu. Idea ewolucjonizmu jest utrwalona przez stwierdzenie, że rozwój historyczny człowieka jest ciągiem dalszym jego rozwoju biologicznego. Stwierdzenie to umożliwia postawienie zasady jedności jako próby rozwiązania problemu psychofizycznego. Podkreślając pozytywne osiągnięcia tego kierunku psychologii, stwierdzić jednak należy i jego niedociągnięcia. Miejsce naczelne w teorii

tej zajmuje działalność człowieka: jako czynność kształtuje ona organizm, jako praca formuje świadomość. Działalność jest więc motorem rozwoju zarówno biologicznego, jak i psychicznego. Ale narzuca się pytanie zasadnicze: skąd płynie ta działalność, z jakich źródeł dynamicznych czerpie swą siłę? Rubinsztajn nie udziela odpowiedzi zadowalającej na to zasadnicze pytanie. Działanie człowieka wypływać ma z jego świadomości; idee mają być siłą napędową zachowania się człowieka. Brak jednak odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób powstają idee, jaki jest udział w ich genezie popędów, potrzeb, interesów człowieka. Rubinsztajn, zajmując stanowisko behaviorystyczne, pozostaje w sprzeczności z faktem fizjologicznym, o którym wspomniałem poprzednio w związku z odkryciem prądów elektrycznych w korze mózgowej, że życie uczuciowe, popędowe wpływa kształtująco na powstawanie nawet zwykłego odruchu.

Stwierdzając zaś w teorii swojej wpływ pracy, warunków bytowania na świadomość człowieka, Rubinsztajn osłabia, mimo woli, wpływ kształtujący warunków bytowania człowieka na całość jego psychiki. Rozszerzenie bowiem dzięki pracy zakresu świadomości przez zdobycie nowej wiedzy nie może być uważane za czynnik decydujący, który zmienia do głębi psychikę człowieka. Brak jest w najnowszej teorii psychologii radzieckiej czynnika, który uzasadniałby wpływ warunków bytowania na przekształcenie psychiki ludzkiej. I dlatego teoria ta nie wywarła, jak dotychczas, istotnego wpływu na radziecką psychoterapię i pedagogikę. Jest to wynikiem nieuwzględniania w teorii Rubinsztajna dynamiki psychicznej, wywodzącej się z popędów, co w konsekwencji uniemożliwia zrozumienie tego, co w człowieku jest najistotniejsze. Wystarczy zwrócić się do materiału klinicznego — do psychonerwic, psychopatii — aby zrozumieć skąd idee czerpią swą nigdy nie wyczerpującą się siłą napędową. Dla psychopatologa nie ulega wątpliwości, że jednym z najistotniejszych źródeł dynamicznych działalności są popędy. Psychiatra radziecki tej miary jak Gilarowski krytykuje teorię freudowską ze stanowiska jedynie słusznego — na podstawie faktów klinicznych — i wypowiada⁵⁾ pogląd następujący: „Zainteresowanie psychoanalizą w Związku Radzieckim jest obecnie bardzo małe, jak również brak jest jej teoretycznego opracowania. Należy po części wyrazić żal, że zupełnie uzasadniona krytyka psychoanalizy, przeprowadzona z punktu widzenia dyskusji zasadniczej nad podstawowymi zagadnieniami psychopatologii, rzuciła odium na najbliźsze nawet zainteresowanie freudyzmem”. To właśnie odium — dodajmy — jest wynikiem podejścia do teorii naukowej z punktu widzenia deklaratywnego, ideologicznego — a nie na podstawie obserwacji i materiału klinicznego.

Zachowując z teorii psychologii radzieckiej to, co w niej jest cenne i uzasadnione, nie możemy jednak przyjąć jej całokształtu. Usprawiedliwione jest dla tego powstanie teorii nowej, do której doszedłem na podstawie długoletniej obserwacji i analiz neurotyków⁶⁾.

5) W. A. Gilarowski: „Psychiatrija“, Moskwa 1935 r., str. 706.

6) Por. rozprawy moje: „Wstępny zarys psychopatologii popędu samozachowawczego“, Rocznik psychiatryczny, z. XXI 1933 r. „Infantylizm popędu samozachowawczego“, Rocznik Psychiatryczny, z. XXII 1934 r. „Urogenitalizm“, Rocznik Psychiatryczny, z. XXVI XXVII, 1936 r. — „Konflikt popędowy“, Rocznik Psychiatryczny.

Teorię moją nazwałem teorią biologiczno - społeczną: opiera się ona bowiem o analizę popędu zachowawczego i udowadnia wpływ kształtujący warunków bytowania na życie popędowe, a więc na całokształt psychiki człowieka.

Popędem zachowawczym nazywam, wbrew ogólnie przyjętej definicji, popęd zachowania czynności. Jedyne bowiem czynności organizmu decydują o jego trwaniu i rozwoju. Pojęcie natomiast „zachowania życia” nie jest pojęciem biologicznym — ale witalistycznym. Znaczenie czynności uwydatni się tym bardziej, jeśli weźmiemy pod uwagę, że czynność jest nie tylko wynikiem anatomicznej budowy narządu — ale też bodźcem ewolucyjnym dla danego narządu. Czynność doskonali narząd — jest więc czynnikiem kształtującym. Pod wpływem czynności narząd zmienia swą budowę anatomiczną. Dzięki temu rozumiemy, że niemowlę uczy się już czynności, gdy narządy jego nie są jeszcze do nich dostosowane — że patrzy, chociaż jeszcze nie widzi — że stara się chodzić, chociaż nie potrafi trzymać się na nogach. Narządy te dojrzewają właśnie dzięki bodźcowi ewolucyjnemu, jakim jest czynność.

Najwyraźniejszym dowodem, że czynność jest bodźcem rozwojowym i kształtującym budowę anatomiczną narządu, jest proces dojrzewania włókien nerwowych mózgu, co się ujawnia w powstawaniu otoczek rdzennych dookoła nitek osiowych włókien nerwowych. „W korze mózgu — mówi Edinger⁷⁾ — ciągle jeszcze w okresie życia późnym, bo aż po wiek średni, powstają nowe tory mózgowie, zawierające włókna rdzenne. Rozwój osłonek rdzennych nasuwa przypuszczenie, że sami sobie stwarzamy, ćwiczeniem, nowe te tory. Całe nasze wychowanie polega może na tym, że dzięki ćwiczeniu nowe tory są zdolne do użytku”.

Nowa więc definicja popędu zachowawczego umożliwi nam zrozumienie popędu tego jako czynnika ewolucyjnego — wówczas gdy witalistyczna definicja dotychczasowa zniekształciła popęd ten w ostoję wsteczności, egoizmu, nienawiści. A jednocześnie popęd zachowania czynności, dając w związku z działalnością uczucie przyjemności, wzmagające samopoczucie człowieka, podkreśla pozytywne znaczenie aktywności dla psychiki. Konsekwencje wprowadzenia konkretnego pojęcia zachowania czynności, w miejsce mglistego i nierealnego pojęcia zachowania życia, zmieniają całe zagadnienie popędu zachowawczego. W oparciu bowiem o nową definicję popędu zachowawczego postawić należy w miejsce kultu życia — kult działalności człowieka, w miejsce pietyzmu dla samego trwania życia — pietyzm dla pracy człowieka.

Dzięki nowej definicji popędu zachowawczego możliwe się staje odtworzenie historii rozwoju tego popędu. Wyodrębniłem dwie rozwojowe postacie popędu zachowawczego: dziecięcą i dojrzałą. I n f a n t y l n y m p o p e d e m z a c h o w a w c z y m n a z y w a m

XXIX/XXX 1937 r. — „Podstawy pojęciowe popędu zachowawczego”, Medycyna społeczna i kliniczna, Lublin, 1945 r. „O nowy kierunek w psychopatologii”, odczyt wygłoszony na Zjeździe Psychiatrów Polskich dnia 1. 11. 1945 roku.

7) Edinger: „Vorlesungen über den Bau der nervösen Zentralorgane“ 1904, t. I, str. 32.

pierwszy okres rozwoju tego popędu, który przejawia się w bierności i w dążności do zewnętrznego oparcia o matkę, dzięki której i w związku z którą możliwe jest dla niemowlęcia wykonywanie czynności, koniecznych dla jego organizmu. Uczucie równowagi psychicznej i własnej mocy powstaje dzięki temu, że to zewnętrzne oparcie zostało uzyskane. W nieobecności zaś obiektu oparcia, a więc matki lub osoby zastępczej, dochodzi do wzmożenia infantylnego popędu zachowawczego, tzn. do uczucia zagrożenia.

Natomiast wirylnym (dojrzałym) popędem zachowawczym nazywam drugi okres rozwoju popędu, który przejawia się w dążności do oparcia o siebie samego; dokładniej mówiąc, jest to oparcie o własny ideał osobowości. Ideałem osobowości nazywamy to idealne wyobrażenie o sobie samym, które człowiek wytwarza w czasach swej młodości na podstawie swych przeżyć, warunków bytowania i wpływów wychowawczych otoczenia. Ideał jaźni jest trzonem moralnym osobowości i umożliwia jej zachowanie równowagi psychicznej. Stosunek do otoczenia jest w tym okresie cechowany aktywnością i gotowością udzielania innym ludziom oparcia o siebie. Infantylna dążność do oparcia o matkę ulega przekształceniu — sublimacji — w dążność do oparcia o społeczeństwo. Uczucie zagrożenia powstaje w wyniku bardziej skomplikowanego mechanizmu — na skutek konfliktu popędowego, tzn. konfliktu między popędem zachowawczym a seksualnym⁸).

Przejście od infantylnej do wirylnej postaci popędu zachowawczego wynika z całego rozwoju człowieka i zależne jest również od warunków bytowania, w jakich człowiek przebywa. Rozwój popędu odbywa się stopniowo, przy czym postać rozwojowo późniejsza nie przekreśla postaci wcześniejszej, która wchodzi w skład postaci dojrzałej, ulegając przekształceniu. Tak więc dążność do oparcia o matkę przechodzi w dążność do oparcia o społeczeństwo; ale trwa ona częściowo w swej postaci pierwotnej i ujawnia się w oparciu o osoby najbliższe, którym jednak wirylny osobnik również udziela oparcia.

Zagadnieniem więc podstawowym w rozwoju człowieka jest osiągnięcie przezeń równowagi psychicznej w zależności od punktu ciężkości i oparcia ustroju psychicznego.

Niedotłumienie infantylnej dążności do zewnętrznego oparcia prowadzi do wytwarzania ludzi biernych, niezdolnych do samodzielnego życia psychicznego i poszukujących w miejsce oparcia o matkę — oparcie zastępczych, jak np. oparcia o pieniądź, o stanowisko lub o osoby z najbliższego swego otoczenia. Oparcie zewnętrzne jednak nigdy nie może spowodować u człowieka dojrzałego równowagi psychicznej trwałej, gdyż punkt ciężkości znajduje się poza ustrojem psychicznym. Zewnętrzne oparcie powoduje, co najwyżej, tylko w początkowym okresie jego osią-

8) Ze względu na to, że przedstawiam tutaj teorię moją w największym skrócie, nie poruszam zagadnienia rozwoju popędu seksualnego i konfliktu popędowego. Zagadnienia te, które dokładnie wyjaśniam w innych moich rozprawach („Urogenitalizm“, Rocznik Psychiatryczny, z. XXVI/XXVII, 1936 r. i „Konflikt popędowy“, Rocznik Psychiatryczny, z. XX X/XXX, 1937) odgrywają dużą rolę w rozwoju biologicznym jednostki i uzasadniają swoistą jej wrażliwość na wpływ warunków bytowania.

gania uczucie zabezpieczenia — ale wkrótce wyzwala się również i lęk, aby tego oparcia nie utracić. Prawdziwą gwarancją niezależności i równowagi psychicznej człowieka jest odejście od wszelkich zastępczych oparc zewnątrznych z zachowaniem jedyne go oparcia — o społeczeństwo. Z tego punktu widzenia staje się zrozumiałe, że zdrowie psychiczne jest jednoznaczne z wartością społeczną człowieka. Psychonerwice zaś, tzn. choroby nerwowe pochodzenia psychicznego, są chorobami społecznymi — w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Dzięki nowej definicji popędu zachowawczego przyznajemy, że ustrój społeczny, warunki bytowania wywierają wpływ przemożny na rozwój popędu zachowawczego. Im mniejszego bowiem oparcia społeczeństwo udziela jednostce, tym trudniejszy jest jej rozwój — tym bardziej opiera się ona o inne jednostki, względnie szuka innego oparcia zastępczego i zabezpieczenia — a więc utrwała się w niej infantylny popęd zachowawczy. Podobne skutki występują w następstwie wszelkich nierówności społecznych, braku sprawiedliwości społecznej, niezabezpieczenia poszczególnym jednostkom równego startu życiowego. Społeczeństwo jako sublimacja oparcia o matkę nie może i nie powinno traktować po macoszemu części obywateli lub nawet całych warstw ludności. Spoistość społeczeństwa rozpada się wówczas. Możliwość jego rozwoju ulega zahamowaniu. W tym samym kierunku — zahamowania rozwoju psychicznego — działają również i inne warunki bytowania. Niedostateczne wynagrodzenie za pracę powoduje pogon za pieniądzem, a więc poszukiwanie oparcia zastępczego, aby zdobyć konieczne warunki utrzymania. Wytwarza się wówczas przeświadczenie, że jedynym miernikiem pracy jest nie jej wartość społeczna — ale pieniądz, który daje możność życia. Praca — ta najistotniejsza działalność człowieka — zostaje zdegradowana; infantylny popęd zachowawczy ulega utrwaleniu. Podobnie działają i inne warunki bytowania. Świadomość, że praca służy wzbogaceniu jednostki — a nie społeczeństwa — pozbawia tę pracę walorów społecznych i uniemożliwia oparcie o społeczeństwo. Praca pod stałą groźbą bezrobocia, gdy utrata miejsca pracy jest równoznaczna z przekreśleniem warsztatu pracy, działalności człowieka, oznacza skazanie człowieka nie tylko na głód — ale i na przymusową bezczynność, bierność. Takie warunki bytowania powodują tym większą zależność od pracodawcy, w stosunku do którego wytwarza się infantylny stosunek oparcia i zagrożenia, aby oparcia tego nie utracić.

Warunki bytowania wywierają więc wpływ kształtujący na psychikę człowieka. Wpływ ten skuteczniejszy jest poprzez popęd zachowawczy. Utrwalenie bowiem infantylnego popędu zachowawczego powoduje utrwalenie i infantylnego popędu seksualnego, w wyniku czego świadomość ulega deformacji.

Stwierdzamy tu ścisłą zależność między osiągniętym rozwojem popędowym człowieka a warunkami jego bytowania. Te dwa czynniki oddziałują na siebie nawzajem — są szeregiem wzajemnie uzupełniających się przyczyn. Ustrój społeczny — o ile chodzi o jego przesłanki psychologiczne — jest nie tylko wyrazem organizacji popędowej człowieka,

jego głęboko utrwalonej potrzeby oparcia — ale jest i czynnikiem kształtującym dalszą ewolucję człowieka.

Przytoczone fakty udowodniają, że ewolucja biologiczna sprzęga się z rozwojem historycznym człowieka — poprzez popęd zachowawczy. Ten punkt widzenia stanowi o nowym kierunku psychopatologii, który nazwałem biologiczno-społecznym.

Wpływ kształtujący warunków bytowania na rozwój popędów, nie jest bynajmniej zjawiskiem wyjątkowym, co stwierdza teoria biologiczno-społeczna. Przytoczę obserwację z życia pszczoł, która udowodnia, jak głęboko sięgają w życie biologiczne warunki bytowania.

Wiadomo, że pszczoły, gdy ich królowa umiera, hodują nową królową z młodych gąsienic robotnic. Hodowla ta odbywa się w ten sposób, że jedna z gąsienic, z których rozwijają się pszczoły robocze, otrzymuje więcej pokarmu niż inne. Z tej lepiej odżywianej gąsienicy rozwija się samica, tzn. nowa królowa. Widać tutaj wyraźnie wpływ ilości pokarmu na powstanie z gąsienicy — bądź robotnicy, bądź królowej. Stwierdzić przy tym należy, że pod wpływem odmiennych warunków bytowania, pszczoła-matka jest inaczej zbudowana niż pszczoły robocze: jest większa, nie ma przyrządów do zbierania pyłku kwiatowego ani organów wydzielających wosk — czynność jej zaś, odpowiednio do rozwiniętych narządów płciowych, sprowadza się do składania jajeczek. Odmiennie więc czynności samicy i robotnicy są wynikiem ich odmiennych narządów, na rozwój zaś tych narządów wpływa obfitość pożywienia gąsienicy.

II. WYCHOWANIE W OKRESIE KAPITALISTYCZNYM

Po zapoznaniu się w najogólniejszych zarysach z teorią biologiczno-społeczną, zastanówmy się nad wychowaniem dotychczasowym. Z punktu widzenia tej teorii, rozwój psychiki człowieka i odpowiadające rozwojowi temu ideały wychowawcze nie są rzeczą przypadkową, dowolną — ale uzależnioną od warunków bytowania, w jakich człowiek wzrasta i żyje. Celem więc zrozumienia genezy ideałów wychowawczych okresu dotychczasowego, uźródłowić należy strukturę gospodarczo-społeczną danego czasokresu.

Rewolucja francuska wyzwoliła człowieka z niewoli feudalnej, pańszczyźnianej, tzn. przekreśliła zależność fizyczną, przejawiającą się w oparciu zewnętrznym człowieka pracującego o obszarnika. Rewolucja francuska, znosząc przywileje ówczesnej klasy panującej, zapoczątkowała nową epokę w historii ludzkości: rozwój kapitalizmu i demokracji mieszczańskiej. W miejsce oparcia o obszarnika — ustrój kapitalistyczny dawał oparcie zastępcze o pieniądź. Zależność więc fizyczna z okresu feudalnego zastąpiona została w epoce powstającego kapitalizmu przez uzależnienie psychiczne człowieka od pieniądza: niewola feudalna zamieniona została przez opętanie człowieka przez pieniądź.

W okresie początkowym rozwoju kapitalizmu opieranie się o pieniądź równoważone było w pewnym stopniu przez oparcie się robotnika o wyniki własnej pracy: rozkwit rzemiosł, wynalazczość i postępy techniki wzmacniały ideał osobowości rzemieślnika, co przejawiało się w roz-

woju i znaczeniu cechów. Te właśnie czynniki paraliżowały zgubne dla rozwoju człowieka następstwa opierania się o pieniądź. W miarę jednak coraz szybszego rozwoju kapitalizmu i techniki punkt ciężkości ustroju psychicznego człowieka ulegał coraz bardziej przesunięciu na zewnątrz. Zautomatyzowanie degradowało pracę robotnika, i pieniądź stawał się jedynym oparciem. A więc np. tzw. fordyzm pozbawia robotnika inicjatywy, aktywności, zadowolenia z pracy. Prowadzi to do pomniejszenia wartości pracy i godności robotnika, do zachwiania jego równowagi psychicznej, gdyż ideał osobowości pracownika ulega degradacji. Powstaje wówczas tym większa zależność od pracodawcy, rozporządzającego wszystkimi skomplikowanymi środkami produkcji — podczas gdy robotnik dysponuje tylko siłą swych mięśni. Wytwarza się dlatego w pracowniku w stosunku do pracodawcy infantylny stosunek oparcia i zagrożenia, aby oparcia tego nie utracić.

W wyniku więc rozwoju kapitalizmu narasta w psychice ludzkiej coraz silniejsze uczucie zagrożenia i utrwała się infantylny popęd zachowawczy, co ujawnia się w dążności do bierności. Utrwalenie zaś infantylnego popędu zachowawczego powoduje zahamowanie rozwoju popędowego (a więc i popędu seksualnego), co w konsekwencji zniekształca psychikę człowieka i degraduje stosunek jego do pracy. Bodźcem bowiem do pracy jest wówczas lęk przed jej utraceniem i pieniądź jako rzekomo jedyne zabezpieczające oparcie w życiu. W tym błędnym kierunku zmierzało zazwyczaj i wychowanie „domowe”. Kierowało się ono na ogół wpajaniem w wieku dziecięcym lęku i wskazywaniem różnych przykładów oparcia, które rzekomo miały przed tym lękiem zabezpieczać. Takim „najpewniejszym” oparciem miał być pieniądź. I dlatego praca służyła do zdobycia pieniądza, którego brak lub posiadanie regulowało stosunki między ludźmi. Lęk i zabezpieczające oparcie były dwoma biegunami, między którymi przebiegało życie psychiczne człowieka. W wieku dziecięcym: lęk przed rodzicami a później przed nauczycielami — zaś dobry stopień jako zabezpieczające przed gniewem oparcie. W wieku dojrzałym: lęk przed szefem — i oparcie o stanowisko i o pieniądź jako zabezpieczające przed głodem oparcie: Widmo bezrobocia, nędzy, było bodźcem do współzawodnictwa, do „walki o byt”, która prowadziła do degradacji człowieka, do zerwania więzi społecznych, do niedoceniań ich wartości. Człowiek coraz bardziej tracił swą godność, lęk towarzyszący stale jego rozwojowi uniemożliwiał postępowanie naprzód, hamował uzdolnienia, utrudniał przejawianie aktywności życiowej — pozbawiał radości życia. W tych warunkach bytowania wychowawcy usiłowali wprowadzić do ideału osobowości dziecka cechy wzniosłe, szlachetne. Wpajali uczucie sprawiedliwości — wówczas, gdy życie społeczne opierało się na niesprawiedliwości społecznej. Uczyli miłości bliźniego — gdy jednocześnie uznawali konieczność konkurencji wszystkich przeciw wszystkim, aby ostać się w walce o byt. Mówili o altruizmie, o uczciwości — a jednocześnie wpajali estetykę życia, prowadzonego na wysokim poziomie materialnym. Sławili wreszcie aktywność, przedsiębiorczość, samodzielność człowieka — ale nakazywali mu nie walkę, lecz układne poszukiwanie oparcia o powszechnie uznane autorytety. Formowany w tych warunkach ideał osobowości dziecka miał cechę dwo-

istości, fałszu, wewnętrznego zakłamania. Inaczej być nie mogło. Warunki bytowania, przykłady otoczenia powodowały powstawanie cech ideału osobowości, sprzecznych z tymi, które głosili wychowawcy. Wytworzony w ten sposób ideał osobowości — chwiejny, gdyż zawierający przeciwieństwa — nie mógł być oparciem dostatecznym. Istniejący zaś lęk paraliżował aktywność, nakazywał bierność, ucieczkę od życia i od działalności w świat marzeń i fantazji, w których realizował sprzeczne z rzeczywistością życzenia. Powstawała w ten sposób podwójna rzeczywistość: realna i psychiczna — podobnie jak istniał dwoisty ideał osobowości człowieka. Ten stan psychiczny zmierzał do rozdwojenia osobowości, do obcości wobec życia — do dekadencji człowieka. Psychonerwice, tzn. choroby takie, jak depresja, stany lękowe, natręctwa, histeria, zaburzenia seksualne, stawały się coraz częstszymi chorobami. Neurotyzacja społeczeństwa zataczała coraz szersze kręgi.

Konsekwencją wychowania w okresie kapitalistycznym nie było, jak widzimy, utrwalenie w ideale osobowości cech wzniosłych, głoszonych przez wychowawców — ale wytworzenie właściwości charakterologicznych, które wynikały z warunków bytowania. Praca wychowawcza była, niestety, pracą syzyfową. Niepowodzenie jednak metod wychowawczych spowodowane było nie złą „z natury“ psychiką dziecka, nie obciążeniem dziedzicznym — ale nie liczeniem się wychowawcy z faktem oczywistym, że warunki bytowania wywierają na psychikę wpływ trwalszy, niż sprzeczne z nimi ideały wychowawcze.

Warunki bytowania okresu kapitalistycznego stawały się coraz silniejszym hamulcem dla rozwoju psychicznego człowieka w miarę przechodzenia ustroju kapitalistycznego w kapitalizm zjednoczony — karteli, syndykatów, trustów. Kryzysy gospodarcze, nadprodukcja, bezrobocie zagęszczały atmosferę lęku, jakim żył już nie tylko robotnik, ale i mieszczanin — a nawet średni kapitalista. Ujawniała się coraz silniej powszechna tęsknota, aby wyzwolić się z panoszącego się lęku. Czynniki gospodarczo-polityczne skierowały tęsknotę tę na tor najłatwiejszy i najdogodniejszy dla siebie: wysuwając potężne zewnętrzne oparcie, jakim miał być „wódz“. Ustrój faszystowski obiecywał usunięcie dręczącego człowieka lęku, zapewniał mu pracę, wyzwalał w nim chęć czynu. W rzeczywistości lęku nie tylko nie usunął — ale go wzmógł: faszyzm posługiwał się lękiem jako najistotniejszą metodą rządzenia. Częściowo tylko lęk został odprowadzony na zewnątrz pod postacią nienawiści do urojonych wrogów. A jednak faszyzm osiągnął, dzięki swym metodom wychowawczym, jeden sukces: nie zważając na panujący lęk, wyzwolił w człowieku chęć i możliwość czynu, działania. Osiągnął to dzięki temu, że wódz stał się ideałem osobowości poszczególnego obywatela, na skutek czego ideał jaźni — ta najwyższa instancja psychiczna — uległ przesunięciu na zewnątrz, został utożsamiony z osobą wodza. Utożsamienie takie było ułatwione dzięki temu, że wódz nie reprezentował abstrakcyjnych cech psychicznych — ale cechy czysto zewnętrzne, prymitywne, jak np. sposób bycia, powitania, żywiołowy fanatyzm nienawiści. Dzięki utożsamieniu ideału osobowości z osobą wodza, ustrój psychiczny poszczególnego obywatela pozbawiony został regulatora moralności, jakim jest ideał jaźni.

Stąd powstała łatwość czynu, działania, gdyż nie było ono kontrolowane przez moralność człowieka — ale powstawało w wyniku rozkazu wodza. Działalność ta nosiła piętno amoralności, wskutek czego ideał wychowawczy ustroju faszystowskiego jest w swej istocie amoralny i jednocześnie najbardziej pierwotny, gdyż miejsce poczucia winy zajmuje strach. Stąd wynika łatwość podporządkowania się wodzowi jako reminiscencji pierwotnego obrazu wodza szczepu — ojca prymitywnego plemienia. Wódz jako potężne i zabezpieczające oparcie jest wszystkim — naród zaś niczym, jest „jego“ narodem, bezosobową masą. Ta globalna bezkształtna masa narodowa spełnia tylko rozkazy wodza. On myśli i wskazuje cele działania — masa maszeruje i morduje. Frazesy faszyzmu głoszą pozornie reformatorstwo, postęp — a w rzeczywistości jest to regresja, cofnięcie się wstecz do postaci najbardziej pierwotnego społeczeństwa. Oszałamiająca naiwność zewnętrznych form faszyzmu jest w rzeczy samej tylko strzępami reminiscencji pierwotnych postaci społeczeństwa, gdy jeszcze prawo rozwoju miał nie poszczególny człowiek, lecz wódz, pasożytnyjący na szczepie.



Analiza stanu psychicznego człowieka w ustroju kapitalistycznym udowadnia wpływ hamujący tych warunków bytowania na rozwój człowieka. Zapewne, nie wszyscy podlegali w równej mierze ujemnym skutkom tego ustroju: odgrywały tutaj dużą rolę indywidualne warunki bytowania, wpływy wychowawcze, warunki biologicznego rozwoju jednostki, specjalnie zaś rozwój popędu seksualnego i jego konflikty z popędem zachowawczym. Czynniki te powodowały, że poszczególne jednostki osiągały nawet w tych samych niesprzyjających warunkach bytowania wysoki poziom rozwoju psychicznego. Bohaterstwo, jakie ujawniała młodzież nasza w okresie ostatniej wojny, przykłady szlachetnego przeciwstawiania się demoralizującym wpływom niemieckim — udowadniają, że młodzież ta ma przed sobą wielkie możliwości rozwojowe, o ile wzrastać będzie w sprzyjających warunkach bytowania.

Na ewolucję psychiczną wywierały również wpływ głębszy warunki swoiste, w jakich — w tym samym nawet ustroju gospodarczym przebywały poszczególne narody. A więc np. kapitalizm amerykański stworzył warunki, które modyfikowały w pewnej mierze ujemny wpływ istniejącego ustroju gospodarczego na rozwój człowieka. Dzięki mianowicie zapewnieniu wszystkim obywatelom równego startu życiowego, przy jednoczesnym jednak wprowadzeniu do ideału osobowości oparcia o wielkie fortuny, aktywność człowieka nie uległa zahamowaniu. Została ona natomiast zdegradowana w swej celowości, co ujawniło się w swoistym zabarwieniu aktywności przez powierzchowną ruchliwość, hałaśliwość. Aktywność ta pozornie jest wzmożona; w rzeczywistości jednak wzmożeniu uległy tylko komponenty ruchowe aktywności, którym nie towarzyszy rozwój wszystkich — a więc i psychicznych — czynności człowieka. Ruchliwość ta skierowana jest do zdobycia oparcia w postaci milionowej fortuny. Tutaj

tkwią źródła tzw. inicjatywy prywatnej. Osiągnięcie jednak pożądanego celu nie daje trwałego zadowolenia. Ujawnia się wówczas uczucie zagrożenia i powstaje dotychczas lekceważona potrzeba oparcia o społeczeństwo. Zniewala to do składania dużych sum pieniężnych na cele charytatywne lub naukowe. Pozostaje jednak nadal uczucie osamotnienia człowieka: oparcia o społeczeństwo nie udaje się zdobyć za pieniądze.

Przyjmując pod uwagę wyżej wymienione różnorodne czynniki, które modyfikują w szerokiej skali wpływ danego ustroju gospodarczego na rozwój psychiki — dochodzimy jednak do wniosku, że ustrój kapitalistyczny wpływa hamująco na rozwój psychiczny człowieka. Wniosek ten wynika nie tylko z teorii biologiczno-społecznej — ale znajduje on potwierdzenie w teoriach naukowych dziedzin pokrewnych.

Przytoczę teorię antropologa holenderskiego Bolka⁹⁾, który na podstawie anatomicznych badań porównawczych rozwoju kości i uwłosienia człowieka doszedł do wniosku, że w jego ewolucji daje się stwierdzić prawo retardacji, tzn. stopniowe zahamowanie szybkości rozwoju człowieka i utrwalenie się form morfologicznych infantylnych. W historycznej swej przeszłości człowiek był samodzielny w znacznie wcześniejszym okresie życia. Okres dojrzałości osiągany jest stopniowo w coraz późniejszym wieku, przy czym okres ten staje się coraz krótszy zaś okres dziecięctwa niepokojąco długi. Obiektywnym dowodem prawa retardacji jest również wzrost jajników u kobiety. Z pomiarów jajników wynika, że w czwartym roku życia dziewczynki jajniki osiągają taką samą wielkość (długość: 27 mm, szerokość: 12 mm), co w wieku lat 14 (długość: 26 mm; szerokość: 12 mm), — tzn. w okresie dojrzewania płciowego, gdy rozpoczyna się menstruacja. Mimo więc osiągnięcia morfologicznego rozwoju jajników w czwartym roku życia, fizjologiczna ich czynność, o ile chodzi o menstruację, rozpoczyna się znacznie później. Wynikało by z tego, że okres dojrzałości płciowej u przodków człowieka występował w czasie znacznie wcześniejszym niż ma to miejsce obecnie. Na skutek zahamowania rozwoju w historycznej ewolucji człowieka okres dojrzewania płciowego przesunięty został na okres życia coraz późniejszy, nie zważając na to, że wzrost jajników osiąga swój szczyt w czwartym roku życia. Fakty te harmonizują z wnioskami, do których doszedłem na podstawie teorii biologiczno-społecznej. Podobnie jak rozwój fizyczny człowieka ulega retardacji — również i rozwój psychiczny podlega zahamowaniu na skutek utrwalenia infantylnego popędu zachowawczego w związku z warunkami bytowania.

III. ZASADY WYCHOWANIA W OKRESIE DEMOKRACJI LUDOWEJ

Zmuszeni byliśmy sięgnąć do przeszłości współczesnego młodego pokolenia, aby zrozumieć jego aktualny stan psychiczny. Stwierdziliśmy, że wzrastało ono w warunkach, które przyczyniały się do utrwalenia infantylnego popędu zachowawczego — a więc do utrwalenia bierności, dąžno-

⁹⁾ L. Bolk: „Das problem der menschwerdung“, 1926.

ści do oparcia, uczucia zagrożenia, sprzyjając powstawaniu nerwic. W tym samym kierunku, lecz w stopniu znacznie silniejszym, działały lata okupacji. Histeria psychicznego rozwoju człowieka w związku z jego warunkami bytowania udowodnia, że wpływ warunków bytowania nie ogranicza się bynajmniej do przekształcenia świadomości człowieka, lecz sięga znacznie głębiej — do jego życia popędowego. Ze stwierdzenia tego wynika, że wychowanie demokratyczne, tzn. demokracji ludowej, nie może poprzestać na przekształceniu świadomości — ale zmierzać winno głębiej, aby uzyskać wpływ na rozwój popędów, w pierwszej linii popędu zachowawczego. Nikt bowiem nie rodzi się demokratą — ale nim się łatwo staje, gdy osiągnie odpowiedni poziom rozwoju psychicznego. Zrozumienie i szacunek dla instytucji demokratycznych powstać może jedynie wówczas, gdy człowiek jest w stanie ustrój ten właściwie zrozumieć. Zrozumienie zaś wynika, między innymi, i z rozwoju popędów: rozumiemy z łatwością zazwyczaj to, co zrozumieć jesteśmy w stanie, ze względu na osiągnięty szczebel rozwoju popędów. Człowiek np. z utrwalonym infantylnym popędem zachowawczym dąży do zabezpieczenia sobie oparcia o pieniądze, o stanowisko i zrozumieć nie jest w stanie wyższości oparcia o społeczeństwo. Człowiek natomiast wirylny z ubolewaniem spogląda na tych, którzy całe swe życie tracą na walkę o zdobycie fikcyjnego oparcia zewnętrznego — którzy widzą zabezpieczenie swe tam, gdzie, w rzeczy samej, czyha na nich lęk. Dyskusje nie prowadzą zazwyczaj do celu. Demokracja ludowa jest bowiem jednoznaczna z postępowym rozwojem psychicznym. Obowiązkiem społeczeństwa demokratycznego jest wychowanie obywatela, wzniesienie go na taki poziom rozwoju, aby mógł on być naprawdę demokratą: nie przez to, że posługuje się frazeologią demokratyczną — ale ze względu na swą dojrzałość psychiczną.

Dochodzimy w ten sposób do definicji następującej: społeczeństwo demokratyczne uznaje jako ideały wychowawcze osiągnięcie tych cech psychicznych, które stanowią o rozwoju człowieka. Oznacza to, że wychowanie, krocząc drogą historycznego rozwoju człowieka, ułatwia i wspomaga osiągnięcie przezeń wyższego stopnia rozwoju indywidualnego. A więc, mając na uwadze ewolucję popędu zachowawczego, wychowanie winno ułatwiać dziecku przejście do postaci dojrzałej, wirylnej tego popędu, dzięki czemu możliwe się staje osiągnięcie wysokiego poziomu aktywności człowieka. Sprowadza się to praktycznie do jak najwcześniejszego usamodzielnienia się dziecka, początkowo w zaspokajaniu jego potrzeb fizjologicznych, a następnie w celowym popieraniu pierwszych przejawów samodzielności, aktywności, niezależności od oparcia o matkę. Udzielanie dziecku poleceń winno być stopniowane w zależności od trudności ich wykonania. Należy się przy tym wystrzegać, aby nie poddawać dziecku wyobrażeń lękowych, np. o rzekomej trudności przejścia przez jezdnię. Zamiast tak szkodliwych dla dziecka wyobrażeń o czyhających nań wsząd niebezpieczeństwach, udzielić należy wyjaśnień konkretnych, jak daną czynność wykonać. Wszelkie straszenie dzieci, opowiadanie im bajek o „babie jadze“ jest bezwzględnie dla nich szkodliwe. Usuwamy systematycznie uczucia lękowe przez wzmoczenie zaufania dziecka do siebie, do

swych możliwości, do własnej aktywności. Ułatwiamy w ten sposób dziecku przejście do oparcia o siebie. A jednocześnie przekształcamy jak najwcześniej dążność do oparcia zewnętrznego na oparcie o zbiorowość. W tym celu popieramy i organizujemy w szkole działalność samopomocową, samokształceniową, jak np. udzielanie pomocy w nauce słabszym kolegom. Należy celowo przekształcić rolę nauczyciela w klasie na rolę doradcy fachowego w poszczególnym przedmiocie. Sam wykład w szkole winien mieć raczej charakter dyskusji z uczniami, aby wzmóc ich ciekawość, inicjatywę, aktywność w samodzielnym rozwiązywaniu następujących się zagadnień.

Sprawą dużej wagi jest zorganizowanie od pierwszej klasy pracy społecznej w szkole, aby zachęcić i zaprawić dzieci do pracy społecznej. W tym celu służyć mogą: samorząd klasowy; kółka uczeni, zwalczających analfabetyzm osób starszych; praca w organizacjach PCK; wydawanie gazetki szkolnej, umiejętnie redagowanej; kółka artystyczne, samokształceniowe, wygłaszanie referatów w tych kółkach; w latach późniejszych — praca w ograniczeniach młodzieżowych partii politycznych. Każdy uczeń winien przy ukończeniu szkoły otrzymać dokładny wykaz swej pracy społecznej w szkole. Na podstawie tego wykazu uczeń będzie miał pierwszeństwo przy przyjęciu do wyższego zakładu naukowego lub przy ubieganiu się o stypendium. Będzie to bodźcem do aktywnej pracy społecznej w szkole — a jednocześnie potwierdzeniem zasady, że społeczeństwo demokratyczne udziela jak najdalej idącego oparcia tym, którzy wykazują tendencje społeczne.

Przytoczone zasady wychowawcze mają na celu wyzwolenie aktywności dziecka bez uczucia zagrożenia. Ze względu na istniejące oparcie o społeczeństwo, aktywność ta nie jest skierowana przeciwko człowiekowi — ale przejawia się we współdziałaniu w imię interesów ogólnych, reprezentowanych przez zbiorowość. Dziecko dąży wówczas do urzeczywistnienia swych życzeń przez zespolenie się ze społeczeństwem: tylko takie wychowanie jest w swych skutkach trwałe, które stawia wobec dziecka ideały społeczne.

Następnym zadaniem wychowania demokratycznego jest wytworzenie nowego — demokratycznego — stosunku do pracy. Stwierdziliśmy poprzednio, że ustrój kapitalistyczny deformuje ustosunkowanie psychiczne człowieka do pracy. Najnowsza psychologia radziecka, w oparciu o marksizm, podkreśla, że praca wywiera wpływ bezpośredni na świadomość człowieka, gdyż praca ma właściwości poznawcze. Stanowisko to jest słuszne — ale tylko w idealnych warunkach pracy. W rzeczywistości zaś wartości poznawcze pracy ulegają degradacji na skutek zahamowania rozwoju popędu zachowawczego i warunków bytowania. A więc np. zautomatyzowanie pracy pozbawia robotnika inicjatywy, aktywności, zadowolenia z pracy, co prowadzi do wzmoczenia infantylnego popędu zachowawczego i utrwała stan bierności. W tych warunkach praca nie tylko nie ma wartości poznawczej — ale prowadzi do otępienia robotnika. W tym samym kierunku zmierza nazbyt daleko idąca specjalizacja, rutyna, które nie rozszerzają, lecz zwężają horyzonty umysłowe pracownika. Jest to do-

wodem, że praca jako czynnik kształtujący świadomość nie ma znaczenia pierwotnego — ale wtórne, zależne zarówno od rozwoju popędu zachowawczego, jak i od warunków bytowania. Czynniki pierwotnymi, kształtującymi psychikę, są — w myśl teorii biologiczno-społecznej — rozwój popędów i warunków bytowania. Formując psychikę, kształtują one siebie nawzajem — a jednocześnie determinują wpływ, jaki praca wywiera na człowieka.

Praca jest najistotniejszą działalnością człowieka. Jako działalność, czynność — wynika ona z popędu zachowawczego, a jednocześnie jest tym, co łączy człowieka ze światem otaczającym, co uzasadnia współdziałanie kształtujące między człowiekiem a społeczeństwem. Praca jest najbardziej powiązana z ustrojem społecznym, z właściwymi mu warunkami gospodarczymi i wywiera dlatego duży wpływ na rozwój popędu zachowawczego, a poprzez niego i na całą psychikę człowieka. Warunki pracy i stosunek psychiczny człowieka do niej jest dlatego potężnym czynnikiem wychowawczym i kształtującym psychikę. Należy więc w społeczeństwie demokratycznym usunąć przekleństwo, ciężące na pracy od początku historii rozwoju człowieka — i przywrócić pracy jej właściwości poznawcze, aby stała się ona bodźcem ewolucyjnym człowieka.

Osiągnięcie tego celu stanie się możliwe, gdy połączymy naukę z działalnością praktyczną, zarówno w szkole, jak i w warsztatach pracy.

W szkole nauczanie winno być nastawione na poznanie poprzez pracę, działanie, z ograniczeniem studiów czysto teoretycznych. A więc np. naukę botaniki odbywać należy podczas pracy w ogrodzie, naukę matematyki przy wykonywaniu obliczeń realnych bądź w terenie, bądź nad modelami matematycznymi, naukę zoologii w związku z hodowlą zwierząt domowych — a nawet naukę czytania przez układanie czcionek drukarskich. Nauka poprzez działanie — pracę — jest znacznie bliższa psychice dziecka, które łatwo rozumie wszystko, co jest konkretne — zniechęca się natomiast do wykładów teoretycznych. Reforma nauczania zmierzać winna do rozpoczynania nauki w wieku młodszym niż jest to w zwyczaju, ażeby młodzież rozpocząć mogła życie samodzielne w okresie wcześniejszym niż ma to miejsce obecnie. Ma to duże znaczenie ze względu na dojrzewanie popędu seksualnego. Należy zbliżyć wiek osiągnięcia samodzielności do okresu dojrzałości płciowej: uchroni to młodzież przed konfliktami i umożliwi wzniesienie życia seksualnego na poziom wyższy — sublimowany. Prostytuowanie przeżyć miłosnych jest jednym z przejawów zahamowania rozwoju popędów: odgrywa wówczas rolę nie obiekt — ale sama czynność seksualna.

Nauczanie przez pracę należy stosować również i w uczelniach wyższych. Studia np. medycyny uczący się winien rozpocząć od pracy pielęgniarsza w szpitalu, względnie społecznego higienisty fabrycznego, obok nieodzwonnych wykładów teoretycznych. Nauczycy się w ten sposób właściwego stosunku do chorego, pozna społeczne obowiązki medycyny — będzie lekarzem praktycznym, ludowym, a nie doktorem wszech nauk, który staje bezradny wobec najprostszycy zadań życiowych. Nauka nie powinna sprzyjać ucieczce człowieka od życia, stwarzać nierealne fikcje — lecz

zadaniem nauki winno być poznanie, w imię stworzenia człowiekowi najdogodniejszych dla jego rozwoju warunków bytowania.

Podobnie jak wiedza winna być osiągnięta przez pracę — również ta ostatnia powinna prowadzić do poznania. Należy robotnikowi umożliwić naukę w uprawianym przez niego zawodzie, aby mógł on stopniowo podwyższać swoje kwalifikacje zawodowe, nie przerywając swej pracy. Szkoły rzemieślnicze, politechniki robotnicze, studia wyższe — ułatwiałyby robotnikowi zdobywania wiedzy poprzez pracę. Zawodowy pielęgniarz np. winien mieć pierwszeństwo przy przyjęciu na medycynę. Nauka i praca zostałyby w ten sposób zbliżone do siebie, sztuczne i szkodliwe rozgraniczenie między tzw. pracą umysłową i fizyczną byłoby usunięte — zaś pracy przywrócona byłaby jej godność poznawcza. Jedynie tak pojęta praca wyzwolić może całą aktywność człowieka: praca ta bowiem pogłębia wiedzę człowieka, jest zawsze odkrywczą, pasjonująca, wzmacnia samopoczucie, wartość człowieka i daje mu poczucie własnej godności, gdyż społeczeństwo udziela takiej pracy poparcia.

Przytoczone zasady wychowania demokratycznego winny znaleźć swój wyraz i utrwalenie w ideale osobowości młodzieży. W procesie kształtowania się jej wysuwać należy nie postacie „bohaterów“ — monumentalne lub odbronzowane — ale ich pracę nad sobą, która doprowadziła do stworzenia wartości społecznych. Byłoby to godnym do naśladowania wzorem, zawierającym wskazówki do konkretnej pracy młodzieży nad sobą.

Nie jest również celowe wprowadzanie do ideału osobowości niczym nie popartych cech abstrakcyjnych, idealnych — ale cech takich, które sprzyjają rozwojowi psychicznemu człowieka, jak aktywność, radość z pracy jako czynności poznawczej, niezależność. Hierarchia wartości winna być przeprowadzona w ideale osobowości z punktu widzenia wartości społecznych. A więc: poczucie sprawiedliwości należy oprzeć na sprawiedliwości społecznej; godność człowieka byłaby wyrazem syntezy jego funkcji i czynów społecznych; poczucie winy zawierałoby gotowość odpowiedzialności za swe czyny, intencje wobec społeczeństwa; pojęcie kary tkwiłoby w utracie oparcia o społeczeństwo.

Celem wytworzenia właściwego ideału osobowości należało by przeprowadzać systematyczną pracę. Konieczne byłyby pogadanki w szkołach na tematy psychologiczno-społeczne, jak np. uświadomienie o ustroju demokratycznym, o zagadnieniach gospodarczo-społecznych, o stanowisku człowieka wobec społeczeństwa, o psychohigienie zarówno pracy, jak i innych dziedzin życia człowieka.

Psychohigiena jest nauką, która zajmuje się poznaniem racjonalnych warunków funkcjonowania układu nerwowego, gwarantujących zdrowie i rozwój psychiczny, jak również zdolność do pracy. Na tej podstawie naukowej psychohigiena dąży do ochrony zdrowia psychicznego szerokich mas pracujących i zapobiega występowaniu schorzeń psychicznych przez zmianę warunków pracy i bytowania. Zakreślone na wielką skalę zadania psychohigieny stanowią podstawę do współpracy psychopataloga z działaczem społecznym. „Wielej reformatorzy społeczni — jak słusznie

zaznacza Gilarowski¹⁰⁾ — byli jednocześnie głębokimi znawcami psychologii, gdyż często intuicyjnie ujawniali zrozumienie dla kierujących człowiekiem sił i trafnie pojmowali psychologię mas“.

W ramach psychoprofilatyki, tzn. zapobiegania chorobom psychicznym, psychohigiena zwrócić winna specjalną uwagę na psychohigienę pracy, wychowania, nauczania. Jest to właśnie treścią niniejszej rozprawy. Psychohigienę pracy należy aktywnie szerzyć, w postaci uświadamiających odczytów w fabrykach i w innych miejscach pracy. Ogólne zaś zasady psychohigieny winny być wykładane zarówno w szkołach, jak i w organizacjach młodzieży. Współpraca psychohigienisty z nauczycielem — wychowawcą nie może ograniczyć się do opracowania wytycznych wychowania — ale lekarz-psychoterapeuta winien zająć się w specjalnych przychodniach leczeniem dzieci neurotycznych, z którymi wychowawca nie może sobie sam poradzić. To samo dotyczy i ludzi dojrzałych; neurotyzacja społeczeństwa przed wojną zataczała coraz szersze kręgi zarówno u nas, jak i u innych narodów, w wyniku istniejących warunków bytowania i pracy. Przejście do warunków nowych nie jest rzeczą łatwą, specjalnie dla neurotyków: wymaga to przestawienia się psychicznego, do czego właśnie neurotycy nie są zdolni. Potrzebna więc im jest pomoc fachowa lekarzy-psychoterapeutów.

Celem spełnienia wielorakich zadań psychohigieny konieczna jest duża ilość lekarzy społeczników, psychoterapeutów. Wykształceniem tych specjalistów winna się zająć katedra psychohigieny, którą należy utworzyć przy wydziale lekarskim jednego z naszych uniwersytetów. Psychohigiena nie powinna istnieć tylko na marginesie psychiatrii. Należy się jej miejsce specjalne jako nauce o zadaniach społecznych: współdziałała ona bowiem w prowadzeniu narodu naszego ku jego lepszej przyszłości.

10) W. A. Gilarowski: „Psychiatrija“, Moskwa, 1935 r., str. 230.

Wojciech Jastrzębowski

Kolonizacja niemiecka w Polsce a demografia

I. KOLONIZACJA NIEMIECKA W POLSCE

Narodowo-socjalistyczny plan zdobycia dla Niemczyzny europejskiego wschodu nie jest w historii Niemiec czymś nowym. Jest to ostatni etap procesu historycznego ciągnącego się od IX w., występującego w różnych formach i z różnym nasileniem, ale w zasadzie trwającego nieprzerwanie. Narodowy socjalizm z dużym naciskiem podkreślał, że jest sukcesorem średniowiecznych zdobywców ziem słowiańskich, misję dziejową Niemiec widzi w wielkim stopniu właśnie w kontynuowaniu ich dzieła, a metody i środki stosowane na ziemiach polskich wyprowadza z doświadczeń historycznych.

Niemiecka ekspansja na wschód rozpoczęła się w w. IX podbojem ludów słowiańskich osiadłych w dorzeczu Łaby. Warunki dla zdobywców niemieckich były korzystne, mieli bowiem do czynienia z ludnością mniej skupioną niż w Niemczech, o dosyć luźnej organizacji społecznej, rozbitą na szereg szczepów o ustroju rodowym. Ludność ta była słabo uzdolniona do stworzenia znaczniejszej siły militarnej. Zorganizowany opór napotkali więc Niemcy dopiero ze strony Państwa Polskiego, które też ich postępy zatrzymało, jednak nie w granicach swego najdalejszego zasięgu, który wykraczał daleko na zachód od Odry, aż do Łaby i Sali, lecz ostatecznie dopiero na linii mniej więcej zbliżonej do granic Rzeczypospolitej z r. 1939, względnie na granicy Śląska i Pomorza szczecińskiego, które stanowiły wówczas dzielnice Państwa Polskiego. Plemiona słowiańskie podbite przez Niemców zostały częściowo wymordowane, w głównej zaś swej masie uległy germanizacji. Rolnicza kolonizacja niemiecka na tych terenach nie była zbyt liczna, ale objęła ona warstwę rządzącą i ludność miejską, nadała więc stopniowo krajowi swój charakter kulturalny.

Podkreślić jednak wypada, że proces germanizacji postępował bardzo powoli.

Niemiecka kolonizacja rolnicza nie wykazała wielkiej siły ekspansywnej nawet na tych terenach słowiańskich, które nigdy nie posiadały rozwiniętej własnej organizacji państwowej i od zarania swych dziejów należały politycznie do Niemiec, lub pozostawały pod ich przemożnym wpływem. Germanizacja bowiem tych ziem rozpoczęta została od wytrzebiecia znacznej części ludności rdzennej, dokonano jej jednak nie w drodze napływu niemieckiej ludności rolniczej, a przez ziemczenie miejscowych Słowian, na co trzeba było prawie tysiąca lat i co definitywnie zostało osiągnięte dopiero po użyciu środków, jakimi dysponuje państwo nowoczesne. Na terytoriach należących do Państwa Polskiego odbywała się pokojowa penetracja żywiołu niemieckiego, obejmująca głównie ludność miejską. Najsiłniejsze fale tej penetracji miały miejsce w w. XIII i XIV, jako skutek zniszczenia kraju przez najazdy tatarskie oraz w w. XVII po najeździe szwedzkim, jednak z mniejszym lub większym nasileniem proces ten trwał przez cały czas istnienia Państwa Polskiego, tj. do w. XVIII. Był to zresztą fragment procesu szerszego, który wynikał z przynależności Polski do kultury zachodniej, nie zacieśniał się do stosunków z Niemcami i nie był jednostronny. Przybywali do Polski z zachodu nie tylko Niemcy, lecz również Francuzi, Włosi, Holendrzy, Czesi, Węgrzy, Szwedzi a najliczniej Żydzi. Kulturalnie wpływ Włochów w w. XVI, a Francuzów w w. XVII i następnym był silniejszy od niemieckiego. Liczebnie niemiecka kolonizacja średniowieczna stanowiła niespełna 6% ówczesnej ludności Państwa Polskiego,*) następne zaś jej fale były znacznie słabsze. Warunki dla przybyszów z zachodu były nader dogodne, nieśli oni bowiem ze sobą kulturę miejską, słabo w Polsce ówczesnej rozwiniętą, nie doznali więc poważniejszego oporu, ani nawet poważniejszej konkurencji ze strony mieszczaństwa polskiego. Państwo początkowo otaczało kolonizację opieką i wyposażało ją w przywileje, dające dogodne warunki bytu gospodarczego i swobody polityczne tak daleko posunięte, że poszczególne miasta mogły stanowić wyspy niemieckie wśród polskiej ludności rolniczej. W czasach zaś późniejszych władza polityczna znalazła się w ręku szlachty, w ogóle mało się interesującej sprawami miejskimi; a więc miasta mogły nadal utrzymywać swój niemiecki charakter i to tym łatwiej, że stale były zasilane dopływem nowych przybyszów. Pomimo tych wyjątkowo korzystnych warunków i niewątpliwych walorów cywilizacyjnych kolonistów niemieckich, w wyniku ostatecznym kraj, ani nawet jego miasta, nie uległy germanizacji. Wręcz przeciwnie, przybysze niemieccy polonizowali się gruntownie i w nader szybkim tempie. Ta więc długotrwała fala ekspansji niemieckiej na wschód — ani nie popierana, ani nie hamowana przez czynniki polityczne, wykazała, że w tych warunkach kolonizacja niemiecka obejmuje głównie żywioł miejski i ulega szybkiej asymilacji.

W okresie rozbiorów nastąpiło ponowne wzmożenie kolonizacji niemieckiej, zarówno na terenie zaborów pruskiego i austriackiego jak i rosyjskiego. Tym razem migracja ta popierana była i inicjowana przez rządy zaborcze. Obejmowała ona ludność miejską, związaną z administracją i woj-

*) Według badań Odonina, wykonanych pod okupacją, a znanych mi z rękopisu.

skiem, sięgała jednak również i na wieś. W zaborze pruskim przeszła w ręce niemieckie znaczna część wielkich majątków, w ślad za czym poszło zniemczenie robotników rolnych, równocześnie jednak miał miejsce silny napływ kolonistów chłopskich. W połowie w. XIX krajowi groziła istotna germanizacja. Ten mocny pęd kolonizacyjny Niemców nie był jednak wyjątkowym wynikiem działalności rządu, ani nie ograniczył się do zachodnich ziem polskich: kolonizacja niemiecka sięgnęła wówczas daleko na wschód, na Wołyń, Besarabię, nad Wołgę, kierowała się również do krajów zamorskich, był to ruch żywiołowy, mający swe istotne źródło w układzie warunków społeczno-gospodarczych ówczesnych Niemiec a przez politykę państwową popierany i kierowany.

Pamiętać należy, że Niemcy aż do r. 1870 były niebogatym krajem rolniczym. Ich przyrost naturalny był znaczny, a gęstość zaludnienia w okresie wojen napoleońskich wynosiła około 45 osób na km², osiągnęła więc ten stopień, przy którym kraj zaczyna odczuwać potrzebę podniesienia techniki rolnej, a nadmiar ludności wiejskiej stwarza warunki i potrzebę powstania przemysłu*); — jednak zmęczone wojnami i raczej ubogie Niemcy ówczesne nie posiadały potrzebnych na inwestycje środków finansowych, przeto nacisk ludnościowy przejawiać się musiał w postaci przedludnienia rolnictwa i tendencji emigracyjnych. Ówczesny kolonista niemiecki był chłopem wyrosłym w surowych warunkach życia, zmuszonym do szukania chleba na obczyźnie i pragnącym sobie ciężką pracą na roli ten chleb zdobyć. Stan rzeczy dosyć podobny do panującego ostatnio w Polsce i zupełnie odmienny od panującego obecnie w Niemczech.

Równoległe oddziaływanie tych sił ekspansywnych i polityki rządu stworzyło poważne niebezpieczeństwo dla polskośći ziem zachodnich i to tym większe, że w głównej masie ludności polskiej — wśród chłopów nie było jeszcze pełni czynnego poczucia narodowego w nowoczesnym rozumieniu tego słowa. Proces uświadomienia narodowego zachodził tu z pewnym opóźnieniem w stosunku do innych krajów Europy. Ale rozwinął się on już z całą siłą około r. 1840, w związku z rozpoczynającą się „wiosną ludów“ i refleksami powstania r. 1830 w zaborze rosyjskim. W r. 1848 wybuchła w zaborze pruskim powstanie, w którym udział chłopów jest już wielki. Po upadku powstania rozpoczyna się żywy ruch organizacyjny, pierwotnie na płaszczyźnie społeczno-kulturalnej, następnie również gospodarczej. Postępy niemieczyzny na wsi słabną i szybko zostają zahamowane. Działalność organizacji polskich ogarnia również miasta, przerzuca się z Wielkopolski na Pomorze, na Śląsk i nawet na polskie wychodźstwo robotnicze w Westfalii. Stopniowo polskość przechodzi do ofensywy, zaczy-

*) Prof. Dr. E. Wegemann: „Das Alternationsgesetz wachsender Bevölkerungsdichte“ Hamburg 1942, Vierteljahrshefte des Deutschen Instituts für Wirtschaftsforschung. Wegemann twierdzi, że wzrost gęstości zaludnienia wykazuje punkty zwrotne, w których następuje zupełne wypełnienie chłonności ludnościowej rolnictwa, dla przyrostu naturalnego trzeba więc tworzyć nowe warsztaty przemysłowe, co z kolei umożliwi zmianę kierunku gospodarki rolnej i ponownie zwiększa jej pojemność ludnościową. Jeżeli te procesy inwestycyjne nie zachodzą, pojawia się przedludnienie rolnictwa i albo ekspansja na nowe tereny, albo pauperyzacja i utrata sily politycznej, zachęcająca sąsiadów do agresji. Jako punkty zwrotne wymienia zaludnienie 45 osób na km kwadratowy i 130 osób na km kw.

na zagrażać zdobyczom niemieckim*). Reakcją na to jest podjęta przez kanclerza Bismarcka tzw. walka kulturalna (Kulturkampf), której najistotniejszym składnikiem było prześladowanie duchowieństwa polskiego i usunięcie języka polskiego ze szkół powszechnych (oprócz religii). Rezultat jest sprzeczny z zamierzeniami. Następuje doskonałe zespolenie wszystkich warstw społeczeństwa i żywiołowe wzmoczenie ruchu organizacyjnego, zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej.

„Kulturkampf“ oddał w rezultacie wielką usługę polskości, przygotowując ją do odparcia następnego natarcia niemieckiego, tym razem już na podłożu gospodarczym, prowadzonego przez rząd przy silnym poparciu całego społeczeństwa niemieckiego. W r. 1885 wyrugowano 40 tys. osiadłych w Poznańskim Polaków z innych dzielnic (tzw. rugi pruskie). W r. 1886 utworzona zostaje Komisja Kolonizacyjna, mająca, w myśl ustawy, na celu „umocnienie i pomnożenie niemieckiego elementu, przeciw usiłowaniam polonizacyjnym“ i dysponująca funduszem publicznym w sumie 995 milionów marek. Utworzona zostaje dysponująca ogromnymi sumami organizacja społeczna „Ostmarkverein“ (Związek Kresów Wschodnich — tzw. — HKT), również mająca zadanie kolonizacyjne. Pojawia się zakaz mówienia po polsku w miejscach publicznych; przymus nauki religii w języku niemieckim (masakra dzieci polskich we Wrześni i w licznych szkołach powszechnych Pomorza); w r. 1904 zakaz budowania domów mieszkalnych w nowych osadach. W r. 1908 wchodzi w życie ustawa o przymusowym wykupie ziemi na potrzeby Komisji Kolonizacyjnej.

Cały ten ogromny aparat okazał się słabszym od organizacji społeczeństwa polskiego, które nie ograniczając się do oporu przystąpiło do kontratacji. Według obliczeń niemieckiego prof. Bernhardta polski stan posiadania w rolnictwie tylko nieznacznie cofnął się w 15 powiatach, natomiast wzrósł w 49 tak, że ogółem zdobyto na Niemcach przeszło 100 tys. hektarów ziemi. W okresie 1897—1911 Polacy sprzedali Niemcom 112.997 ha, lecz jednocześnie Niemcy Polakom 165.625 ha. W rezultacie polska własność ziemską wzrosła z 42% w r. 1880 do 54,5% w r. 1912, przy czym własność niemiecka obejmowała głównie wielkie domeny, a we własności polskiej wzrastał udział gęsto osiadłego chłopstwa. Na kolonizację Niemcy wydali z budżetów publicznych — tj. nie licząc HKT — powyżej miliarda marek, poza tym udzielano równolegle różnorodnych subwencji, zniżek podatkowych itp. na nieokreślone sumy, dokonano licznych inwestycji publicznych, mających stworzyć dogodniejsze warunki życiowe dla Niemców. Istotnie też nastąpiło podniesienie gospodarcze kraju, lecz wykorzystane zostało głównie przez Polaków, którzy swą akcję przenieśli ze wsi również na miasta. Szybko pozyskały one silny, na wysokim poziomie stojący polski

*) „... pod kierownictwem duchowieństwa, głównie w Prusach Zachodnich ale także i na Śląsku, szerzono polsłość z takim w Prusach Zachodnich rezultatem, że wnukowie dziadków, którzy niewątpliwie byli Niemcami, niemieckiego pochodzenia i noszący niemieckie nazwiska, nie wiedzieli już, że są Niemcami, nie umieli już po niemiecku mówić i uważali się za Polaków.“ Cytata z przemówienia kanclerza Bismarcka w parlamencie berlińskim w dniu 3. XII. 1884 r.

element kupiecki, rzemieślniczy i zawodów wolnych. Narodowo-socjalistyczny autor*) tak ocenia bilans tej trzydziestoparoletniej walki: „Walka państwa z jego wrogami przerodziła się w walkę narodu z narodem... Niemiec uległ w tym pojedynku nie dlatego, żeby polskość przeważała gospodarczo, ale dlatego, że Polak wiedział, czego chce w tej walce, a Niemiec prawie nie zdawał sobie sprawy, po co tu przyszedł... Osadnik Cesarstwa nie był wyrębywaczem dróg niemieczyzny, ale pensjonariuszem państwa“.

Głębsze przyczyny zwycięstwa polskiego leżały jednak nie tylko w aktywności strony polskiej, lecz również w zmianach, jakie tymczasem nastąpiły w Niemczech. Wygrana została wojna z Francją, a ściągnięta z niej kontrybucja stała się punktem wyjściowym dla uprzemysłowienia kraju, dokonanego w tempie rzadko spotykanym. Przeludnienie rolnictwa znikło zupełnie, dał się nawet odczuć brak rąk do pracy, podniosła się stopa życiowa, wieś zaczęła się wyludniać, przyrost naturalny spadał. Przystała istnieć społeczno-gospodarcza potrzeba ekspansji kolonizacyjnej, wręcz przeciwnie, pojawił się „Drang nach Westen“, trwający odtąd nieprzerwanie, aż do lat ostatnich. Aby zwerbować ludzi dla kolonizacji ziem polskich, nie wystarczało stworzenie im możliwości zdobycia warsztatu rolnego, trzeba było im dać ten warsztat i zachęcać ich różnymi sposobami, aby chcieli go przyjąć. Osadnik bez żadnego wkładu, na dogodnie splety, otrzymywał gospodarstwo zabudowane, z inwentarzem, zapasami płodów rolnych, dogodne kredyty, zwolnienia podatkowe, najrozmaitsze „Osthilfe“ i „Ostzulage“ (zasilek wschodni i dodatek dla Wschodu), przywileje administracyjne. W tych warunkach wędrował na wschód mniej ambitny i mniej wartościowy element ludzki, szybko rezygnujący ze zdobywania sobie powodzenia własną pracą, liczący przede wszystkim na pomoc państwa, przy najbliższej okazji sprzedający swą ziemię Polakowi, a często asymilujący się wśród bardziej aktywnego żywiołu polskiego.**)

Ważną przy tym okolicznością był spadający przyrost naturalny ludności niemieckiej, utrzymujący się na poziomie niższym od normy polskiej; według spisu z r. 1910 na zamężną Niemkę przypadało 4,86 dzieci, na Polkę 5,88. W rezultacie procent ludności polskiej wzrastał. Coraz silniej też, pomimo szykan administracyjnych, zaznaczał się proces powracania do polskości ludzi już powierzchownie zgermanizowanych, co zwłaszcza na Śląsku stało się zjawiskiem masowym, o imponującym przebiegu.

Jak zupełna była przegrana państwa i narodu niemieckiego w tej walce z narodem polskim okazało się po r. 1918. Wraz z ustępującym wojskiem niemieckim uciekli do Niemiec (wbrew woli i zabiegom rządu polskiego) urzędnicy i drobni przedsiębiorcy niemieccy, których był związany był z garnizunami i biurokacją; dalsza transza zlikwidowała swe interesy i wyjechała w przeciągu następnych 2 lat. Ogółem opuściło ziemie zachod-

*) W. Zoch: „Neuordnung im Osten“ (Nowy ład na wschodzie) Berlin 1940, II wyd.

**) Wilhelm Zoch l. c.: „Ze sprawozdań Komisji Osiedleńczej wynika, że osiedleńcy pochodzący z zachodnich i południowych Niemiec trwali przy swej narodowości, natomiast osiedleńcy pochodzący z terenów leżących na zachód od Elby często już w następnym pokoleniu przechodzili do polskiego obozu, a więc ulegali polonizacji“.

nie około 900 tys. Niemców, przy czym — rzecz charakterystyczna — silniejszy był odpływ z miast, aniżeli ze wsi, gdzie utrzymała się zwłaszcza wielka własność ziemska i robotnicy rolni. W miastach procent Niemców przedstawiał się następująco:

	1910	1921
Chojnice	92,2	9,3
Katowice	85,8	13,4
Grudziądz	84,0	7,0
Bydgoszcz	77,2	9,6
Toruń	65,6	4,5
Poznań	43,4	2,6
Inowrocław	42,0	2,0
Gniezno	39,0	2,0

To otrząśnięcie się kraju z najazdu niemieckiego odbyło się jako proces automatyczny, w warunkach prawnych i administracyjnych, będących istną sielanką w porównaniu z sytuacją Polaków pod rządem niemieckim przed wojną, nie mówiąc już o tym, co się działo pod okupacją. Likwidacja własności niemieckiej dotyczyła tylko pewnych kategorii tej własności, głównie świeżej daty, odbywała się w ramach postanowień traktatu wersalskiego, w potężnej większości przypadków dobrowolnie, zawsze za odpłatą, likwidowany miał możliwość odwołania się do instancji międzynarodowych; wysiedlenia przymusowe dotyczyły pojedynczych osób i objęły zaledwie 1,5% ogólnej liczby emigrantów. Ostatecznie rząd polski nie wykorzystał w pełni swych uprawnień traktatowych wobec osadników niemieckich i zrzekł się ich w umowach z Rzeszą. O tym, jak bardzo — za bardzo! — tolerancyjni odnosiły się władze polskie do niemieckiej własności ziemskiej, świadczy fakt, że 40% całej średniej i wielkiej własności ziemskiej Ziemi Zachodnich należało do Niemców (1921); o warunkach zaś bytu społeczeństwa niemieckiego w Polsce mówi następujące zestawienie.

	Polacy w Niemczech	Niemcy w Polsce
Liczba ludności (w mil.)	1,5	0,7
„ szkół powszech.	58	432
„ gimnazjów	2	27
„ spółdzielni	34	856
„ czasopism	14	78

Pomimo tego nad wyraz tolerancyjnego stosunku do imigrantów niemieckich, Ziemi Zachodnie były ostatnio bardziej polskie niż w okresie rozbiorów, a resztki niemieczyny utrzymały się na nich tylko dzięki finansowej i organizacyjnej pomocy Berlina.

II. WNIOSKI Z DOSWIADCZEN HISTORYCZNYCH

Pierwsza, średniowieczna fala kolonizacji niemieckiej na ziemiach słowiańskich objęła głównie element miejski i doprowadziła do opanowania kraju w drodze zgermanizowania ludności miejscowej, postępującego bardzo powolnie. Druga fala, penetracji pokojowej, miała jeszcze wyraźniejszy charakter miejski i uległa zupełnie polonizacji. Fala trzecia, nowoczesna, trwała tak długo, dopóki Niemcy nie mogły u siebie zatrudnić swych ludzi, a pomimo olbrzymiego wsparcia politycznego załamała się i cofnęła wobec odporu ludności polskiej. Syntetyzując można powiedzieć, że kolonizacja miejska dominowała nad wiejską oraz że przybysze niemieccy wykazali słabą odporność narodową i zostali zasymilowani lub zlikwidowani wszędzie tam, gdzie napotkali na polską organizację państwową albo nawet tylko społeczną. Na podstawie doświadczeń historycznych stwierdzić można, że Niemcy trwale opanowywali ziemie słowiańskie tylko wówczas, gdy ekspansja ich odbywała się w granicach własnego państwa i przy wsparciu politycznym tak silnym, aby wykluczona była jakaś choćby bardzo ograniczona sfera walki konkurencyjnej dla ludności rdzennej.

Niemcy narodowo-socjalistyczne wyciągnęły z tych doświadczeń historycznych wnioski, polegające w swej istocie na przeciwstawieniu naturalnym procesom społeczno-gospodarczym skutecznym środków politycznych i administracyjnych. Zniemczenie ziem polskich było dla nich celem politycznym, ale nie było ani koniecznością, ani nawet potrzebą społeczno-gospodarczą. Naród niemiecki nie musiał zdobywać nowych terenów rolnych dla zaspokojenia swych potrzeb życiowych. Natomiast jego kierownictwo polityczne chciało je zdobyć, ponieważ to było konieczne dla zaspokojenia ambicji panowania nad światem.

Procesem żywiolowym w Niemczech współczesnych jest ucieczka ze wsi do miast oraz będąca jej odpowiednikiem ucieczka z rolniczego wschodu na przemysłowy zachód, zastępowanie kultury wiejskiej kulturą miejską i związany z tym spadek przyrostu naturalnego. Kierownictwo polityczne Niemiec przeciwstawiało tym procesom propagandę, wbijającą ludziom w głowy, iż dla uniknięcia największych niebezpieczeństw i dla wypełnienia misji dziejowej swego narodu są obowiązani pracować na roli na wschodzie, prowadzić tam surowe życie „Wehrbauera“ i płodzić liczne potomstwo. Kierownictwo gospodarcze zaś osłodziło ową surowość życia urządzeniami zapewniającymi rolnikowi dobrobyt a nawet komfort. Wszystko to wreszcie odbywało się w niemieckim systemie organizacji społecznej, stosującej przymus mechaniczny wszędzie tam, gdzie nie wystarczał stworzony przez propagandę przymus wewnętrzny i zachęta materialna.

Jednakowoż doświadczenie historyczne uczy, że nawet przy największym nasileniu tych pozytywnych metod oddziaływania, zawodziły one, jeżeli kolonista niemiecki musiał stoczyć walkę konkurencyjną z rdenną ludnością opanowanych ziem. Należało więc uruchomić środki negatywne wobec tej ludności, aby pozbawić ją choćby najmniejszych szans

skutecznego oporu. Przeto wedle planów i praktyki hitlerowskiej kolonista niemiecki nie potrzebował ziemi i innych warsztatów pracy uzyskiwać w drodze czynności gospodarczej. Zastosowano barbarzyńską zasadę „*cuius regio eius possessio*“, w myśl której warsztaty pracy zostały zdobyte przez niemieckiego żołnierza i tym samym stały się już własnością niemieckiego osadnika; nie potrzebuje on na nie pracować, gdyż otrzymuje je w darze od swego państwa. Polak został pozbawiony prawa i możliwości wykonywania samodzielnej czynności gospodarczej, mógł być tylko robotnikiem u Niemca, nie miał więc żadej możliwości skutecznego oporu.

W tych warunkach akcja kolonizacyjna powinna się była udać, jeżeli nie napotykałaby na zasadniczą przeszkodę; może zabraknąć kolonistów niemieckich, pomimo zwiększenia ich podaży przez pracę niewolniczą cudzoziemców w Niemczech. Wedle starych wzorów uciec się więc wypadało do germanizowania ludności polskiej, co też uczyniono, tworząc „*Deutsche Volksliste*“, „*Deutsche Stammliste*“, świadectwa nieprzynależności do narodu polskiego itp.: a więc nie co innego, jak publiczną instytucję renegatów, częściowo przymusowych.

Należy zwrócić baczną uwagę na to, że w gruncie rzeczy, w istotnych swych założeniach, program ten nie różni się od akcji antypolskiej kanclerza Bismarcka. Teraz została ona jedynie doprowadzona do ostatecznej konsekwencji, zakrojona na szerszą skalę i wyposażona w sprawniejsze środki techniczne. Propagandę HKT zastąpiono lepszą propagandą NSDAP; dogodne warunki nabycia ziemi zastąpiono darowizną; przymusowy wykup z rąk polskich — konfiskatą; szlaki administracyjne — wysiedleriem; wówczas organizacjom polskim przeciwstawiono siłę organizacyjną i finansową państwa, teraz zlikwidowano je całkowicie; dawniej Polak miał szanse życiowe zredukowane do granic dopuszczalnych z punktu widzenia ówczesnych pojęć kultury i cywilizacji, obecnie zredukowano je według dzisiejszego niemieckiego rozumienia tych pojęć. Narodowy socjalizm stosował więc tradycyjne niemieckie plany i metody działania, wydatnie je udoskonaliwszy.

III.

Mocność zapewnienia swemu krajowi godnego miejsca w świecie dzięki walorom gospodarczym i kulturalnym nie mieści się w głowie współczesnego Niemca, a narodowy socjalizm myśl taką wręcz odrzucał. Panujący w całych Niemczech conajmniej od stu lat światopogląd pruski z wielkim trudem dopuszczał myśl o trwałym pokojowym współżyciu narodów, a będący jego kontynuacją światopogląd narodowo-socjalistyczny godził się z nią tylko pod warunkiem zrealizowania idei „*Herrenvolku*“. Zabór cudzego dobra uważany był za rzecz naturalną i konieczną. Narodowy socjalizm nie został Niemcom narzucony z zewnątrz. Był on tylko sformułowaniem i zorganizowaniem idei dawnych i powszechnych. Jeden z proroków narodowego socjalizmu, Treitschke powiedział, że „*Bóg nie przemawia dziś do monarchów przez proroków i przez sny ale za wskazanie Boże brać trzeba każdą okoliczność, sprzyjającą napaści na sąsiada i rozszerze-*

niu granic państwa^{**}) — a słowa te, wypowiedziane jeszcze w w. XIX, nie były dla audytorium nowe ani obce, bowiem znało ono historię swego narodu. Znalezienie się w sytuacji zamykającej możliwość „napaści na sąsiada i rozszerzenia granic“ byłaby dla normalnego Niemca zapowiedzią zguby narodowej i zapowiedzią ataku ze strony sąsiada. Właśnie zaś w latach ostatnich zaczęła się zarysowywać sytuacja, w której możliwości niemieckiej ekspansji kolonizacyjnej na wschód spadłyby do zera. Mam na myśli zmiany, zachodzące w układzie sił populacyjnych i gospodarczych w Niemczech oraz w sąsiadujących z nimi krajach Europy południowo-wschodniej, a zwłaszcza w Polsce.

W Niemczech trwał i poglobiał się ów proces społeczno-gospodarczy, który przerwał parcie kolonizacyjne w okresie ponapoleońskim i stał się przyczyną klęski Bismarcka w walce z narodem polskim. Kraj stale i konsekwentnie industrializował się i urbanizował, rolnictwo używało coraz więcej maszyn, oddając miastom nie tylko swój przyrost naturalny, ale obniżając liczbę bezwzględną zatrudnionej w nim ludności. Zestawienie poniższe daje ilustrację liczbową tego procesu, przy czym warto zwrócić uwagę, że w okresie rządów narodowo-socjalistycznych nie wykazuje on żadnego osłabienia, pomimo użycia wszystkich możliwych środków prawnych, polityczno-gospodarczych i administracyjnych, aby powstrzymać ucieczkę ze wsi do miast:

Rok	Ludność utrzymująca się z	
	rolnictwa	przemysłu
	(w tys. osób)	
1871		
1882	16.029	14.873
1895	15.521	18.604
1910		
1907	14.996	23.113
1910		
1925	14.434	26.643
1933	13.715	25.762
1939	12.265	27.972

Wegemannowski punkt zwrotny — 130 osób na km² — Niemcy przekroczyły po wojnie poprzedniej, w warunkach rosnącego zapotrzebowania na ręce robocze ze strony miast i przemysłu tak, że nie tylko nie wystąpiło przeludnienie wsi i tendencje emigracyjne, ale przeciwnie, mimo postępów mechanizacji rolnictwa, istniała znaczna imigracja sezonowa do Niemiec, obejmująca głównie robotników rolnych (w r. 1906—600 tys., w r. 1914 — 800 tys., jeszcze w r. 1933 — 130 tys.). Zjawiska te były tak silne i długotrwałe, że na ich tle pojawiać się zaczęły zmiany w moralności i obyczaju ludności, szybko odwodzące ją od ideału „pruskiej surowości“,

^{*}) Treitschke: „Politik“. Tom I. Berlin 1897; wykłady na Uniwersytecie Berlińskim.

a znajdujące wyraz w spadku urodzin. Na tysiąc mieszkańców przypadały w Niemczech następujące ilości urodzin żywych (przeciętnie rocznie):

w latach	1876 — 1885	— 38,0 pro mille
„	1908 — 1913	— 29,5 „
„	1921 — 1925	— 22,1 „
„	1926 — 1930	— 18,4 „
w roku	1933	— 14,7 „
„	1939	— 20,3 „
„	1940	— 20,0 „

Zwyżka stopy urodzeń po r. 1933 jest niewątpliwie wielkim osiągnięciem narodowego socjalizmu, jednak nie można jej uważać za dowód zasadniczej, trwałej zmiany w tendencjach rozwoju ludnościowego kraju. Spowodowana ona została w znacznym stopniu reakcją na wyjątkowo silny spadek urodzin w okresie kryzysu i bezrobocia, wyrównany na skutek poprawy warunków bytu oraz zastosowania szeregu środków gospodarczych, zachęcających do zawierania małżeństw i powiększania rodziny. Czynniki ten z natury rzeczy ma charakter przejściowy podobnie jak i nacisk psychologiczny propagandy państwowej i partyjnej, który zapewne nie mógłby zachować pełnej skuteczności na czas dłuższy. Poza tym wykazany przez statystykę przyrost naturalny stale jeszcze okazuje się niewystarczającym dla utrzymania niezmiennej liczebności narodu; sam fakt przewagi urodzin nad zgonami nie wystarcza na to, bowiem liczba urodzin zależna jest zarówno od płodności małżeństw, jak i od liczebności roczników w wieku rozrodczym — ten zaś ostatni czynnik miałby w Niemczech przez szereg lat najbliższych tendencję zniżkową. Wedle badań Urzędu Statystycznego Rzeszy, stosunek rzeczywistej liczby urodzin (żywych i martwych) do niezbędnej dla utrzymania liczebności narodu na niezmiennym poziomie przedstawia się następująco (w tysiącach):

Rok	Liczba urodzin	(+ nadmiar lub niedomiar —)
1920	1.652	+ 284
1923	1.330	+ 17
1926	1.269	— 50
1929	1.184	— 167
1931	1.064	— 300
1933	986	— 416
1934	1.231	— 250
1935	1.297	— 150
1936	1.312	— 133
1937	1.306	— 150
1938	1.380	— 83
1939	1.446	— 17
1940	1.434	— 50
1941	1.337	— 133
1942	1.078	—

Wedle obliczeń statystyków niemieckich, przy utrzymaniu płodności kobiet na poziomie z r. 1933, ludność Rzeszy od r. 1955 zaczęłaby maleć w liczbach absolutnych.*) Wzrost stopy urodzin osiągnięty przez narodowy socjalizm poprawił sytuację pod tym względem bardzo poważnie, jednak przyrost naturalny był nadal niedostateczny dla utrzymania liczebności narodu, nie mówiąc o jej trwałym wzroście.

W świetle liczb powyższych potrzeba uzyskania nowych terenów kolonizacyjnych — zwłaszcza dla kolonizacji rolniczej — nie posiada żadnego uzasadnienia społeczno-gospodarczego. Jeszcze dobitniej wskazuje na to przebieg wypadków na niemieckich kresach wschodnich, gdzie narodowy socjalizm, pomimo szczególnie usilnych starań i zabiegów, nie zdołał usunąć trwającego od lat pędu ludności do uprzemysłowionych dzielnic centralnych i zachodnich. Oto liczby, wskazujące na rozmiary tego „Drang nach Westen“ (w tys.):

Prowincja	Przyrost naturalny		Przyrost rzeczywisty		„Drang nach Westen“	
	1925 1933	1933 1939	1925 1933	1933 1939	1925 1933	1933 1939
Prusy Wschodnie	204,8	162,3	77,0	154,8	127,8	7,5
Pomorze	136,0	127,7	42,1	125,8	93,9	2,0
Marchia gr	30,4	28,9	5,1	8,7	25,3	20,2
Śląsk	259,2	260,4	175,0	105,4	184,2	155,0

Poważne zmniejszenie ucieczki z kresów wschodnich do prowincyj centralnych i zachodnich, datujące się od r. 1933, nie oznacza bynajmniej, aby pod wpływem narodowego socjalizmu naród niemiecki nabył chęci i zdolności do życia w warunkach najbardziej zbliżonych do tych, jakie miały być stworzone dla kolonistów Niemieckiego Wschodu. Wyludnienie się wsi w prowincjach wschodnich trwało nadal w reżymie narodowo-socjalistycznym, jedynie częściowo zmieniło kierunek: emigracja do miast zachodnich i centralnych została uniemożliwiona przez ustawę z dnia 15.V. 1934 r. (Ustawa o regulacji dostawy sił roboczych) („Gesetz um Regelung des Arbeitseinsatzes“), która zabroniła osiedlania się w okręgach Berlina, Hamburga—Bremy, Zagłębia Saary i in., a zatem wieśniacy wschodniemieccy emigrowali do miast swych własnych prowincyj. Rozmiary tego zjawiska ilustruje poniższe zestawienie ruchu ludnościowego w osied-

*) Bürgerdorfer: „Zurück zum Agrarstaat“ 1933. (Powróćmy do państwa rolniczego).

lach wiejskich (poniżej 2.000 mieszkańców) niemieckich kresów wschodnich w okresie 1933—1939 (w tys.):

Prowincja	Przyrost naturalny	Przyrost (+) lub ubytek (—) rzeczywisty	Ucieczka do miast
Prusy Wschodnie	102,3	— 14,9	117,2
Pomorze	72,0	— 5,0	77,1
Marchia gran.	17,6	— 9,1	26,8
Śląsk	137,8	+ 12,6	125,2

W sąsiadujących z Niemcami państwach Europy południowo-wschodniej sytuacja była zgoła odmienna. Ich gęstość zaludnienia zbliżała się do piero od Wegemanowskiego punktu krytycznego. Jednak odziedziczona po latach niewoli fałszywa struktura gospodarcza powodowała, że wieś miała nadmiar rąk roboczych, nie znajdujących zatrudnienia w nie dość silnie rozwijającym się przemyśle: jak już wspomniano, w Polsce rozmiary przedludnienia wsi szacowane były na 8 mil. osób. Duży przyrost naturalny i bardzo ograniczone możliwości emigracyjne powodowały stały i silny wzrost napięcia ludnościowego, które tylko częściowo i w bardzo trudnych warunkach znajdowało ujście w procesie industrializacyjnym i urbanizacyjnym. W wyniku tego stanu rzeczy potencjał wojenno-gospodarczy państw południowo-wschodnich był jeszcze mały — wskutek niedorozwoju przemysłu — ale wzrastał konsekwentnie i dość szybko, znajdując wzmocnienie w bardzo szybko postępującej konsolidacji społecznej i narodowej tych krajów, a przede wszystkim w ich wielkim potencjale ludnościowym. Bardzo pouczające w tym względzie jest porównanie liczby młodzieży męskiej w wieku poniżej lat 15 w Polsce i w Niemczech w latach nadchodzących, według szacunku urzędów statystycznych obu krajów, a więc zjawisko, które Niemcy nazywają „wyścigiem kołysek“ (w milionach):

Rok	Polska	Niemcy
1890		8,7 *)
1900	4,9	9,8 *)
1910		9,8
1921	4,9	
1925		8,1
1932	5,5	
1933		8,0
1939	5,8	
1940		7,8
1950	6,4	6,8
1970		5,4

Dla umysłów niemieckich oznaczało to groźbę ekspansji terytorialnej ze strony państw Europy południowo-wschodniej, zgodnie z tezą, że

*) Granice z roku 1914.

„prawo do własnej ziemi może stać się nakazem, jeśli bez możliwości rozprzestrzenienia się wielki naród skazany byłby na zagładę“^{*)}) W rzeczywistości żadnych tendencji agresywnych w stosunku do Niemiec nie było — ale coraz silniej zarysowywał się wzrost siły oporu wobec ewentualnej agresji niemieckiej, dostatecznie wielki, aby wkrótce straciła ona szanse powodzenia.

Wydaje się więc niewątpliwe, że sytuacja gospodarcza i ludnościowa co najmniej od połowy wieku ubiegłego nie zmusza narodu niemieckiego do szukania nowych terenów masowej kolonizacji rolniczej. Jakżeż bowiem można uznać, że naprawdę istnieje potrzeba terenów dla kolonizacji rolniczej w kraju, który ma na swym terytorium wyjątkowo wielkie przestrzenie niewykorzystane rolniczo mimo, że się do tego nadają^{**)} w narodzie wykazującym od dziesiątków lat masową ucieczkę ze wsi, zmuszonym nie tylko do mechanizowania swego rolnictwa, ale również do korzystania z pracy imigrantów lub młodzieży kierowanej przymusowo do robót rolnych. Sam fakt wreszcie, że konieczny był bardzo silny nacisk propagandowy i mnóstwo znacznych przywilejów gospodarczych dla rolnictwa, aby zahamować proces ucieczki ze wsi („Landflucht“) wskazuje, że rolnictwo niemieckie cierpi do lat na silny brak ludzi, a nie na ich nadmiar. Nauka niemiecka określiła swój kraj jako „Raum ohne Volk“ (obszar bez ludności) (Burgdörfer), co nie da się pogodzić ze sloganem polityków „Volk ohne Raum“ (Naród bez miejsca).

Narodowy socjalizm głosił konieczność zdobycia terenów dla kolonizacji na podłożu tendencji politycznych — jeżeli tak nazwać można irracjonalną wiarę w misję narodu niemieckiego władania światem — ale nie posiadał argumentów racjonalnych przemawiających za potrzebą takiej ekspansji. Natomiast na użytek propagandy stworzono parę sposobów przekonywania o potrzebie ekspansji kolonizacyjnej. Jednym z nich była konieczność zapewnienia Niemcom dostatecznej bazy żywnościowej, gdyż bez niej byłiby skazani na przywóz artykułów spożywczych z zagranicy, a więc zostaliby zagrożeni w swym bycie narodowym i politycznym. Wiadomo jednak, że niedostatek własnych środków żywności utrudnia podjęcie wojny zaborczej, ale nie jest żadnym zagrożeniem politycznym dla państwa pokojowego, czego dowodem są liczne kraje Europy z Anglią na czele. Nie byłoby zagrożeniem dla Niemiec, gdyby utraciły zdolność do zaborów; tak to się wprawdzie układa w umysłach niemieckich, na pewno jednak nie stanowi to dowodu, że kolonizacja obcych ziem była potrzebą ludnościową i gospodarczą. Pozornie bardziej przekonywujące jest powoływanie się na ogromne bezrobocie w czasie wielkiego kry-

*) Adolf Hitler: „Mein Kampf“.

***) Specjalista w tej dziedzinie Ostendorff: „Die bauerliche Siedlungskapazität des Deutschen Reiches“ (Zdolność osiedleńcza chłopów niemieckich), Petermanns Mitteilungen Ergänzungsheft N. 228, 1937, oblicza, że w Niemczech można było jeszcze włączyć pod uwagę 4.080 tys. ha, a w wyniku komasacji osiągnąć dalsze 1,2 mil. ha. (Eichweber: „Zur Frage einer Reagrariisierung Deutschlands“) (Przyczynek do reagryzacji Niemiec) co dałoby warsztat pracy rolnej dla około pół miliona rodzin, tj. około 2,5 mil. ludzi. Użytki rolne stanowiły 60,8% powierzchni Niemiec, co jest liczbą bardzo niską, zbliżoną do stanu rzeczy istniejącego w Rumunii (w Polsce 65,8%), również niski jest procent ziemi ornej (41,2% wobec 47,7% w Polsce, 45,4% w Rumunii).

zysu przedwojennego. Pomija się przy tym fakt, że bezrobocie było powszechnym wówczas zjawiskiem koniunkturalnym, występującym najsilniej w Stanach Zjednoczonych, nie będących krajem przeludnionym. Było to bezrobocie robotników przemysłowych i ludności miejskiej, podczas gdy wieś niemiecka odczuwała jednocześnie niedostatek sił roboczych, będący przecież zaprzeczeniem przeludnienia, przynajmniej w stopniu uzasadniającym kolonizację rolniczą terenów obcych. Przypomnieć wreszcie trzeba, że bezrobocie nie dokuczalo Niemcom w r. 1914, gdy rozpoczął się pierwszy akt wojny minionej. Sprawa bezrobocia była więc chwytem propagandowym, wygodnym podłożem do zaagitowania mas, ale na pewno nie była argumentem ustrojowym, z którego można by wciągnąć wnioski tak daleko idące, jak wszechstronna przebudowa Europy. Typowym chwytem propagandowym jest też inny argument uzasadniający ekspansję kolonizacyjną, będący bardzo charakterystycznym dla Niemców rozumowaniem à rebours: Niemcy muszą panować nad Europą i światem, co jest niemożliwe bez skolonizowania przez nich nowych terenów rolniczych — przeto ekspansja kolonizacyjna jest dla Niemców koniecznością.*)

Stosowana przez publicystykę niemiecką argumentacja była więc w gruncie rzeczy potwierdzeniem faktu, że kolonizacja nowych terenów rolnych była celem politycznym, zupełnie nie popartym potrzebą ludnościową czy gospodarczą. Co więcej, stosunki społeczno-gospodarcze już teraz czyniły taką kolonizację bardzo trudną, wymagającą naginania naturalnych tendencji rozwojowych narodu do celów politycznych — zaś w niezbyt dalekiej przyszłości mogłoby się to już nawet okazać niemożliwością, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę bieg wypadków u wschodnich sąsiadów Niemiec.

Jednak zmiany w układzie potrzeb i możliwości społeczno-gospodarczych zachodziły w Niemczech znacznie szybciej, a rzęzi wiążące się z nimi zmiany światopoglądowe i polityczne. Zaborczy duch pruski panuje stale, na co społeczeństwo niemieckie dostarcza aż nadto przekonujących dowodów. Poglądy i nastroje panujące w szerokich sferach społeczeństwa stanowiły więc zupełnie dobre podłoże dla programu politycznego, mobilizującego cały naród dla agresji, którą należało podjąć, dopóki jeszcze nie wzrosły siły sąsiadów, będących głównym celem tej akcji i dopóki układ własnych warunków ludnościowych umożliwiał opanowanie zdobytych terenów. Opanowanie to musiało być szybkie i gruntowne, gdyż napięcie psychiczne stworzone przez ruch polityczny tylko przez pewien czas może się skutecznie przeciwstawiać działaniu naturalnych sił społeczno-gospodarczych. Zasadniczym celem opanowania nowych terenów musiała być właśnie zmiana istniejącego w Niemczech układu sił populacyjnych — grożącego „degeneracją“, „zniewieściałością“ i innymi właści-

*) Jak bardzo ten typ rozumowania przeniknął ten naród filozofów, wskazuje uznana przez naród niemiecki oficjalna argumentacja, ustalająca sprawców wojny obecnej: Niemcy pragnęły zrealizowania swych postulatów terytorialnych w drodze pokojowej, a więc ci, którzy podjęli zbrojną obronę swej ziemi — spro-wokowali wojnę.

wościami odbierającymi narodowi zdolności agresyjne — a przez to stworzenie nowego podłoża terytorialnego i ludnościowego dla ekspansji politycznej i gospodarczej na innych terenach i dla przyszłej kolonizacji na dalszym wschodzie europejskim.

Do takich właśnie założeń wyraźnie dostosowane były zamierzenia niemieckie dotyczące ziem polskich, usuwające na plan drugi sprawy przemysłu i w ogóle aparatu produkcyjnego, a zmierzające do umocnienia tam elementu wiejskiego o wielkim przyroście naturalnym, względnie zabezpieczające tereny dalej na wschód położone dla przyszłej kolonizacji. Z natury rzeczy do tych samych założeń dostosowane być musiały metody i środki realizowania planów. Nie mogły one polegać na wzmacnianiu tendencji samoczynnych i kierowaniu nimi, wręcz przeciwnie, musiały się im przeciwstawiać. Gdybyśmy sobie wyobrażali zniesienie granicy między ziemią polską a Rzeszą w warunkach równouprawnienia narodowego i liberalizmu gospodarczego, to niewątpliwie nastąpiłyby masowe ruchy chłopstwa polskiego na niemieckie kresy wschodnie, „drang nach Westen“ chłopstwa niemieckiego i ewentualnie nieliczna emigracja niektórych kategorii mieszczan niemieckich do Polski.*) Nie można przeto było opierać się na środkach polityki gospodarczej, trzeba było zastosować najbardziej bezpośrednio działające metody administracyjne, raczej policyjne, zwłaszcza w odniesieniu do warunków bytu ludności rdzennej.

Z rozważań nad niemieckim planem organizacji Europy nasunął się wniosek, że ziemia polska stanowiła punkt węzłowy tych planów, przeto przy niemieczeniu ich trzeba było zastosować metody o niewątpliwiej skuteczności; obserwacje historyczne pouczają, że metody te musiały pozabawić Polaka jakiegokolwiek szansy konkurencyjnej w stosunku do przybysza niemieckiego; z układu sił ludnościowych i gospodarczych lat ostatnich wynika, że musiały to być metody szybko dające rezultaty i stosujące środki bezpośredniego nacisku policyjnego. Takie też metody i środki w Polsce zostały zastosowane. Nie trzeba ich uważać wyłącznie za przejaw barbarzyństwa grupy rządzącej — był to spokojny, wyrozumowany, z doświadczeń historycznych wysnuty system, niezbędny dla zrealizowania celów, przyświecających narodowi niemieckiemu od bardzo dawnych lat.

*) Wilhelm Zoch, „Neuordnung im Osten“ (Berlin, 1940) pisze o pokojowej walce polsko-niemieckiej zapoczątkowanej przez Bismarcka: „Postęp polskości można było zaobserwować nie tylko w ludnościowo mieszanych terenach Poznania i Prus Zachodnich ale sięgnął także na Prusy Wschodnie, Śląsk, Brandenburgię i Pomorze. Drogą pokojowego ruchu ludności coraz większa część niemieckiej ziemi leżąca w granicach państwa niemieckiego, była obejmowana przez obcy naród“. Obawie przed polską ekspansją ludnościową dają wyraz bardzo liczni uczeni Niemiec, m. in. cytowani już Bürgerdorfer i Eichweber, oraz politycy z przywódcami Komisji Kolonizacyjnej z Bismarckiem na czele.

Stanisław Rouppert

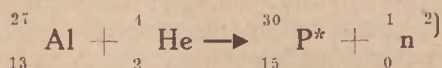
Sztuczna promieniotwórczość i jej zastosowania

Zjawisko sztucznej promieniotwórczości, jedna z najwspanialszych zdobyczy fizyki jądrowej, zostało odkryte przez I. Curie i F. Joliot w styczniu 1934 r. Za to odkrycie dostali oni nagrodę Nobla.

Badając wysyłanie pozytronów (elektronów dodatnich) przez ciała bombardowane cząstkami alfa, zauważyli oni, że wysyłanie to nie następuje natychmiast, lecz dopiero po pewnym czasie i nie ustaje od razu po przzerwaniu bombardowania, lecz trwa jeszcze przez jakiś czas.

Podczas bombardowania przez kilka minut płytki aluminiowej cząstkami alfa polonu okazało się, że wysyła ona promieniowanie (pozytrony) jeszcze przez pewien czas po usunięciu źródła wysyłającego cząstki alfa. Promieniotwórczość ta zanikała według prawa wykładniczego¹⁾ i spadała do połowy po upływie około 3 minut.

W doświadczeniu tym pierwotna reakcja musi przebiegać według wzoru:



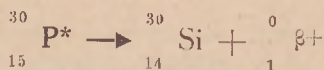
1) Prawo wykładnicze polega na tym, że ilość atomów danego pierwiastka promieniotwórczego zmniejsza się przez rozpad — według funkcji wykładniczej. Jeżeli N_t oznacza ilość istniejących atomów po czasie t , a N_0 ilość atomów w momencie, od którego rozpoczęto mierzyć czas, to

$$N_t = N_0 e^{-\lambda t} \text{ gdzie } \lambda \text{ jest to stała rozpadu.}$$

W rozpadzie podlegającym prawu wykładniczemu po pewnym określonym czasie ilość atomów spada do połowy, następnie po tym samym czasie znów spada do połowy pozostałej ilości atomów i tak dalej. Ten okres czasu jest to tzw. czas połowicznego zaniku.

2) Przemiany jądrowe zapisuje się podobnie jak reakcje chemiczne przy pomocy używanych w chemii symboli pierwiastków. Np. Al — glin, n — neutron, β — elektron. Liczby znajdujące się przy symbolu pierwiastka oznaczają: górna — liczbę masową, będącą zaokrąglonym ciężarem atomowym, dolna — liczbę porządkową w układzie periodycznym, wyrażającą ładunek jądra. Gwiazdka przy symbolu oznacza, że pierwiastek jest promieniotwórczy.

Otrzymywany w niej izotop fosforu jest promieniotwórczy i po pewnym czasie samorzutnie przechodzi w trwały izotop krzemu, wyrzucając pozytron:



Podobnie bor i magnez bombardowane przez cząstki alfa dają substancje promieniotwórcze, których czasy połowicznego zaniku, mierzone przez Curie i Joliot wynosiły 14 min. i 2,5 min. Te substancje promieniotwórcze są to izotopy azotu ${}^{14}\text{N}^*$ i glinu ${}^{27}\text{Al}^*$.

Charakter chemiczny otrzymywanego pierwiastka promieniotwórczego został określony w każdym wypadku i był zgodny z teoretycznymi przewidywaniami. W wypadku np. boru Curie i Joliot bombardowali cząstkami alfa azotek boru BN, będący ciałem stałym. Następnie rozkładali go, działając gorącym ługiem sodowym. W rezultacie azot wydzielał się w postaci amoniaku, a bor pozostawał w roztworze.

Badając promieniotwórczość produktów reakcji, stwierdzili oni, że amoniak był promieniotwórczy, zaś związek boru nie. Otrzymany pierwiastek promieniotwórczy ma więc charakter chemiczny azotu. Świadczy to w sposób oczywisty, że bor uległ przemianom w azot.

Te wyniki badań Curie i Joliot zwróciły zainteresowanie wielu uczonych ku zagadnieniu sztucznej promieniotwórczości. W Anglii Cockroft i Walton, bombardując przyśpieszonymi jonami różne substancje, otrzymali nowe pierwiastki promieniotwórcze. W Ameryce Lawrence, Lauritsen, Crane i inni potrafili tą drogą otrzymać sztuczne pierwiastki promieniotwórcze w znacznych ilościach, tak że promieniotwórczość tych preparatów dorównywała lub nawet przewyższała promieniotwórczość grama radu.

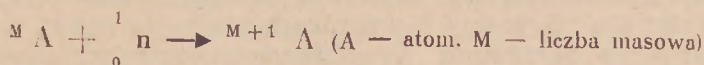
W Rzymie Fermi i jego uczniowie zapoczątkowali nową metodę otrzymywania sztucznych pierwiastków promieniotwórczych przez bombardowanie neutronami. Te i podobne badania doprowadziły do tego, że obecnie znamy około 500 izotopów nietrwałych, czyli tzw. sztucznych pierwiastków promieniotwórczych. Prawie każdy pierwiastek posiada izotop promieniotwórczy, a niektóre mają ich nawet po kilka.

Zasadnicze prawa rozpadu promieniotwórczego są te same dla pierwiastków promieniotwórczych naturalnych i sztucznych. Sztuczne pierwiastki promieniotwórcze różnią się jednak od naturalnych tym, że wiele z nich przechodzi w atomy trwałe, wyrzucając pozytrony, co jest zupełnie niespotykane w wypadku naturalnej promieniotwórczości. Inne sztuczne pierwiastki promieniotwórcze wyrzucają elektrony lub przechodzą w atomy trwałe na drodze procesu pochwylenia przez jądro własnego elektronu z warstwy K (K — electron capture) i tylko bardzo nieliczne, prawdopodobnie tylko trzy, wyrzucają cząstki alfa.

Sztuczne pierwiastki promieniotwórcze otrzymuje się w różnych reakcjach, bombardując odpowiednie substancje protonami, deutonami lub cząstkami alfa, ale najłatwiej powstają one, jak wiemy z badań E. Fer-

miego, przy bombardowaniu neutronami. Tylko jeden pierwiastek a mianowicie hel, nie reaguje z neutronami.

Przy bombardowaniu neutronami najczęstszym procesem jest „zwykle pochwylenie“ (simple capture). Można tę reakcję wyrazić symbolicznie:



Otrzymane jądro jest izotopem cięższym od izotopu trwałego, jest ono przeważnie promieniotwórcze i wyrzuca elektrony.

Sztucznych pierwiastków promieniotwórczych jest bardzo dużo, ale tych, które mogą mieć zastosowanie praktyczne, nie jest tak wiele, gdyż muszą one być stosunkowo łatwe do otrzymania i mieć czas połowicznego zaniku ani zbyt długi, ani zbyt krótki.

Zjawisko sztucznej promieniotwórczości próbowano wykorzystać w chemii, biologii i medycynie.

O tak szerokim jej zastosowaniu decyduje ogromna ilość sztucznych pierwiastków promieniotwórczych oraz fakt, że obecność ich jest łatwa do wykrycia. Ponieważ w reakcjach chemicznych izotopy wykazują te same własności, można zatem mieszać nieznaczną ilość izotopu promieniotwórczego z izotopem trwałym i badać zachowanie się danego pierwiastka, śledząc promieniotwórczość jego izotopu nietrwałego.

W praktyce wymagania poszczególnych nauk ograniczają możliwość zastosowania sztucznych pierwiastków promieniotwórczych do tych jedynie, które wymaganiom tym czynią zadość.

Tak np. w biologii wymagane jest przeważnie, aby dany pierwiastek występował w jakimś określonym związku chemicznym, najlepiej w związku organicznym. Przy bombardowaniu jednak, nawet neutronami, atom podlegający przemianie zostaje zazwyczaj wyrwany ze związku chemicznego, w którym występował. Jeżeli związek ten jest bardzo trwały, to dany atom, o ile w przemianie nie zmienił swych własności chemicznych, może znów wytworzyć ten sam związek. Jeżeli jednak związek chemiczny jest nietrwały, to po przemianie atom tworzy inny, trwalszy związek.

W pewnych wypadkach przy bombardowaniu neutronami może ten efekt być bardzo dogodny, jeżeli chodzi o oddzielenie izotopu promieniotwórczego.

Jeżeli np. bombardujemy w roztworze wodnym związek organiczny arsenu, to po przemianie arsen zostaje wyrwany ze związku i tworzy wolne jony w roztworze, skąd łatwo go oddzielić.

Z drugiej jednak strony, ze względu na tę właściwość, gdy chcemy otrzymać związek organiczny zawierający sztuczny pierwiastek promieniotwórczy, trzeba często przeprowadzać żmudną syntezę takiego związku.

Sztuczne pierwiastki promieniotwórcze o najczęstszych zastosowaniach są otrzymywane przez bombardowanie deuteronami lub neutronami otrzymywanymi przy pomocy cyklotronu. Cyklotron jest to przyrząd pozwalający przyspieszać jony. Jony poruszające się po spirali w polu magnetycznym, za każdym obiegiem są dwa razy przyspieszane przez pole

elektryczne zmienne tak dobrane, że nadaje ono przyspieszenie jonowi każdorazowo w tym samym kierunku.

Przy pomocy cyklotronu można osiągać bardzo wielkie prędkości jonów, a więc dużą ich energię.

Przy bombardowaniu deutonami w cyklotronie trzeba ochładzać tarczę bombardowaną. W pewnych wypadkach trzeba ją nawet w tym celu by wytrzymała ogrzewanie wywoływane strumieniem jonów, pokrywać cienką ochronną blaszką aluminiową czy złotą.

Przy rozszczepieniu uranu powstają także wielkie ilości różnych pierwiastków promieniotwórczych. Wobec możliwości wywoływania obecnie reakcji lawinowej rozpadu uranu, można by było otrzymywać niektóre pierwiastki promieniotwórcze w wielkich ilościach np. kilku kilogramów.

Jeżeli chodzi o koncentrację otrzymywanych pierwiastków promieniotwórczych, to najczęściej stosuje się metodę Szilarda i Chalmersa. Ma ona zastosowanie wtedy, gdy pierwiastek promieniotwórczy jest izotopem pierwiastka bombardowanego. Podstawą tej metody są dwa fakty stwierdzone doświadczalnie: po pierwsze: ilość otrzymywanych atomów promieniotwórczych jest bardzo mała w porównaniu z całkowitą ilością atomów danego pierwiastka, występującego w związku chemicznym, i po drugie: przy bombardowaniu atomy promieniotwórcze powstające w przemianach są wyrwane ze związków chemicznych, w których występują. Jeżeli bombardujemy związek organiczny, to wyrwany atom jest przez chwilę przynajmniej wolny, a potem wraca do związku lub tworzy inny.

Szilard i Chalmers dodawali do danego związku organicznego trochę pierwiastka w stanie czystym. W tym wypadku po bombardowaniu do pierwotnego związku powracają głównie atomy zwykłe, gdyż jest ich o wiele więcej niż promieniotwórczych, a te ostatnie koncentrują się w stanie czystym i mogą być łatwiej oddzielone. W ten sposób w praktyce można oddzielić do 40% ilości pierwiastka promieniotwórczego.

Metoda ta stosowana jest w wielu wypadkach z bardzo dobrym wynikiem np. dla wyodrębnienia promieniotwórczych chlorowców i arsenu z ich związków organicznych.

Można także łatwo oddzielić sztuczne pierwiastki promieniotwórcze, gdy różnią się one chemicznie od pierwiastka bombardowanego. Stosuje się wtedy zwykłe metody chemiczne, dodając trochę izotopu trwałego danego pierwiastka w stanie czystym. Pierwiastki takie otrzymujemy albo przez bezpośrednie bombardowanie deutonami albo też przez bombardowanie neutronami w przemianach z wyrzuceniem cząstek.

Aby pierwiastki promieniotwórcze mogły być zastosowane dla celów praktycznych, muszą one występować w stanie związanym.

W pewnych wypadkach jest to zupełnie łatwe do osiągnięcia, jeżeli chodzi o proste związki. Jeżeli jednak chce się otrzymać bardziej skomplikowany związek organiczny np. hormon, zawierający pierwiastek promieniotwórczy, to trzeba wykonać trudną syntezę tego związku i należy to zrobić dość szybko, gdyż promieniotwórczość danego preparatu maleje, szczególnie jeżeli ma się do czynienia z pierwiastkiem o krótkim czasie połowicznego zaniku.

Tutaj ciekawe były metody zastosowane przez Rubena w Ameryce, który używał bakterii do syntezy między innymi kwasu octowego, metanu i węglowodanów z dwutlenku węgla, gdyż węgiel promieniotwórczy otrzymuje się przeważnie w postaci dwutlenku węgla. Sztuczne pierwiastki promieniotwórcze mogą być stosowane w różnych naukach jak chemia, biologia, medycyna dla badania reakcji, które nie były do niedawna dostępne systematycznej obserwacji.

W chemii sztuczna promieniotwórczość pozwoliła na udoskonalenie empirycznych metod badawczych szeregu zjawisk, dotychczas niedostępnych obserwacji. Badano np. reakcję wymiany między dwoma związkami zawierającymi ten sam pierwiastek np. związkiem organicznym a nieorganicznym, które znajdują się razem w roztworze.

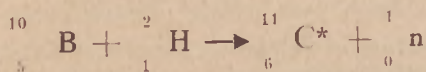
W tym celu umieszczono w jednym z nich pierwiastek promieniotwórczy i następnie po pewnym czasie rozdzielano te związki i badano ich promieniotwórczość, na podstawie której wnioskowano o przechodzeniu danego pierwiastka z jednego związku do drugiego. Można także w podobny sposób badać reakcję wymiany między płytką jakiegoś metalu a roztworem soli tegoż metalu.

Sztuczna promieniotwórczość można również zastosować przy rozdzielaniu substancji chemicznych np. ziem rzadkich. Pozwala ona na wykrywanie najdrobniejszych śladów danej substancji (zawierającej pierwiastek promieniotwórczy), które inną drogą są niewykrywalne.

Z innych zastosowań sztucznej promieniotwórczości w chemii warto podkreślić, że umożliwia ona eksperymentalne badanie dyfuzji danego metalu w innym lub też w nim samym np. złota w złocie. Obserwowanie tego zjawiska bez zastosowania sztucznej promieniotwórczości było dotychczas nierozdzielne.

Z różnorodności tych kilku przykładów zastosowań sztucznej promieniotwórczości widzimy, że zjawisko to może odegrać dużą rolę w rozwoju chemii.

W biologii stosowano sztuczna promieniotwórczość dla badania procesu przyswajania różnych ciał przez organizmy żywe. Np. Ruben, Hassid i Kamen badali fotosyntezę przy pomocy węgla promieniotwórczego C^* który ma raczej krótki czas połowicznego zaniku — 21 min. Otrzymywany był on przy pomocy następującej reakcji przez bombardowanie boru deuteronami:



Powstający tu tlenek węgla był utleniany na CO_2 . Promieniotwórczy CO_2 był następnie wprowadzany do naczyń z roślinami, które poddawano naświetlaniu w ciągu różnego czasu. Następnie rośliny krajano na skrawki, wydobywano z nich rozpuszczalne w wodzie węglowodany i badano ich promieniotwórczość. Potwierdziło to w sposób niewątpliwy i pozwoliło na ilościowe zbadanie zjawiska znanego już przedtem w ogólnych zarysach, polegającego na tym, że rośliny przyswajają węgiel o wiele inten-

sywniej, gdy są oświetlone, niż gdy pozostają w ciemności, a nie przyswajają zupełnie, jeżeli przedtem i w czasie wprowadzenia CO_2 były w ciemności.

Innym takim przykładem są badania Ballarda i Deana nad fosforem promieniotwórczym $^{32}\text{P}^*$ o czasie połowicznego zaniku 14,3 dnia.

Badając zatrzymywanie fosforu przez różne gleby stwierdzili oni, że w zależności od ich rodzaju był on zatrzymywany w granicach od 20% do 95%. Następnie dodali fosforu promieniotwórczego do doniczek zawierających glebę, zatrzymującą dobrze fosfor. W doniczkach tych rosły pomidory. Pozwolono rosnąć jakiś czas tym roślinom, a następnie badano bezpośrednio promieniotwórczość liści. Okazało się, że fosfor został zaabsorbowany w liściach dopiero po tygodniu. Hamilton zrobił bardzo interesujące zdjęcie roślin przy pomocy ich promieniowania. Liście pomidorów zasilanych fosforem promieniotwórczym, położył na kliszy fotograficznej i promienie wysyłane przez nie oddziaływały bezpośrednio na kliszę. Zaciemnione miejsca na kliszy wskazywały na skupienia fosforu.

Badano także rozmieszczenie fosforu u szczurów w różnym czasie po zaaplikowaniu im tego pierwiastka. Okazało się, że po upływie czterech godzin najwięcej fosforu było w krwi i żółci, ale po dłuższym okresie cały prawie fosfor był skupiony w kościach. Przedostawanie się fosforu do zębów okazało się bardzo szybkie, występował on w nich prawie od razu w małych ilościach, a po paru dniach już w znacznych koncentracjach.

Przeprowadzone były także badania nad jodem $^{131}\text{I}^*$ o czasie połowicznego zaniku 26 minut i jodem $^{129}\text{I}^*$ o czasie zaniku 8 dni.

Hertz, Roberts i Evans zastrzykiwali promieniotwórczy jod królikom i badali następnie rozmieszczenie jego w organizmie. Okazało się, że jod skupiał się głównie w tarczycy.

Ilość jodu w tarczycy po pierwszej dawce silnie wzrosła, ale przy następnych wzrastała już powoli. Widać stąd więc, że jod lepiej podawać w pojedynczych dawkach w dużych odstępach czasu niż przez częste powtarzanie dawek.

Badań nad jodem promieniotwórczym zostało przeprowadzonych bardzo wiele.

W doświadczeniach z żelazem promieniotwórczym używany był izotop $^{59}_{26}\text{Fe}^*$ o bardzo dogodnym czasie połowicznego rozpadu — 47 dni.

Hahn, Bale, Lawrence, i Wipple zaobserwowali, że gdy podawali psom żelazo, to psy anemiczne przyswajały znaczne ilości żelaza, a psy normalne tylko bardzo małe.

Lawrence, Erf i Tuttle, badając rozmieszczenie fosforu promieniotwórczego w różnych komórkach myszy chorych na białaczkę, stwierdzili, że ma on tendencję do skupiania się w komórkach chorych, działając na nie niszcząco dzięki swemu promieniowaniu. Próby wykorzystania tych wyników w praktyce lekarskiej okazały się pozytywne: chorzy zażywający co kilka tygodni promieniotwórczy fosfor czuli się lepiej.

Pierwsze próby zużytkowania sztucznej promieniotwórczości w medycynie pozwalają określić dalsze możliwości jej zastosowania.

Dla leczenia np. chorób wymagających zniszczenia w sposób selekcyjny chorych tkanek należało by znaleźć odpowiedni pierwiastek promieniotwórczy wysyłający promienie beta i skupiający się w tych tkankach.

Jeszcze ciekawsze perspektywy w tej dziedzinie otwiera pomysł Krugera, który proponował wprowadzenie do organizmu chorego trwałego pierwiastka skupiającego się tylko, lub między innymi, w chorej tkance, a następnie wywoływanie w określonym miejscu sztucznej jego promieniotwórczości przy pomocy naświetlania neutronami.

Podane wyżej przykłady pozwalają zorientować się, jak doniosłe znaczenie może mieć zastosowanie sztucznej promieniotwórczości w poszczególnych naukach.

Umożliwia ona przeprowadzanie doświadczeń, które bez niej byłyby praktycznie nieosiągalne lub ogromnie utrudnione.

Zastosowaniem fizyki jądrowej w biologii i medycynie interesował się szczególnie F. Joliot.

W swoim laboratorium w Collège de France propagował on zespołową pracę fizyka, chemika i biologa lub lekarza. Fizyk przygotowywał dany pierwiastek promieniotwórczy przy pomocy cyklotronu, chemik wprowadzał ten pierwiastek w wymagany związek chemiczny, zaś lekarz lub biolog aplikował go żywym organizmom, wreszcie znowu fizyk badał promieniotwórczość preparatów z różnych części organizmu. Współpraca ta nie ograniczała się wyłącznie do wykonywania przez każdego z nich czynności należących do jego specjalności, lecz dyskutowali oni wspólnie poszczególnie wyłaniające się w trakcie doświadczeń zagadnienia.

Badali oni rozmieszczenie jodu i arsenu w organizmie myszy i królików w różnym czasie po zaaplikowaniu.

Odkrycie sztucznej promieniotwórczości spowodowało przewrót w poglądach na budowę jądra atomowego i dało początek wielu płodnym w następstwie badaniom.

Oceniając jednak znaczenie tego odkrycia dla innych nauk musimy stwierdzić, że jest ono n'iemniejsze. Ma ono dla nich charakter pomocniczy, pozwalający na udoskonalenie doświadczalnych metod badawczych, będących najistotniejszym czynnikiem postępu w nauce.

Leon Schiller

Najpilniejsze zadania teatru polskiego

Referat wygłoszony na uroczystym 1-szym posiedzeniu RADY TEATRALNEJ 16. VI. 1946 w Teatrze Polskim w Warszawie*)

Mistrzowie Sceny Polskiej i skromni jej pracownicy, dramatopisarze, teoretycy i krytycy teatru, jego budowniczości, zdobnicy i technicy, działacze oświatowi, krzewiacy zamiłowanie do sztuki teatralnej i jej znajomość w masach pracowniczych, wśród młodzieży i dlatwy — słowem przedstawiciele twórców i odbiorców polskiego kunsztu scenicznego wezwani przez Rząd do wzięcia udziału w obradach nad zadaniami tej równie pięknej, jak pożytecznej sztuki, mający nakreślić plan jej odbudowy gromadnie, wespół z delegatami, zagadnieniem tym zainteresowanych ministerstw — oto fakt w dziejach tyleż smętnych, co heroicznycy sceny naszej nie notowany.

Kiedyż się to tak w Polsce działo? Czy może wówczas, gdy honor scenopisarstwa i rzemiosła teatrowego ratowały kompanie żaczków, rybaltów czy klechów, po kolendzie, albo wprost po jałmużnie od mieściny do mieściny wędrujące? Czy kiedy w komedialniach magnackich dworów theatrum wyprawiano, na którym popisywali się chłopci pańszczyźniani i oficjaliści dworscy w sielankowych lub mitologicznych rolach, ujawniając w nich niejednokrotnie przedni talent, co wszakże po odbytych festynie

*) Minister Kultury i Sztuki powołał zarządzeniem z dnia 6 kwietnia 1946 roku Radę Teatralną przy Departamencie Teatru Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wedle powyższego zarządzenia (§ 2) Rada Teatralna ma za zadanie:

- „1) Przedstawienie Ministrowi Kultury i Sztuki wniosków w sprawie potrzeb sztuki teatralnej i zasad organizacji życia teatru,
 - 2) opiniowanie rządowych projektów ustaw i rozporządzeń o charakterze zasadniczym, dotyczących teatru, tudzież zgłaszanie do Ministerstwa Kultury i Sztuki własnych projektów w tym zakresie,
 - 3) wskazywanie środków prowadzących do upowszechnienia i pogłębienia kultury teatralnej,
 - 4) załatwianie wszelkich spraw przekazanych Radzie Teatralnej przez Ministra Kultury i Sztuki.“
- Minister Kultury i Sztuki powołał z własnego wyboru spośród wybitnych artystów, teoretyków i działaczy na polu sztuki teatralnej następujących członków zwyczajnych Rady:

nie chroniło onegdajszych artystów od mordęgi na pańskiej roli i upokarzającego lokajstwa?

Czy gdy na szarym horyzoncie scenotwórstwa naszego błysnęło słońce geniuszu Wojciecha Bogusławskiego, wybornego aktora, dramatyka, teoretyka i pedagoga sztuki aktorskiej, człowieka teatru iście europejskiej miary, a przede wszystkim patrioty i rewolucjonisty, ideowo z Kościuszką, Kollątajem, Niemcewiczem, Wybickim i wszystką demokracją czasów owych zbratanego? Wiadomo przecież, jak wychodził on na wątpliwej protekcji przereklamowanego sztuk pięknych opiekuna, żalösnej pamięci, króla Stasia. Wiadomo, ile się nie tylko od okupantów ale i — może nawet stokroć bardziej — od sfory ich karmazynowych sługusów nacierpiał. Wiadomo, że krom pocziwego imienia, i to często przez hołotę reakcyjną szarpanego, żadnej z wieloletniej swej antreprzyzy i licznych po całej Polsce tułaczek nie wyniósł korzyści.

Czyż mam wspominać niedolę wytwornego kłacyka Ludwika Osińskiego, który wbrew gustowi swemu, on, świetny Kornela i Racyna tłumacz, pozbawiony troskliwszej opieki, przez aktorów niezrozumiany a oderwany od społeczeństwa, drammy, melodramy, possy czarodziejskie i rubaszne komedio-opery na Teatrze Narodowym wystawiał, iżby go przed ruiną niechybną uchronić?

Czy biadać nad tragedią nieprzytomnego idealisty, fanatyka, czy dziwaka, krakowianina Hilarego Maciszewskiego, co w połowie ubiegłego stulecia ubrał sobie, że uda mu się z prowincjonalnej, niewiarogodnie zaśmieconej budy Comédie Française albo Burgtheater utworzyć, którego

Dyrektorowie teatrów państwowych: Arnold Szyfman (Warszawa), Leon Schiller i Wł. Krasnowiecki (Łódź), Bronisław Dąbrowski (Katowice). Dyrektor Departamentu Teatru M. K. i S.: Michał Rusinek. Dyrektor Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Łodzi : Aleksander Zeiwerowicz.

Ponadto w skład Rady weszli:

Jerzy Borejsza, Wł. Daszewski, Aleksander Ford, Iwo Gall, Wilam Horzyca, Jarosław Iwaszkiewicz, Bohdan Korzeniewski, J. N. Miller, Juliusz Osterwa, Roman Palester, Andrzej Pronaszko, arch. inż. Skibniewski, Henryk Szetyński, Stefan Żółkiewski.

Organizacje społeczno-oświatowe zgłosiły piętnastu swych przedstawicieli. Z ramienia ZZASP w skład Rady weszli: Dobiesław Damięcki i Jan Kreczmar. Członkami zwyczajnymi Rady są również delegaci Min. Obrony Narodowej, Min. Oświaty, Min. Inf. i Propagandy oraz Min. Skarbu.

Poczet członków honorowych stanowią:

Karol Adwentowicz, prof. Wacław Borowy, Wojciech Brydziński, Mieczysława Cwiklińska, Maria Dąbrowska, Karol Frycz, Adam Grzymała-Siedlecki, prof. Srebrny, Ludwik Hieronim Morstin, Mieczysław Rulikowski, Wanda Siemaszkowa, Irena Solska, Ludwik Solski, Leopold Staff, Jerzy Szaniawski i Teofil Trzcziński.

Kadencja Rady Teatralnej ma trwać dwa lata.

Rada Teatralna może powoływać Komisję dla rozważania spraw specjalnych. Minister Kultury i Sztuki powołuje spośród członków Rady Komitet Doradczy Departamentu Teatru, działający na podstawie osobnego zarządzenia. (Dotychczas członkami Komitetu, powołanego przez Ministra byli: Arnold Szyfman, Leon Schiller i Bohdan Korzeniewski. W sprawach dotyczących ZZASP Ministerstwo zasięgało opinii prezesa tej organizacji.)

Uroczyste otwarcie Rady Teatralnej odbyło się dnia 16 czerwca br. w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie. Przy stole prezydyalnym zasiadli: Minister i Wiceminister Kultury i Sztuki w otoczeniu najwybitniejszych przedstawicieli teatru i literatury dramatycznej. Po krótkim zagajeniu Minister odznaczył złotym krzyżem zasługi szereg powszechnie cenionych artystów teatru i dramatopisarzy. Poczem nastąpiły przemówienia Ministra Wł. Kowalskiego, wiceministra Leona Kruczkowskiego i dyr. Departamentu Teatru Michała Rusinka na temat stanowiska Państwa wobec teatrów w Polsce Odrodzonej. W końcu Leon Schiller wygłosił referat, który tu podajemy w całości.

to reformatora, przed meiningeńczykami i innymi dziewiętnastowiecznymi inscenizatorami, w podzięce za trudy i ofiary, po chamsku wyśmiano i z torbami puszczono? Czyż inaczej odniosło się społeczeństwo polskie i jego przedstawiciele w rządzie krajowym i w zarządzie miasta Krakowa, do niedocenionego wciąż jeszcze, Stanisława Koźmiana, któremu to jedynie można było zarzucić, że on człek w polityce rozważny, konserwatyista przecież, stańczyk, teatrzyń przy Placu Szczepańskim do godności pierwszej Sceny Narodowej podniósł, gromadząc najlepszych aktorów z różnych stron Polski, szkoląc ich wedle nowoczesnych metod, dając repertuar zapomniany lub nieznaną zgoła (romantyków naszych i obcych, Szekspira, wreszcie moralizujących realistów spod znaku Dumasa-syna), czyniąc to wszystko z zamiarem wychowania widowni, o dziwo, bynajmniej nie w duchu galicyjskiego serwilizmu?

I on się, jak wiemy, na teatrze nie dorobił, i jemu nie oszczędzono kpin i oszczerczych zarzutów tak, iż się musiał od umiłowanej pracy odsunąć i tylko o niej nader cenny dokument zostawił w postaci skromnie wydanego zbioru swych prób teatrologicznych.

Nie lepiej obeszło się społeczeństwo i jego władze legalne z Tadeuszem Pawlikowskim, bez którego twórczej działalności na scenach krakowskiej i lwowskiej u schyłku minionego wieku i w pierwszym dziesiątku naszego, scena polska byłaby się stoczyła na dno parafianščyzny. On bowiem otworzył na oścież wrota swego teatru Przybyszewskiemu, Kisielewskiemu i całej młodopolskiej plejadzie, on Maeterlincka, Ibsena, Hauptmanna i najgłośniejszych modernistów na sceny polskie wprowadził, on unowocześnił styl gry aktorskiej i technikę reżyserii, na przekór chwałom staroświeczczyny, tykom magistrackim i gazeciarzom spod ciemnej gwiazdy. Nie zliczyć kublów pomyj, jakie w uznaniu zasług wylano na tego sceny polskiej odnowiciela. Wszedł do teatru jako magnat, i to mu zjednało sympatię motłochu drobnomieszczkańskiego. Wyszedł z teatru jako bankrut, i tego mu nikt nie mógł darować.

Ci, których się dziś z wielką czią wspomina za wprowadzenie na deski sceniczne „Złotej Czaszki“, „Kordiana“, „Dziadów“, „Nie-boskiej“, „Wesela“, „Wyzwolenia“, „Bolesława Śmiałego“ i tylu innych arcydzieł poezji scenicznej, przedtem za niesceniczną uważanej — Józef i Lucyna Kotarbińscy, po sześćoletnim borykaniu się z koltunierią podwawelską wyświeceni zostali z świątyni na placu S-go Ducha, obok starożytnego kościółka S-go Krzyża wzniesionej, w podobny sposób jak ich poprzednik i jak późniejsi ich następcy.

Skandal krakowski osiągnął apogeum, gdy Stanisław Wyspiański zgłosił miastu gotowość poprowadzenia jego jedynej sceny. Wynikało to logicznie z całej dotychczasowej jego twórczości dramatopisarskiej i inscenizacyjnej, z jego własnej i z Mickiewiczowego ducha poczerpniętej teorii teatru, z jego politycznej, wyraźnie i odważnie niepodległościowej postawy. Ci, co się w ideologii wielkiego poety teatru i w jego programie artystycznym orientowali, myśleli: oto Hamlet w Elsynorze nadwiślany da widowiska, z pomocą których sumienia zbrodniarzy narodowych, jak na wędę łowił będzie. Oto się teatr krakowski trybunałem sumień i świątynią

piękną stanie, sen się tu Mickiewicza z Lekcji XVI-ej wykładów paryskich zapewne ucieleśni i własne poety marzenie o Teatrze Ogromnym — ujrzymy Akropolis, Achilleis, Noc Listopadową, Legion w kształtach scenicznych takich, jakich nikt inny, prócz niego, z trudnego tekstu dzieł owych wprowadzić nie zdoła. Narodzi się scena, mogąca iść o lepsze z najpierszymi scenami świata, świadcząca — co dziś stwierdzają cudzoziemcy na podstawie znajomości polskiej dramatyki monumentalnej — o odrębności, artyzmie i żywotności teatru naszego.

I cóż się stało? Na decydującym posiedzeniu krakowskiej Rady miejskiej padły za Wyspiańskim tylko dwa głosy: konserwatysty, prof. uniwersytetu Ulanowskiego i socjalisty, Ignacego Daszyńskiego. Gdy za ten czyn haniebny kołtunów magistrackich po cichutku atakowano, tłumaczyli się, że przecież trudno było dyrekcję sceny miejskiej powierzyć nieuleczalnemu luetykowi, zapominając o tym, iż jeden rok twórczej pracy takiego luetyka więcej mógł polskiej kulturze teatralnej przynieść pożytku, niż lata całe marnowane przez ludzi, cieszących się normalnym zdrowiem. Jeden tylko w tym czasie ukazał się protest. Podpisało go kilku studentów Wszechnicy Jagiellońskiej i kilku gimnazjalistów bałamucających się lewicowo i artystycznie, do którego to grona, wygłaszający te słowa miał zaszczyt należeć. Akcji tej oczywiście nikt poważnie nie potraktował.

Nie byłoby rzeczą słuszną w tym nader pobieżnym nekrologu ciekawszych wysiłków na polu twórczości scenicznej atakować czy to społeczeństwo, czy kierowników scen, działających w okresie niewoli na terenie okupacji rosyjskiej, zwłaszcza Warszawy. Warunki polityczne wiele, choć nie wszystko, usprawiedliwić mogą. Nie wszystko, bo kiedy prezes tzw. Teatrów Rządowych, rosjanin Iwanow, mąż pani Calergis, wprowadził między rzesze rozpanoszonych wirtuozów i historionów mniejszego kalibru, w charakterze dyrektora artystycznego nie byle kogo, lecz tej miary teatrologa, co Władysław Bogusławski i tego, największego u nas po dzień dzisiejszy, znawcę dramaturgii i teatraliki, panowie owi znieważyli, nie mając mu nic więcej do zarzucenia, prócz tego, że ich o głowę przerastał — to któż tu winę ponosi?

Albo gdy w r. 1913 z niemałym trudem udało się Arnoldowi Szyfmanowi, przy stosunkowo nikłej pomocy finansjery i arystokracji, dokonać epokowego dzieła — założyć pierwsze prywatne na wielką, powiedzmy, wprost na europejską skalę zakrojone przedsiębiorstwo teatralne, nadać Teatrowi Polskiemu najnowocześniejszy kształt zewnętrzny, zaś na scenie jego wystawiać dzieła, o jakich Warszawie nigdy się nie śniło, w sposób taki, na jaki nigdy nie byłaby się zdobyła — czyż nie musiało dużo wody upłynąć, zanim się przeróżne „kuriery“ pojawu nowej sztuki szanować nauczyły a publiczka mieszczańska, w operetce i farsie rozsmakowana, zanim się do widowisk poważniejszych przekonała? Nie lepiej wiodło się teatrom w latach międzywojennych.

Ten sam Teatr Polski nieustannie o byt swój materialny walczyć musiał, żadnej znikąd nie otrzymywał subwencji, nikt się o losy jego nie troszczył, gdy co pewien czas nad przepaścią bankructwa się znajdował,

gdy nierzadko przykre kompromisy artystyczne czynił, które jedynie dzięki niezwykle talentowi organizacyjnemu twórcy tej sceny, poważniejszej szkody jej nie przyniosły.

Państwo nigdy nie pokusiło się o prowadzenie w swym zarządzie któregokolwiek z czołowych teatrów. Samorządy mizernie dotowały swoje sceny, zato znakomicie hamowały ich rozwój, kaduk wie skąd wytrząskując dla nich dyrektorów i wtrącając swoje trzy grosze do każdej zakulisowej sprawy.

Szczytem obojętności Państwa w stosunku do zagadnienia teatru było zrzeczenie się b. teatrów rządowych w Warszawie na rzecz Miasta. Uczyniono to, jak wiemy, z lekkim sercem, aby się raz na zawsze od odpowiedzialności za stan kultury teatralnej w Polsce uwolnić.

Szczytem zaś lekkomyślności ze strony wszystkich miast polskich było to, że gdy się im już dyrektorowanie w teatrach swoich uprzykrzyło, poczęły wypuszczać je w dzierżawę znów byle komu, kto tylko dawał jakiegokolwiek gwarancje finansowe. Ze gwarancje te okazywały się wrychle fikcją, że zarządy miejskie do gospodarki tych ludzi przypadkowych (lub wręcz kombinatorów) bez końca dokładały, że wreszcie imprezy podobne z reguły kończyły się „zarwaniem“ aktorów, robotników i dostawców, a przede wszystkim ponurym skandalem artystycznym — powszechnie o tym wiadomo.

Pomyśleć, że na krótko przed wojną „pierwsza scena polska“ — Teatr Narodowy — został wydzierżawiony przedsiębiorcy prywatnemu, że ten sam los spotkał jedyny reprezentacyjny teatr stołeczny — Operę! Nie prędko zapomnimy o wstydzie, jaki obydwie te instytucje stolicy i państwu przyniosły i krzywdach, jakie naszej kulturze teatralnej i muzycznej wyrządziły.

Zdawało by się, że niekosztowne, nie wiele dla się pod względem uposażeń aktorskich i wydatków na wystawę wymagające, sceny awangardowe jak „Reduta“, „Teatr im. Bogusławskiego“ albo Jaraczowe „Ate-neum“ — mogły być liczyć na jakąś pomoc finansową lub bodaj opiekę ze strony rządu albo miasta.

„Reduta“ przecież była w owych czasach jedyną pracownią aktorsko-reżyserską, w której eksperymentowano styl gry zespołowej, uczono nowej organizacji pracy, wpajano w młodzież ideał poświęcenia się dla sztuki. Poza tym „Reduta“ kultywowała repertuar jedynie polski, od Mikołaja z Wilkowiecka, Zabłockiego i Fredry do Żeromskiego i Szaniawskiego, prześcigając w tym wszystkie inne sceny.

„Teatr im. Bogusławskiego“ był pierwszą w Polsce, nowoczesnie pojętą sceną dla mas pracowniczych, wchodził z nimi w bezpośrednią styczność, wysłuchiwał ich żądań, organizował je jako stałą swoją publiczność liczącą z górą osiemdziesiąt tysięcy widzów. Odstąpił od tradycyjnego repertuaru tzw. „scen ludowych“, od owych „Czartowskich ław“ i „Robertów i Bertrandów“, na ich miejsce wprowadził pierwszą próbę inscenizacji „Kniazia Patiomkina“ Micińskiego, „Róży“ Żeromskiego i Wyspiańskiego „Achilleidy“. Ważniejsze pozycje repertuarowe stanowiły utwory Szekspira, Fryderyka Schillera, Gogoła, Henri Ghéona oraz

nowe obróbk¹ starych wodewilów i komedio-oper polskich. Tu przede wszystkim robiono niezmiernie ważkie dla naszej sztuki teatralnej doświadczenia w dziedzinie inscenizacji, reżyserii, techniki scen masowych i nowoczesnego oświetlenia. Tu przepracowano solidnie zagadnienia formizmu i ekspresjonizmu, tu zaczęto się zastanawiać nad możliwością przewyciężenia tych kierunków przez neo-realizm, tu wreszcie wyczuło potrzebę tworzenia nowych kształtów scenicznych dla polskiej dramatyki monumentalnej.

Teatr „Ateneum“ po likwidacji obu scen wymienionych, starał się, jak twierdził Jaracz, powstałą w życiu teatralnym lukę uczciwie wypełnić. Promieniował indywidualnością wielkiego artysty, w pracy aktorskiej holdował hasłem zespołowości, dawał widowiska niebanalne, zawsze rzetelnie po reżysersku i scenograficznie opracowane.

Jakże się do tych nowatorskich poczynań odniosły czynniki rządowe lub samorządowe?

Oto Reduta żyła przez lata całe dosłownie z żebraniiny, musiała nieraz, nie z dobra woli zapewne, długo antyszambrować, zanim jej jaką jałmużnę endeccy czy sanacyjni protektorowie z wielkopańskim gestem rzucili, które to kwoty ułatwiały redutowcom żywot prawdziwie monastyczny, polegający, jak wiadomo, na ostrych postach i różnych srogich prywacjach. Wypędzona z warszawskich teatrów miejskich, puściła się na tułaczkę i mimo, iż ocalała swe istnienie, nigdy dawnej świetności odzyskać nie zdołała.

Teatr im. Bogusławskiego, choć nie zarobkowe tylko społeczne i artystyczne momenty w jego pracy przeważały, a może właśnie dlatego, magistrat st. m. Warszawy potraktował jako prywatne przedsiębiorstwo dochodowe, obarczając je 20%-ową tenutą dzierżawną i 10%-owym podatkiem widowiskowym.

Można sobie wyobrazić, jak nie łatwym było życie tej instytucji ambitnej na punkcie swoich wystaw, zatrudniającej niebywale liczny zespół, z samych tylko aktorów utworzony, bowiem przypadkowo donajętej komparserii w tym teatrze nie uznawano. Kiedy pod naciskiem postępowych kół Rady miejskiej młoda, rewolucyjna scena pod zarząd Teatrów Miejskich przeszła, nowe się dla niej zaczęło martyrium. Ciemne indywidualia magistrackie, podbechtywane przez reakcyjnych radnych a także przez zawistnych dyrektorów teatrów miejskich, chcąc wykazać kosztowność i deficytowość znieawidzonej sceny, obciążyły jej budżet wydatkami wcale przez nią nie preliminowanymi np. gażami artystów Teatru Letniego czy Narodowego, którzy ani razu na scenie teatru im. Bugusławskiego nie wystąpili. Do kosztów wystawy komedii Szekspira „Jak wam się podoba“ doliczono wydatek na wybrukowanie ul. Daniłowiczowskiej oraz remont fasady Teatru Wielkiego itp. Gdy tego rodzaju figle nie pomogły, gdy teatr prosperował pod względem frekwencji i uparcie plan swój artystyczno-społeczny wykonywał, poczęto go właśnie od tej strony atakować za „futuryzm“, przeszczeranie sowieckich zdobyczy inscenizacyjnych, za bolszewizm ukryty w „Róży“(!), „Patiomkinie“(!), czy w „Nieboskiej“(!), za bezbożnictwo itp. tendencje wywrotowe. Ta broń okazała

się skuteczniejsza, oto bowiem, kiedy wkrótce po tzw. „wypadkach majowych“, teatr „Nie-beską“ w śmiałej inscenizacji wystawił, kiedy pomimo upałów tłumy się na tym widowisku dzień w dzień gromadziły, kiedy kierownictwo teatru zapowiedziało na sezon następny program, w swym wyrazie politycznym jeszcze ostrzejszy, nagle zapadła w Radzie Miejskiej uchwała, postanawiająca bezwzględną likwidację tej sceny, na jej zaś miejscu otwarcie dochodowego kinoteatru. Co najciekawsze, że grabarzami teatru, który świat robotniczy za swój własny uważał, a którego sława za granice Polski wybiegła, byli nie tylko narodowo-radykalni wstecznicy, ale i demokratyczni wolnomularze i socjaliści spod sztandarów pilsudczyzny, wczorajsi zwolennicy i opiekunowie bojowej placówki.

Zapytany przeze mnie Bronisław Pieracki, dlaczego to nowy rząd, który przecież w imię sprawiedliwości i postępu po władzę sięgnął, od znowy z czarnosecinnymi ugrupowaniami działalność swą zaczyna — odpowiedział: „Jeśli o Teatr Bogusławskiego chodzi, to popieraliśmy go tak długo, dopóki był nam potrzebny. Dopóki wywoływał ferment rewolucyjny w społeczeństwie. Nie mieliśmy nic przeciw temu, by w sztuce Micińskiego zbuntowani żołnierze rzucali się na oficerów, sami przecież zamierzaliśmy bunt taki wywołać. Teraz jednak, gdy dzięki rewolucji wojskowej, objęliśmy władzę, mowy być o podobnych utworach nie może, a cenzura nasza wie, jak się ma do sztuk o tendencji rewolucyjnej ustosunkować“. Pomimo protestu wszystkich związków zawodowych, nie wyłączając chadeckich i enpeerowskich, pomimo sprzeciwu wszystkich wybitniejszych literatów i artystów — Teatr im. Bogusławskiego na wieki wieków zamknięto a wszystkie zaprowadzone w nim urządzenia sceniczne barbarzyńsko zniszczono.

O tym, jak się do teatru Stefana Jaracza rząd odnosił, niech świadczy fakt, iż subwencja przyznana tej scenie wynosiła całe dwa tysiące złotych miesięcznie, co już przed wojną było sumą śmiesznie małą.

Stanowisko sanacji zajęte wobec Teatru im. Bogusławskiego, przestrzegane było, zgodnie z pogróżką Pierackiego, w stosunku do wszelkich nieco śmielszych wystąpień politycznych i społecznych na odcinku teatralnym.

Bogobojni i prawowierni artyści scen polskich mało na ogół dali sposobności do poważniejszych interwencji ze strony władz administracyjnych.

Kilka przykładów jednak posiada dosyć wyraźną wymowę: zniszczenie studia robotniczego, zorganizowanego w Łodzi przez Witolda Wandurskiego; stworzenie takiej opinii w prasie i kołach teatralnych, że pod jej wpływem pozbawiono pracy jednego z czołowych reżyserów, w jednym z czołowych teatrów stołecznych, za to, że się ośmielił „Operę za 3 grosze“ w duchu jej właściwym, tzn. rewolucyjnie ująć; szykanowanie nieustanne tegoż reżysera, sposobami najrozmaitszymi, począwszy od bezczelnego kancerowania tekstów przez cenzurę i policyjnego nadzoru nad próbami, skończywszy na „mamrze“ i zapowiedzi zastosowania surowszych rygorów, jeśli nie zrezygnuje on z widowisk takich, jak „Krzyczcie Chiny“, „Sierżant Grisza“, „Cjankali“, przerobieni przezeń „Rywale“, „Dzielny wojak Szwejk“ itp.

„Jeżeli go bomby lzawiąco-cuchnące nie ocucą, przez młodzież narodową rzucone, jeśli nie zmądrzeje wskutek ciągłej zmiany warsztatów pracy, które nie chcą brać odpowiedzialności za jego działalność, to — mówiono — znajdzie się miejsce, gdzie przez dłuższy czas będzie mógł rozważać winy swoje wobec państwa i narodu“.

Irena Solska stworzyła na Żoliborzu ciekawy teatrzyk młodych aktorów. Kształt sceny i widowni obmyślił architekt Syrkus, nadając jej charakter symultaniczny. Uboga scenka korzystała ze skromnych subwencji, płynących z różnych źródeł państwowych. Niestety, wystawiono tam pewnego razu rewolucyjny repertaż o Sacco i Vanzettim, na domiar złego reżyserował go Żyd dr. Weichert, kierownik robotniczego studia żydowskiego. Subwencje natychmiast się urwały. Teatr przestał istnieć.

Temu samemu reżyserowi zamknięto jego warsztat pracy, niezmiernie interesująco prowadzony, wykazujący się świetnymi aktorskimi i inscenizatorskimi wynikami, nawet nie za jakiś politycznie niebezpieczny repertuar, lecz za to, że na widowni „nastroje rewolucyjne wytwarza“.

Ani państwo, ani bogate samorzady nie kłopotowały się o los aktorstwa, gdy w słusznej walce o byt materialny z potentami ówczesnych teatrów, skazane zostało na dłuższe bezrobocie. Nie wzruszały się także te czynniki wędrownymi przymusowymi Adwentowicza albo nieobecnością na scenach pierwszorzędnych artystek tej miary, co Stanisława Wysocka lub Irena Solska. Na kilka lat przed wojną zaszła jednak zmiana w stosunku Państwa do zagadnienia teatrów polskich. Państwo organizujące się po roku 1926 coraz wyraźniej na sposób faszystowski, położywszy pięć na całej niemal wytwórczości krajowej, zabezpieczywszy sobie wpływ swój na literaturę (PAL ze swoimi groteskowymi wawrzynami), na uniwersytety (kasowanie licznych katedr i zawieszanie w czynnościach profesorskich uczonych nieprawowiernych), na muzykę (zamknięcie Akademii muzycznej, prowadzonej prz z Karola Szymanowskiego, po zaledwie dwu semestrach jej działalności) itp., zapragnęło z teatrami ten sam porządek zrobić. Nasamprzód ze stołecznymi.

Utworzono Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej, do którego zarządu weszli ministrowie i ich zauszniczy, szare eminencje i synekurzyści, same tuzy, gotującego się do walnej z uciemieżoną demokracją rozprawy Ozonu. Fachowców teatralnych lub światlejszych literatów w tym rozkabaretyzowanym i rozdancingowanym towarzystwie nie było. Z łatwością zagarnięto pod opiekunięce skrzydła mocno w tym czasie pod względem finansowym osłabiony Teatr Polski. Później połączono z nim również jak on robiące bokami trzy sceny miejskie. Wreszcie Operę. Afera osławionego TKKT zbyt jest świeża i znana, by się nad nią rozwodzić. Dość powiedzieć, że nowym władcom sztuki teatralnej nie udało się w żadnym z teatrów osiągnąć dawnego ich poziomu artystycznego, że przeciwnie, począł on wyraźnie i w tempie rosnącym spadać. Z szumnie zapowiadzanego repertuaru nic prawie nie zrealizowano, za to zhańbiono jedną z czołowych scen polskich, świetnymi szczycącą się tradycjami, wystawieniem na niej hitlerowskiej, ordynarnej bujdy pt. „Spór

o Jolantę“, przy czym nie zawadzi zaznaczyć, że imię Jolanty w tym sztuczyle nosiła... świnią.

W doborze sztuk nie omieszkało zmanifestować stosunku faszystów polskich do Związku Radzieckiego. Z bogatej jego literatury dramatycznej wyszperano tylko te utwory, z pomocą których pisarze radzieccy, z przysłowiową odwagą i szczerością bolszewicką, ganili różne niedociągnięcia czy błędy popełnione w realizacji programu socjalistycznego. Oczywiście skwapliwie rzucono się na sztuki z epoki dawno zlikwidowanego „nepu“ — o innych, opiewających triumfy budownictwa socjalistycznego i heroizm narodów radzieckich — nie pomyślano.

Teatry TKKT, które, wedle oficjalnych zapowiedzi, miały spełniać poważne zadania kulturowe i społeczno-wychowawcze, wskutek niefortunnej gospodarki zabrnęły w kolosalne deficyty i najspokojniej w świecie weszły na drogę cynicznej spekulacji, najłatwiejszy sukces i największy zysk mając jedynie na względzie. W bardzo szybkim czasie, w wyniku gorączkowej improwizacji i absolutnej bezplanowości, zatarty się oblicza artystyczne, jakie poszczególne teatry zdołały w ciągu wielu lat sobie wyrobić. Repertuar rozrywkowy zdominował na wszystkich scenach, Uprawiano go w Teatrze Narodowym, który wszak najwznioślejszym służyć miał celom, równie beztroško jak w Teatrze Nowym, co po Reducie dziedzictwo miał objąć i spełniać zadanie studia eksperymentalnego.

Aktorzy i reżyserzy chorowali na niedosyt artystyczny. Uczyniono z nich najmitów, nie posiadających prawa głosu w sprawach sztuki. Największym dramatystom kazano zgrywać się w lichych, rzekomo kasowych sztuczyskach. Jakże zdumiony był przybysz z zapadłej prowincji, który przez lata całe pieniądze na podróż do Warszawy odkładał, nasłuchiwał się opowiadań o wielkich dzisiejszych aktorach naszych, o Leszczyńskim, Węgrzynie, Osterwie, Junoszy Sępowskim, Stanisławie Wysockiej, czy Zelwerowiczu, naczytał się o inscenizacjach monumentalnych poematów dramatycznych, wreszcie zapragnął wszystkie te cuda zobaczyć, gdzieżby jeśli nie na najglówniejszych scenach stołecznych, jakże zdumiony musiał być ten biedaczyna, gdy mu kazano na jednej, drugiej i trzeciej scenie jakies farsidła oglądać, z niektórymi z wymienionych wirtuozów w rolach banalnych, nie dających im nawet pola do popisu! Gdyby gościa naszego stać było na to, by miesiąc czy dwa miesiące w Warszawie pomieszkał, nie byłby nic innego na jej pierwszych scenach ujrzał i nie doczekałby się z pewnością występu innych sławnych artystów, nie obsadzonych w danych widowiskach.

Tak klika sanacyjnych karierowiczów pojmowała krzewienie kultury teatralnej w Polsce.

Sposób w jaki intruzi ci traktowali najbardziej przez nas i wtedy i dziś cenionych artystów, nie przyczyniał się do ściślejszego związania ich talentów ze scenami, na których zmuszeni byli pracować. Lekceważyli sobie je w tym samym stopniu, w jakim ich lekceważono. Jeżeli np. do uszu znakomitego tragika doszło powiedzenie szarej eminencji TKKT: „Kto wie, może uda się nam go nie zaangażować“, jeżeli drugi, którego rozkwit twórczości obecnie podziwiamy, dowiedział się, że go inny członek dy-

rekcji generalnej ramolem nazwał, jeżeli w pogardzie miano prace najciekawszych reżyserów i scenografów — cóż dziwnego, że wszyscy ci urodzeni ludzie teatru bez entuzjazmu odrabiali swoją pańszczyznę, że zajęcia swoje uważali za dorywcze.

Były też nimi i jest to ciężką, niewybaczalną winą ZASP, że się na stan taki zgodził, że mianowicie, bies wie pod urokiem jakiego ozonowego dygnitarza, zrezygnował z największej zdobyczy organizacyjnej, z calorocznego kontraktu, obowiązującego wszystkie teatry koncesjonowane. Rezultat tego ustępstwa był taki: gaża wybitnego aktora, zaangażowanego na pewną ilość występów, pozornie wysoko honorowanych, w rozrachunku dwunastomiesięcznym wynosiła sumę, jakiej nie odważyłby się żaden teatr mu zaproponować. Gaże aktorów niższej kategorii, w podobny sposób wypłacane, nie dochodziły do minimum, przez inne teatry gwarantowanego.

Wcale inaczej odnosiła się wszakże dyrekcja generalna TKKT do mniej lub więcej oficjalnych przyjaciółceczek panów ministrów rządu sanacyjnego. I tak np. pewna „krowięta“ z mocno szwankującą dykcją i ptasim mózdzkiem, wcale wysokie otrzymywała pobory i rolę po roli grała, spotykał ją jeszcze ten szczyt, że na próbach generalnych, w których ona udział brała, przydywał do świtu jej *miché serieux*, minister spraw wojskowych, choć wojna już była za pasem i gdzieindziej było jego miejsce.

Nie mogąc ścierpieć dłużej takiego poniżenia sztuki teatralnej oraz bezsensownej gospodarki, która prowadziła do ruiny nie tylko stołecznych, ale i wszystkich scen polskich (tak bowiem daleko sięgały apetyty ozonowych etatystów — garstka artystów teatru i teoretyków, zgrupowanych w PIST, wraz z kilkoma działaczami zaspowymi postanowiła wymóc na Zarządzie głównym Związku, by zwołał „Nadzwyczajny Zjazd Delegatów filii ZZASP w sprawach artystycznych“.

S.p. Józef Sliwicki, znany ze swego realizmu i konserwatywnych poglądów, ale także i z prawości niezwyklej, mimo iż dotychczasowe zjazdy poza zakres spraw ekonomicznych i czysto organizacyjnych nie wychodziły i zagadnieniami artystycznymi nigdy sobie nie zaprzętały głowy — Zjazd zwołał. Rozumiał snać, że wybiła ostatnia godzina Sceny polskiej, że za chwilę z rąk okupantów sanacyjnych zginie jej istota.

Program Zjazdu przygotowano nadzwyczaj starannie. Obejmował on wszystkie najżywotniejsze sprawy i zagadnienia przedwojennej polskiej sztuki teatralnej, od pedagogii do artystycznego i administracyjnego ustroju teatrów; rzutował w przyszłość najbliższą plan bardzo radykalnej reformy, nad którego realizacją miała czuwać Naczelna Rada Artystyczna ZZASP, ciało w strukturze swej zbliżone do Rady Teatralnej, którą dziś tworzymy; ponadto program przewidywał mnogie grawamina, jakimi delegaci obarczą rząd, samorządy i prywatne przedsiębiorstwa za spowodowanie upadku sztuki teatralnej i nędzy jej pracowników. Pod adresem głównych winowajców, mężów TKKT, przygotowano istny akt oskarżenia, memoriał, poddający surowej krytyce żalosną gospodarkę artystyczną i finansową tego półpaństwowego, wybitnie monopolistycznego kon-

cernu, znajdujący jednak wyjście z ciężkiej sytuacji, w czym znów Naczelna Rada Artystyczna miała odegrać ważną rolę.

Referaty zgłoszone na Zjazd przez najwybitniejszych przedstawicieli sztuki aktorskiej, reżyserskiej, teatrologii, dramaturgii, scenografii i pedagogii teatralnej, jak to stwierdza znakomicie przez Tymona Terleckiego opracowany „Pamiętnik Zjazdu“, były owocem głębokiego przemyślenia i nabierały znaczenia prawdziwych traktatów o sztuce teatralnej lub powagą chwili podyktowanych manifestów.

W czasie trzydniowych obrad do zasadniczych referatów przybyły niezmiernie ciekawe i ważne wypowiedzi delegatów z całej Polski, które w sposób dosadny odmalowały nędzę teatrów prowincjonalnych.

O stosunku czynników państwowych do całego spłotu poruszonych na Zjeździe zagadnień świadczy najlepiej zachowanie się dwóch czołowych postaci TKKT, naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki przy Ministerstwie WRiOP owej szarej eminencji, o której poprzednio była mowa oraz wybitnego literata sanacyjnego, członka dyrekcji generalnej. Pierwszy, gdy o zamierzeniach projektowanej Naczelnej Rady Artystycznej i o szerokim zakresie jej kompetencji usłyszał, oświadczył, iż nigdy do powstania podobnej instytucji nie dopuści i jeżeli obrady będą dalej w duchu tak radykalnych reform prowadzone, zebranie opuści. Drugi, na słuszne postulaty aktorskie i reżyserskie pod adresem TKKT wysunięte, taką dał odpowiedź: „Po zakończeniu obrad Zjazdu jedno wynoszę wrażenie: istnieje między nami a wami panowie jakby ściana szklana. Widzę was, poznaję wasze twarze — lecz to, o czym z taką dezynwolturą mówicie, nie dochodzi do mojej świadomości, słów waszych nie rozumiem, nie słyszę!“ To się przynajmniej nazywa jasno postawić sprawę. Nie było o czym więcej mówić. Rada powstała, bo nie było w mocy kacyków ozonowych zabronić jej istnienia, lecz oczywiście, nie posiadając żadnej egzekutywy, fikcyjny wiodła żywot. Wszystko zostało po staremu. Obóz rządzący, który na swym sumieniu ma pogwałcenie praw demokratycznych narodu, sprzymierzenie się z jego śmiertelnymi wrogami, klęskę wrześniową, powstanie warszawskie i dzisiejszy spisek przeciw niepodległości naszej, nie dziw, że z lekkim sercem pogrzebał sprawę teatrów polskich.

Gdy wybuchła wojna, z trudem odnalezieni rządowi przedstawiciele TKKT zawiesili czynności tej instytucji, pracownikom zaś jej rzucili odprawę w kwocie 50 złotych na głowę, choć dopiero co podjęli olbrzymie subwencje na prowadzenie scen swoich.

Po zakończeniu działań wojennych, na płocie, zamykającym ogródek Teatru Polskiego, wywiesili ogłoszenie, że teatry TKKT przestały istnieć — wobec czego stosunek Zarządu do pracowników zostaje rozwiązany. I na tym skończyła się nasza styczność z tymi ludźmi na cały okres okupacji i walki konspiracyjnej, w której lepsza część artystów teatru żywy brała udział i czasu nie marnowała, planując już bez oglądania się na wczorajsze wielkości, odbudowę kultury teatralnej w Polsce Odrodzonej, na pewno innej, niż ta, co padła ofiarą duchowej i materialnej grabieży sanacyjnych faszystów.

Jeśli odważyłem się, Obywatele, tyle czasu poświęcić tym posępnym wspomnieniom, jeżeli nawet, za co Was najgoręcej przepraszam, zakradły się do nich epizody z *chronique scandaleuse* zakulisia teatrów TKKT zaczerpnięte, to nie uczyniłem tego z obawy, by się przedwojenna ohyda w dzisiejszej rzeczywistości powtórzyć mogła, owszem zrobiłem to gwoli zamanifestowania głębokiej wiary, wszystkich nas tu zebranych ożywiającej, że stan podobny dzisiaj nie da się pomyśleć, że byłby on zaprzeczeniem naszego ustroju politycznego, nie godziłby się z zasadami na jakich utwierdza się demokracja ludowa, urągałby szlachetnym jej ideałom i słusznym dążeniom.

Uczyniłem to jeszcze dlatego, aby tym dobitniej podkreślić różnice, jakie zachodzą w stosunku do sprawy teatrów polskich między rządem faszystowskim a dzisiejszym rządem demokratyczno-ludowym, Rządem Jedności Narodowej. Jeśli tamten w interesującej nas dziedzinie najwyższą obojętność ujawnił, lub zachłannie dla koteryjnych czy wręcz osobistych celów, starał się ją opanować — to dzisiejszy Rząd nasz sprawę odbudowy polskiej kultury teatralnej, sprawę podniesienia jej poziomu, sprawę uaktywnienia scen naszych, iżby istotnie były wyrazicielami idei w państwie i narodzie nurtujących, zarazem by dawały dowód naszej twórczej tężyzny na polu sztuki, dzisiejszy Rząd słusznie wszystkie te sprawy umieszcza w planie politycznej, ekonomicznej i kulturowej odbudowy Państwa, łączy je z zagadnieniami naszego bytu niepodległego i ideologią mas pracowniczych, robotników, chłopów i postępowej inteligencji, które to masy po raz pierwszy w naszych dziejach triumfalnie na arenę działalności obywatelskiej wkroczyły i są najlepszym gwarantem naszej Wolności i naszej mocy.

Co na szczególną uwagę zasługuje, to fakt ten, iż Państwo nie zamierza spraw tych rozstrzygać odgórnie, za pomocą takich czy innych dekretów i zarządzeń, do których wydawania posiada przecież prawo. Nie, Państwo we wszystkich tych rzeczach pragnie zasięgać opinii ludzi najbardziej kompetentnych, twórców sztuki teatralnej, artystów, teoretyków i techników teatru, wszelkiego rodzaju działaczy społeczno-oświatowych, zagadnieniem teatru zainteresowanych, wreszcie — co najważniejsze, przedstawicieli odbiorców, szerokich mas widzów, dla których wszak sceny nasze pracować będą, których wychowywać będą na dobrych obywateli Odrodzonej Ojczyzny. Nikt nie zaprzeczy, że w naszym interesie państwowym leży jak najprędsze podźwignięcie tzw. dawniej „dolów społecznych“ do poziomu normalnych spożywców dóbr kulturowych. Teatr, jak to z jego i toty wynika w oddziaływaniu na społeczeństwo zawsze ważną spełnia rolę. I tym razem spełnić ją musi.

Dlatego też odnowicielska praca nasza, nie lękajmy się tego słowa, oddolnie winna być organizowana.

Nie jestem uprawniony do zabierania głosu w imieniu Rządu i wyjaśnienia właściwych intencji, jakimi się on kierował wydając dekret o Radzie Teatralnej i mianując nas jej członkami.

Mam jednak prawo, jak każdy porządny obywatel, odczytywać sens takich intencji na podstawie faktów, historycznie doniosłych, w nowej rzeczywistości naszej powstałych, które to fakty są wynikiem takiego, a nie innego programu rządu i znajdują swe oparcie w przodujących, demokratyczno-ludowych warstwach społeczeństwa.

Mamy prawo, ba, nietylko prawo ale i obowiązek orientować się w znaczeniu reformy rolnej i uspołecznienia większych przedsiębiorstw przemysłowych. Mamy zatem prawo wysnucia pewnych wniosków z dotychczasowej polityki Rządu na odcinku oświaty i kultury.

Nie czuję się na siłach, by własnymi, niedołącznymi słowami wyrazić myśl, jaką się inicjatorzy Rady Teatralnej kierowali, wzywając nas do wzięcia w niej udziału.

Posłużę się więc cudzymi słowami, zaczerpniętymi ze znanego Wam zapewne, Obywatelo, wspaniałego „Manifestu Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego“. Jeśli powiedzenie takie, jak „Gesta Dei per Francos“ miało kiedykolwiek sens jakiś, to dziś ma go napewno, choćbyśmy istotę sprawy francuskich natchnień tylko jako metaforę traktowali.

Bo posłuchajmy ustępu owego manifestu, który się do intelektualistów odnosi:

„Pragniemy, by intelektualista wrósł mocno w głębę życia społecznego.

Zwracamy się do artystów: Nie chcemy was wiązać z wąskim nurtem polityki bieżącej — domagamy się od was jedynie wielkiej sztuki i zachowania jej dążności. Ale jednocześnie pragniemy, byście związali się mocno z życiem narodu, z jego cierpieniem, gniewem i nadzieją. Jest to wam potrzebne, jak drzewom pokarm życiodajnej ziemi! Bądźcie zawsze wierni tradycji sztuki wyrosłej z dziejów narodu, narodu, pośród którego rozbrzmiewał głośny śmiech Rabelais'go i Moliera, narodu, dla którego cierpiał encyklopedyści poprowadzili na zdobycie Bastylli, narodu, dla którego cierpiał Lammenais, dla którego tworzył Hugo, narodu, za który oddali życie Jaurès i Gabriel Péri... Rzeczywistość rozkładającego się świata była nielitościwa dla waszych złudzeń, spychała was na drogę zwątpienia, samotności i rozpacz. Nowy człowiek zrodził się w walce całego narodu: przez swe zwycięstwo przywrócił wiarę w triumf dobra. Dla was, muzycy czy architekci, powieściopisarze czy poeci, naród jest niewyczerpaną kopalnią drogocennych kamieni, odtwórzcie w swych dziełach sprawę, czyny, i myśli ludzi naszej epoki! Zwiążcie się jak najściślej z tymi wszystkimi sprawami, którymi żyje nasze stulecie. Bądźcie zwiastunami wielkości tych dni, w obliczu których stoimy. Niech wam dodaje mocy twórczy poryw narodu. Nowe oblicze bohatera to żywy zaczyn waszej twórczości. Uwiecznijcie je w waszej sztuce! Pomóżcie nam przekształcać marzenie w rzeczywistość, Francja oczekuje twórczej myśli człowieka. Francja oczekuje wielkiej sztuki! Francja czeka na poetów, których głos nakaże powstać zastępom“.

A teraz spróbujmy szlachetny manifest nowej demokracji francuskiej przełożyć na mowę naszą. Z łatwością na miejsce wielkich mężów francuskich podstawimy naszych. Naszych Modrzewskich, Leszczyńskich, Bogusławskich, Niemcewiczów, Kołłątajów, Staszyców, Fredrów, romantyków i niektórych pozytywistów. W nauce i sztuce polskiej nie brak szczyrych demokratów, w polityce postaci równie heroicznych, jak wymienieni Francuzi. Wszystkie wezwania pod adresem intelektualistów francuskich skierowane, do naszych odnieść można. W polskiej transkrypcji końcowa apostrofa, którą pozwalamy sobie włożyć w usta naszego rządu, brzmiałaby tak:

„Polska oczekuje twórczej myśli człowieka. Polska oczekuje wielkiej sztuki. Polska czeka na artystów, których głos nakaże powstać zastępom“.

Zdaje się, że niczego więcej od nas nikt nie żąda. A choć niemałe to zadanie, choć czekają nas trudne, poważne i odpowiedzialne prace, nie sądzę, byśmy im podołać nie mogli.

**
*

Przechodzę do przeglądu ważniejszych zagadnień, które będą przedmiotem naszych obrad. Artykuł zamieszczony w ostatnim numerze „Teatru“ omawia niektóre z nich w związku z uchwałami konspiracyjnej Rady Teatralnej i poniekąd wysuwa pewne wytyczne do dyskusji. To zwalnia mnie od powtarzania wypowiedzianych tam myśli.²⁾

Chciałbym jednak to i owo z punktu widzenia aktualnych potrzeb teatru do zapowiedzianych w programie referatów niejako w formie zagajenia dorzucić.

Zastanówmy się w pierwszym rzędzie nad sprawą

BUDOWY I ODBUDOWY TEATRÓW POLSKICH

Od obecnych tu fachowców otrzymamy zapewne informacje dotyczące odbudowy kompleksu Teatrów miejskich. Dowiemy się czy piękne plany zaprojektowane w czasie okupacji nie uległy zmianie; czy wzniesiona zostanie monumentalna budowla, mieszcząca w sobie cztery teatry: Teatr Rozmaitości (dawny Narodowy) z wnętrzem bardziej kameralnym, Teatr Wielki, technicznie do celów operowych przystosowany, małą scenę kameralną, służącą za pracownię dla różnorodnych eksperymentów literackich, aktorskich i inscenizacyjnych, wreszcie Teatr Narodowy. Ten ostatni miał być terenem dla realizacji tych wizyj poetyckich i tych inscenizatorskich pomysłów, które się w ramach tzw. „sceny pudełkowej“ (Guckkastentheater) nie mieściły, lecz wymagały dla siebie jakichś monumentalnych ukształtowań w duchu sceny greckiej, średniowiecznej czy elżbietańskiej, sceny symbolicznej, przeciwstawiającej się wszelkim pokusom realizmu. Miał się przeciwień ten teatr z natchnień Mickiewicza począć, z form dramaturgicznych i scenicz-

²⁾ „Teatr“, miesięcznik. Czerwiec—lipiec 1946. Wyd. Państw. Inst. Wydawn. Lambda: Konspiracyjna Rada Teatralna i wartość jej uchwał w dniu dzisiejszym.

nych w „Dziadach“ zawartych, z teorii polskiej dramatyki i inscenizacji monumentalnej, którą wyprowadzić można ze sławnej lekcji XVI-ej wykładów o literaturze słowiańskiej. Miał teatr ten ucieleśnić marzenia Wyspiańskiego o Teatrze Ogromnym, znaleźć szczęśliwsze od dawnych, bardziej z wewnętrzną treścią zgodne rozwiązanie przestrzenne dla „Legionu“, „Akropolis“ czy „Achilleidy“ tych gigantycznych dramatów, dla których sam ich twórca miejsca na scenie normalnej, typu operowego, nie widział. Tu „Kordian“, „Nie-boska komedia“, „Niedokończony poemat“, „Samuel Zborowski“ a może i „Bazyliśsa Teofanu“ miały się doczekać wcielenia w formy dostojne, symboliczne, z meiningeńszczyzny, reinhardtyzmu i romantyczno-operowej „scenegiatury“ oczyszczone. Tu, jak przypuszczano, dramat nowoczesny, któremu już za ciasno było w staroświeckich budach, powinien bodzić znaleźć do jeszcze śmielszego rozwoju.

Teatr ten miał służyć wielkim uroczystościom na cześć polskiej i światowej sztuki urządzanym, festivalom naszej dramatyki monumentalnej. Nie sądzę, by sprawa takiej świątyni sztuki straciła coś ze swej aktualności, choć nie jeden z wymienionych dramatów z punktu widzenia czasów dzisiejszych przybladł, zwątlął, może nawet interesować przestał. Warto przypomnieć, że teatr ten miał być wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia sceniczne, miał posiadać scenę zapadniowo-obrotową, ruchome proscenium, coś w rodzaju starożytnej orkiestry na przedsceniu. Zakulisie, garderoby artystów, pracownie, liczne sale do prób — wszystko miało być dostosowane do poważnej, skupionej i porządnie zorganizowanej pracy.

Poza Teatrem Polskim, który chyba nie wymaga poważniejszych przeróbek, Warszawa z gruzów wskrzeszona domagać się będzie jeszcze innej wielkiej sceny. Może największej i dla największej widowni przeznaczonej. Masy pracownicze, które odrodzone miasto wkrótce zaludnią, będą potrzebowały zupełnie odrębnego rodzaju widowisk, bliskich ich dążeniom i zainteresowaniom, bardziej z duchem nowej rzeczywistości związanych. Formy tych widowisk powstawać będą z biegiem czasu, dyktować je będzie potrzeba, nie mogą one być widzom przez nikogo narzucone, nie mogą być wynikiem jakichś artystowskich, estetyzujących pomysłów. Wszystko tu pięknym będzie, co największy pożytek społeczny przyniesie. Trudno przewidzieć, jaki kształt ostatecznie z tych czysto utylitarystycznych usiłowań wyniknie. Można jednak zaryzykować twierdzenie, że widownia takiego teatru będzie musiała zapewnić publiczności maksymalną widoczność z każdego miejsca, że więc ani łóż, ani balkonów nie będzie posiadała, tylko komponując się harmonijnie ze sceną amfiteatr. Co do sceny, to trudno sobie wyobrazić, by ten teren dla żywej, nieustannie zmieniającej się akcji, pełnej scen zbiorowych i choreutycznych wtrętów mógł się w pudle starego teatru zmieścić. Prawdopodobnie wykorzystać by tu należało symultanistyczne eksperymenty Syrkusa i Pronaszki.

Sprawa teatrów pozastołecznych większe dziś posiada znaczenie, niż miała je przed wojną. Powstały nowe zagadnienia artystyczne i społeczno-wychowawcze w związku z włączeniem do naszego organizmu państwowego Ziemi Odzyskanych. Staramy się — nie bez trudu — i starać się będziemy, by wszystkie tzw. niestłusznie sceny „prowincjonalne“, zwłaszcza te,

co się na nowych terenach znajdują, otrzymały jak najlepsze kierownictwa i zespoły, by repertuar ich, celowo do potrzeb miejscowej widowni dostosowany, w niczym nie ustępował repertuarowi scen miast większych. Na palcach jednak policzyć można miasta, których budynki teatralne i urządzenia sceniczne nadają się do nowoczesnie pojętej roboty artystycznej. Teatr Wielki w Poznaniu, teatr wrocławski, jeszcze dwa lub trzy teatrzyki polnieckie, mniejszego formatu, oto wszystko, czym się poszczycić możemy, to bodaj jedyne warsztaty pracy teatralnej, gdzie maszyna sceniczna i aparatura świetlna stoją na jakim takim poziomie. O reszcie mówić nie warto — staroświecczyną, tandetą, idealne pomieszczenie dla szmir i bałaganów. W takich warunkach najdzielniejszy wysiłek reżyserski czy aktorski prędzej czy później zmarnieć musi.

Nie może Kraków, nie mogą tak ważne dla propagandy sztuki polskiej, Katowice posiadać scen prymitywnych i technicznie zaniedbanych.

Jest wprost skandalem nie do wybaczenia, że Łódź, która się dziś stała centrum życia teatralnego, ten ośrodek bujnego, postępowego intelektualizmu, poza tym miasto robotnicze, naprawdę robotnicze, że Łódź zaspokaja potrzeby setek tysięcy widzów za pomocą kilku scenek kameralnych, potwornie urządzonych, nie nadających się nawet na dobrą sprawę do amatorskich przedstawień.

Niemcy zostawili wprowadzić po sobie nieukończoną przebudowę wcale obszernego teatru przy ul. Śródmiejskiej, lecz gmachu tego od roku z górą nie tknięto i jeśli nie zostaną podjęte roboty budowlane, w gruzy się rozpadnie.

Nie małą troską przejmują nas mniejsze miasta i miasteczka, teatru głodne, do których z rzadka małe zespoły teatralne zaglądną. Mogą to być tylko imprezy przypadkowe, artystycznie nie przedstawiające żadnych wartości, gdyż bardziej szanujące się nie chcą ryzykować skandalu w tych świetlicach, szynkowniach czy oborach na teatr przerobionych. Jeśli się kiedyś u nas na większą skalę akcja teatrów objazdowych rozwinię, to albo będziemy musieli wrócić do ciekawego pomysłu Pronaszki, który zaprojektował teatr wędrowny na wozach zmontowany z ruchomą widownią i czterema scenami, albo przy pomocy Filmu Polskiego budować będziemy kino-teatry, w których przewidziane będą takie urządzenia, izby w nich widowiska sceniczne dały się organizować.

**
*

Druga grupa zagadnień, które tu omawiane będą, dotyczy:

NOWYCH OBOWIĄZKÓW ZESPOŁÓW I KIEROWNICTW TEATRALNYCH

Świadomi byliśmy już w czasie okupacji, a im bardziej ona dobiegała kresu, tym większa świadomość nasza była, że wczorajsza rzeczywistość społeczna nigdy już nie wróci. Choćby ustrój polityczny ten sam w zasadzie pozostał, wiedzieliśmy, że trzeba będzie walczyć o inny, na każdym odcinku pracy społecznej — a więc i na odcinku sztuki teatralnej.

Wierzyliśmy, że prędej czy później bój o Polskę prawdziwie demokratyczną skończy się zwycięstwem świata pracy, który na nowych fundamentach dzielnie wywalczoną przezeń niepodległość utwierdzi.

Gwarancją tego zwycięstwa był fakt, że do ostatecznej rozprawy z fałszywem wystąpiło państwo, z rewolucyjnej walki o wolność człowieka wyrosłe, państwo potężne i niezłomnie do wytkniętego celu kroczące. Nadzieje nasze spełniły się wcześniej, niż się tego spodziewali oportuniści i w nieoczekiwanej przez nich skali. Stoimy oto przed nowymi obowiązkami, od których uczciwego wypełnienia cały nasz był państwowy zależy. Stoimy przed obowiązkami, z których nikt nas zwolnić nie może. Stoimy przed obowiązkami, wymagającymi od nas intelektualistów takiego samego hartu, samozaparć i entuzjazmu, jakiego dowody składają co dzień bracia nasi robotnicy i bracia nasi chłopci, w nieopisanym znoju wykuwający przyszłość Ojczyzny.

W nielepszych przyjdzie nam pracować warunkach, niemniejsze spotykać będziemy trudności, niemniejszy trud nasz będzie.

Jeżeli mówię o tym w czasie przyszłym, to dlatego, że z punktu widzenia planowej gospodarki teatralnej, którą rozpocząć winniśmy od chwili ukonstytuowania się Rady Teatralnej, sporo z tego, co dotychczas na tym polu zdziałano będzie musiało ulec zapomnieniu.

Trudność zadań naszych polega w dużej mierze na tym residuum mieszczańsko-kapitalistycznego myślenia, jakie wciąż jeszcze pokutuje w światku, tak dziwnie od życia oderwanym jak teatralny. Notorycznie wiadomo, że aktorzy odzegnują się od wszelkiej polityki, dumni są ze swej apolityczności i w organizacji zawodowej mocno ją akcentują.

Drugą ich cechą — niespołeczność. Nie można powiedzieć, by gdy się ich pięknie poprosi, nie wykonywali pewnych prac społecznych, ale czynią to przez grzeczność i raczej od tego rodzaju nieprzyjemności stronią. Najlepszym dowodem tej fobii fakt, że niezmiernie trudno zachęcić aktorów do pracy na terenie własnego związku zawodowego, wykręcają się od niej jak mogą, niechętnie przyjmują nawet zaszczytne stanowiska organizacyjne, a gdy je przyjmą szybko nudzi ich to i nie wykazują na nich większej inicjatywy. Zapytani do jakiej grupy społecznej należą, nie umieją przeważnie sensownej dać odpowiedzi. Wiele w tym jest jakiejś bardzo staroświeckiej cyganerii, wiele napewno szkodliwego pięknoduchostwa. Ta niepoprawnie obojętna postawa wobec spraw społecznych jest przyczyną rozdzwiku, jaki w pewnych wypadkach zachodzi między artystycznymi i technicznymi pracownikami teatru. Uniemożliwia ona skoordynowanie dążeń jednej i drugiej grupy pracowniczej, uniemożliwia przede wszystkim, z wielką szkodą dla prawidłowego zorganizowania pracy teatralnej, utworzenie wspólnego związku zawodowego artystycznych i technicznych pracowników sceny.

Nie sądzę, by stan ten mógł trwać dłużej.

Co czynić, by się on zmienił?

Trzeba przede wszystkim w duchu społecznym wychowywać młodzież teatralną. Umożliwia to reforma szkolnictwa teatralnego przewidująca szereg przedmiotów, z pomocą których ugruntowana być powinna w uczniach wiedza o społeczeństwie. Kierownictwa pedagogiczne od samego początku

studiów powinny zaznajamiać adeptów sztuki teatralnej z konkretnymi jej zadaniami politycznymi i społecznymi; powinny jak najwcześniej wiązać ich pracę artystyczną z praktyką społeczną, zbliżać do mas pracowniczych, stawiać wobec poważnych bieżących zadań wychowawczo-społecznych, przyzwyczajając do roboty w terenie i robotę tę poddawać krytyce odbiorców.

Niemniejszy jednak obowiązek społeczny i państwowy spada na kierowników scen, zarówno na kierowników artystycznych jak i administracyjnych, zwanych dawniej krótko dyrektorami.

Zgodnie z dzisiejszymi naszymi postulatami, na czele teatrów mogą stać tylko wybitni, odpowiednio wykształceni, artyści teatru *sensu largo* lub też teoretycy teatru, posiadający jednak dostateczną znajomość techniki scenicznej, administrować zaś teatrem mogą ludzie nie tylko dostatecznie do czynności tej przygotowani, od strony teorii i praktyki, ale orientujący się w całokształcie zagadnień ideologicznych, z teatrem dzisiejszym związanych, poprzez związki i różnorodne organizacje społeczno-oświatowe utrzymujące łączność z widownią, której potrzeby rozumieją i sumiennie pragną je zaspokajać.

Tacy kierownicy społecznych warsztatów pracy artystycznej biorą pełną odpowiedzialność wobec państwa i społeczeństwa za to, co się w tych warsztatach wytwarza. W dobie powszechnego wyścigu pracy ilość i jakość tych wytworów sztuki zależeć będzie od umiejętnego doboru pracowników, od ich fachowości, w niemniejszym jednak stopniu od gorliwości i zapału, z jakim prace wykonują, to zaś nastąpić może tylko wówczas, gdy pracownik świadom jest powagi swoich zadań, gdy je za powinność swoją uważa i gdy je wykonywa radośnie.

Stworzenie takich warunków materialnych i takiej atmosfery ideowej, w której praca teatralna mogłaby maksymalny pożytek przynosić państwu, społeczeństwu i samym pracownikom teatru — oto najpierwszy obowiązek kierowników scen polskich.

**
*

Zagadnienia poruszone w referacie o nowych obowiązkach kierownictw i zespołów teatralnych zazębiają się niewątpliwie z dyskusją na temat

NOWOCZESNEJ ORGANIZACJI I ADMINISTRACJI TEATRÓW W ZWIĄZKU Z KULTUROWYMI I SPOŁECZNYMI ZADANIAMI DZISIEJSZYCH SCEN POLSKICH.

W dyskusji tej nie tyle będzie chodziło o rozszerzenie założeń ideologicznych, poprzednio już omówionych, ile raczej o skonfrontowanie teorii teatru dzisiejszego z codzienną rzeczywistością, w jakiej teatry pracować muszą. W świetle cyfr i faktów powinniśmy zbadać, czy teatry uczciwie się ze swych zadań wywiązują, czy subwencje, jakie otrzymują są wystarczające, czy wzmożona frekwencja istotnie zwiększyła dochodowość teatrów, jak

wyglądają koszta produkcji w stosunku do wpływów kasowych itp. A dalej powstaną zapewne takie pytania, które nieustannie obijają się nam o uszy:

1) jak długo trwać będzie ten prowizoryczny niejako stan, jaki cechuje organizację teatrów polskich; pracują one przecież od zarządzenia ministerjalnego do zarządzenia, przy słabej jeszcze możliwości egzekutywy ze strony Państwa i jednocześnie z działaniem innych ośrodków dyspozycji (wojewódzkich lub miejskich), które nie zawsze się woli Ministerstwa podporządkowują, owszem częstokroć na własną rękę wydają polecenia i nakazy wcale przeciwstawne; kiedy zatem ustalony będzie zakres kompetencji jednych władz i drugich?

2) kiedy uchwalone zostaną statuty dla teatrów państwowych i samorządowych a przede wszystkim ogólna ustawa obejmująca całokształt spraw teatralnych, normująca prace teatrów różnego typu wprawdzie, lecz tym samym państwowym i społecznym celom służące i tej samej podległe kontroli?

3) wreszcie spokojnie rozważyć będziemy musieli pytanie, czy w istniejących warunkach gospodarczych, przy niskich uposażeniach teatrów, podobnymi tym olbrzymim zadaniom społecznym, nie waham się użyć tego słowa cywilizacyjnym, jakie obarczają nasze sumienia obywatelskie? Byłoby rzeczą straszliwą, gdybyśmy z nad wyraz ciężkiej sytuacji dzisiejszej nie znaleźli wyjścia, gdybyśmy pograżyli się w dawnej inercji i w dawnym chaosie. Pomściłoby się to na dziesiątkach lat naszej kultury, gdybyśmy nie potrafili rozplomienić zarzewia entuzjazmu, tkwiącego przecież w sercach wyzwolonego narodu!

*
**

Nie dziwny się, jeśli w referacie zatytułowanym

POŁOŻENIE EKONOMICZNE I SOCJALNE ARTYSTÓW SCEN POLSKICH

zabrzmią tony minorowe.

Ktoś wyraził się, że to nie państwo ale aktorzy subwencjonują teatry. I powiedzenie to jest słuszne! Obdarci, w łachmanach przywleczonych z oflagów czy lagrów, w cudacznie przerobionych kurtkach wojskowych, niewyleczeni z choróbsk, których się w Oświęcimie, Oranienburgu czy w innych równie uroczych uzdrowiskach nabawili, wycieńczeni nędzą okupacji i powstania, obarczeni przeważnie rodzinami, do pracy niezdolnymi, bo są to i starzy rodzice i dzieciaki, aktorzy nasi w ciężkim znoju wykonują swą pracę fizyczną i umysłową w warunkach urągających często prymitywnym wymogom higieny, z wątpliwego korzystając odpoczynku w nędznych mieszkaniach, nie mając gdzie i za co spędzić urlopu.

Tak wygląda ekonomiczne położenie przeciętnego aktora. Jakże go wznieść na wyższy stopień hierarchii społecznej, jak zachęcać do jeszcze większych trudów, skoro troska o byt zatruwa mu każdą chwilę, którą snadniej powinien poświęcić pracy nad sobą lub dodatkowej pracy społecznej?

Musi się na to znaleźć rada, jeśli nie chcemy dobić resztek dojrzałego i zasłużonego aktorstwa, a wcale dobrze zapowiadającego się nowego narybku zdemoralizować!

Łudzić mogłoby powodzenie i pokaźne zarobki nielicznych grup aktorskich, co się w formie spółek lub spółdzielni pracy zrzeszyły i zorganizowały małe teatrzyki kameralne, stałe lub wędrownie. Sceny te nie ujawniają żadnych ambicji artystycznych ani w dziedzinie repertuaru, ani pod względem opracowania aktorsko-reżyserskiego czy wystawy. Tym się tłumaczą wysokie zarobki udziałowców. Ze stanowiska planowości są to imprezy szkodliwe: zabierają aktorów potrzebnych z teatrów, stałe z jakimś miastem związanych, dbając jedynie o kasę, folgują nienajlepszym gustom widowni i starają się jak najtaniej widowiska swoje produkować. Nie zasługują na zainteresowanie się nimi z punktu widzenia sztuki, ze względu zaś na odsunięcie się od działalności społecznej, obowiązującej wszystkie teatry, należy je potępić.

*
**

Referat o

WEWNĘTRZNYM USTROJU TEATRÓW

a więc o tym, jak powinna robota artystyczna w porządnie prowadzonym teatrze wyglądać, o ile rzecz tę z czasów konspiracyjnych rozważań pamiętam — zaznajomi nas z następującą strukturą organizacyjną:

U samej góry znajduje się instytucja nadrzędna nad wszystkimi teatrami. W naszej rzeczywistości byłby to Departament Teatru Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Zatwierdza on kierownictwa wszystkich teatrów i plany całoroczne tych kierownictw.

Pozostawia poszczególnym kierownictwom możliwość rozwinięcia jak najszerzej inicjatywy w dziedzinie repertuaru i jego realizacji oraz doboru zespołu, zastrzega sobie jednak uzgodnienie tych planów z całością zamierzeń artystycznych wszystkich teatrów.

Przed powzięciem ostatecznych postanowień, naczelna instytucja ta zasięgać będzie opinii stale współpracującego z nią prezydium Rady Teatralnej.

Na czele teatru stoi kierownictwo złożone z dyrektora artystycznego i administracyjnego. Jest rzeczą bardzo pożądaną, by w wypadku jeśli dyrektor artystyczny posiada wprawdzie rozległe kwalifikacje czysto teatralne, mniejsze zaś literackie, dzielił z nim kierownictwo artystyczne, na równych prawach jakiś wybitny dramaturg (dawniej kierownikiem literackim zwany).

Dyrektor artystyczny wraz z dramaturgiem opracowują plan całosezonowej lub na czas dłuższy obliczonej działalności.

Plan ten przedstawiają do zaopiniowania kolegium doradczemu, w którego skład wchodzi naczelnicy reżyserzy, naczelnicy scenograf (w teatrach typu specjalnego — dyrygent główny i choreograf) oraz wybitni,

odpowiednie wykształcenie posiadający przedstawiciele zespołu artystycznego i technicznego.

Plan ten w najdrobniejszych szczegółach opracowują reżyserzy poszczególnych sztuk wspólnie z dramaturgiem i scenografem. Gotowe projekty dramaturgiczne, inscenizacyjne i obsady przedstawiają dyrektorowi artystycznemu i administracyjnemu do aprobaty, po czym kierownictwo wraz z kolegium doradczym zaznajamia zespół z ostatecznie wykończonym programem na cały sezon.

W ten sposób aktorzy poinformowani będą zawczasu o rolach, nad którymi przyjdzie im pracować. Jeśli poczują się skrzywdzonymi, będą mogli o artystyczne swe prawa się upomnieć, a przede wszystkim wprowadzeni będą w tok wszystkich zamierzeń i zadań teatru, co niewątpliwie bardziej ich z instytucją zwiąże.

Plan czterolecny, przesiany przez sito zbiorowej rozważli, zatwierdza Ministerstwo Kultury i Sztuki, bez którego zgody nie wolno dyrekcjom czynić w tym planie żadnych odchyień, co do repertuaru, kolejności premier, inscenizacji i obsady.

Jeśli uda się tego rodzaju system pracy na scenach polskich wprowadzić, położymy wreszcie kres improwizacji niefortunnej i rozgardiaszowi.

**
*

Smutne interludium stanowić będzie referat poświęcony WERYFIKACJI ARTYSTÓW SCEN POLSKICH

Przekroczenie zakazu organizacyjnego, wydanego w r. 1940, który surowo zabraniał występów w teatrach i przedsiębiorstwach widowiskowych prowadzonych przez propagandę okupanta lub pod jej bezpośrednią kontrolą pozostających i który to zakaz powszechnie był znany — przekroczenie tego zakazu było winą ciężką nie tylko wobec organizacji naszej, ale wobec narodu i państwa.

W ocenie naszej różne były stopnie tej winy, zależnie od tego, czy ją popełnił biedak, aktor podrzędny mało komu znany, czy też wybitny artysta, wszelkie warunki do utrzymania się posiadający; czy praca jego była jednorazowa, sporadyczna, czy stała; czy ograniczała się do zwykłej czynności zawodowej w zakresie powierzonej mu roli, czy też wykonywana była na stanowisku kierownika danej instytucji, zobowiązanego do znacznie większych wobec okupanta świadczeń i za to sownie wynagradzanego; czy poza czasem pracy zawodowej utrzymywał stosunki „towarzyskie“ z Niemcami lub ich polskimi agentami, czy też stosunki te posuwały się tak daleko, że go prowadziły do kontaktu z Gestapo, wywiadem Wehrmachtu lub z ich przybudówkami—policją kryminalną i „granatową“. W każdym z tych wypadków dziś już z całą stanowczością twierdzimy, winowajcy działali z własnej woli, okupant bowiem chytrze i świadomie nie wywierał na nich żadnego nacisku, pragnąc w ten sposób jeszcze bardziej Polaków poniżyć a z siebie odpowiedzialność zrzucić.

Tajne rozkazy Francka i szefa propagandy Ohlenbuscha wiadome nam były już w czasie okupacji. Podane do wiadomości społeczeństwa po wojnie,

nie budzą żadnych wątpliwości co do istotnych celów propagandowej akcji na odcinku teatralnym. To jeszcze bardziej winę kolaborantów pogłębia. Opinia publiczna zaniepokojona jest tym faktem, że na scenach Polski wyzwolonej występują wczorajsi propagatorzy „nowego ładu”. Zapomina się lub nie wie o tym, że wielu artystów na scenach naszych nie widać: chodzą oni wprawdzie po świecie swobodnie, mogą wykonywać inne zajęcia, ale na scenę polską wejść im nie wolno do końca ich żalostnego życia lub też dopóki wyznaczona im kara nie wygaśnie, oni zaś nie zrehabilitują się uczciwą pracą obywatelską. Pewnych aktorów, co do których zachowania się w czasie okupacji można mieć nie jedno zastrzeżenie, widzi się jeszcze na scenie. Jest to wynikiem nieukoniecznionego dotychczas śledztwa; istnieją np. poszlaki, ale brak dostatecznie przekonujących dowodów. W takich wypadkach należy postępować ostrożnie i poza zwykłą karą organizacyjną, nie wymierzać innej, która czei obywatelskiej pozbawia — przynajmniej do czasu dokładnego zbadania sprawy. Przepięstwa najwyższej kategorii podlegają karom najwyższego stopnia, tzn. zawieszeniu w prawach organizacyjnych i odebraniu prawa pracy na scenach polskich na szereg lat, lub też wykreśleniu z organizacji i zakazowi występowania w teatrach związkowych na zawsze.

O dwóch rzeczach należy pamiętać: sądy weryfikacyjne I i II instancji, działające tuż po zakończeniu wojny, pracowały nerwowo, pragnąc pod naciskiem władz państwowych, jak najprędzej teatry uruchomić — stąd różne błędy i niedociągnięcia. Druga przyczyna zbyt pobłażliwych może wyroków weryfikacyjnych tkwi w tym, że w skład komisji sądujących, organizowanych na prędcę, wchodziły jednostki niezbyt dobrze w zbrodniczej akcji Propagandy, Gestapo i Abwehrstelle Wehrmachtu zorientowane i często nie znające terenu, na którym się ona rozpełtała.

W styczniu b. r. zreorganizowano skład Sądu Centralnego II instancji, rozszerzono jednocześnie jego kompetencje, przyznając mu prawo rozpatrywania wyroków Sądu I instancji, ale i rewizji, a nawet kasacji wyroków instancji II, w razie wypłynięcia na jaw nowych dowodów winy czy też niewinności.

Nie dziwny się, jeśli proces epuracji trwa dłużej, niż można było przypuścić. W Belgii po I wojnie światowej weryfikację moralności obywatelskiej ukończono dopiero w r. 1937.

O jednym pragniemy społeczeństwo zapewnić: w wyrokach naszych wystrzegamy się okrucieństwa, nikogo nie chcemy nad miarę popełnionej winy poniżyć. We Francji koledzy nasi nie podają ręki kolaborantom. My pozostawiamy im możliwość oczyszczenia się i naprawienia szkód wyrządzonych.

Chcielibyśmy jednak przestrzec opinię publiczną przed tymi, którzy się sami z wszelkich przestępstw rozgrzeszają, czyniąc się jeszcze bohaterami konspiracyjnymi, szefami czy funkcjonariuszami kontr-wywiadu, usprawiedliwiając się, iż jeśli jawnie współpracowali z okupantami, jeśli z niebывałą energią zachęcali innych do takiej współpracy, jeśli robili to z cynicznym uśmiechem, w momencie najkrwawszych prześladowań, jeśli spokojnie patrzyli na pohańbienie sztuki polskiej i brali za to sute wynagrodzenia — to

czynili to z rozkazu swych „organizacji“, przynosili im cenne informacje, dotyczące tajnej akcji nieprzyjaciela.

Proszę zwrócić uwagę na to słowo „organizacje“, na to plura i e t a n t u m nie precyzujące, jakie to organizacje były... Możemy zapewnić tych śmiałków, że wiemy, iż owych „organizacji“ wcale nie było, albo, że były niepoważne, a cena za czynności wywiadowcze stanowczo była za wysoka, jeśli ją zestawić z rozmiarem wyrządzonej społeczeństwu krzywdy. Poza tym radzilibyśmy niektórym panom nie powoływać się na ośrodki dyspozycji, będące agenturami niemieckimi, które pod maską narodowo-radykalną dokonywały dzieła zniszczenia.

Przestrzegamy również społeczeństwo przed zbyt pochopnym daniem wiary tym, co się przechwalają z tytułu wykonanych przez nich wyroków na Niemcach lub volksdeutschach. W wielu wypadkach rękami zamachowców kierowali sami Niemcy, którzy z pomocą swych agentów, spośród Polaków zwербowanych, pozbywali się niewygodnych już lub zbyt cennych dawnych swych współpracowników.

W imieniu Sądu Centralnego II instancji upoważniony jestem do złożenia niniejszego oświadczenia:

- 1) Wszyscy członkowie ZZASP, którzy przekroczyli zakaz występowania w teatrach, prowadzonych przez propagandę niemiecką, zostali ukarani lub też sprawy ich są w toku;
- 2) wszyscy, którzy zajmowali stanowiska kierownicze w tych teatrach zostali ze Związku wykluczeni lub też będą wykluczeni;
- 3) w ocenie stopnia winy brane są pod uwagę pewne okoliczności łagodzące — np. jeżeli przekraczający zakaz czynił to z wyraźnego polecenia patriotycznej organizacji podziemnej, na co przedstawić winien wiarogodne dokumenty oraz dowody, że zleconą mu pracę wykonał lub też jeżeli zrehabilitował się przez wzięcie udziału w walce zbrojnej z okupantem, wreszcie, jeżeli w cierpieniach przeżytych w więzieniu lub w obozie karnym dowódł prawości charakteru;
- 4) we wszystkich sprawach, posiadających znamiona przestępstwa politycznego i jako takie przez Sąd Centralny II instancji osądzonych, pozostawia się osobom zainteresowanym możliwość przekazania tych spraw Sądowi Specjalnemu;
- 5) sądy weryfikacyjne są całkowicie niezależne od Zarządu Głównego ZZASP;
- 6) zakaz występowania na dzisiejszych scenach polskich może nastąpić dopiero po wyroku II instancji.

**
*

Najżywszą dyskusję powinny wywołać referaty traktujące o
IDEologicznych i REPERTUAROWYCH ZAGADNIENIACH
SCEN POLSKICH.

Właściwie należało by powiedzieć ideologiczno-repertuarowych, wyobrażam sobie bowiem, że mowa tu będzie o pewnych założeniach ideologicznych, jakimi teatry winny się kierować w doborze repertuaru.

O ile, stojąc na gruncie ideologii demokratycznej, można się porozumieć z ludźmi pozytywnie do polityki Rządu Zjednoczenia Narodowego ustcsunkowanymi, o tyle gdybyśmy takich ludzi postawili na czele teatrów dzisiejszych i zaczęli z nimi sprawy repertuarowe roztrząsać, mnóstwo byłoby nieporozumień.

Czym sobie to wytłumaczyć? W dużej mierze chaosem, z którego się teatry powojenne wyłoniły, a który, niestety, trwa jeszcze, ale także i tym, że kierownikami scen powojennych są przeważnie ludzie przedwojenni, najczęściej przypadkowi, do oceny sztuki ze stanowiska społecznego i politycznego nie przywykli, którzy z czystym sumieniem pozwalają sobie twierdzić: ideologia-ideologią, a teatr-teatrem i po dawnemu, z myślą jedynie o powodzeniu kasowym, teatry swoje prowadzą, a że dziś frekwencja niepomiernie w stosunku do przedwojennej wzrosła, więc ulegają złudzeniu, iż rzetelnie spełniają swój obowiązek społeczny i upewniają się w przekonaniu, że właściwie nic się w rzeczywistości teatralnej nie zmieniło.

Cóż tedy dziwnego, że szereg teatrów, wzajemnie się małpując, gra nikomu niepotrzebną, z paryskim gruntem związaną komedię René Fauchois „Ostrożnie świeżo malowane“, Montgomeryego „Dzień bez kłamstwa“ lub różne myszy kościelne i trafiki pań generałowych.

Cóż dziwnego, że naraz wszystkie sceny rzucają się na Zapolską i prześcigają się w tym, jakby ją najgorzej zagrać. Oczywiście, trudno te teatry ganić za to, że wielką teatropisarkę i moralizatorkę burżuazji lin-de-sięcle'owej widowni dzisiejszej przypominają, czynią to jednak tylko z przyczyn oszczędnościowych: mała obsada, koszta wystawy znikome, no i egzemplarz pod ręką.

Cóż dziwnego, że z tego samego powodu Fredro i ten i ów klasyk spod pyłu zapomnienia wyciągnięci, na wszystkich jawią się scenach i ku zdziwieniu tych, co tylko pragnęli nim zapchać dziurę repertuarową, tłumy gromadzą publiczności.

To jeszcze pół biedy, niech się święcą takie trafunki! Gorzej, gdy teatr TUR działalność swą od czysto mieszczańskiej krotochwili zaczyna, ze starym bufonem w roli głównej, którego gębę roześmianą oglądała udręczona stolica co dzień na afiszach, tuż obok masowych wyroków śmierci. Tenże sam teatr, nawiasem mówiąc przez jakiegoś rozparcelowanego arystokratę prowadzony, odważył się na swych deskach sztuczdytło niemieckie wystawić i inne sceny do naśladowania swego przykładu w ten sposób zachęcił. Postanowiliśmy, i postanowiliśmy słusznie, wstrzymać się przez czas dłuższy od wystawiania arcydzieł literatury niemieckiej: Fausta, Egmonta czy Claviga Goethego, Intrzygi i miłości czy Don Carlosa Schillera, Pentezylei czy Rozbitego dzbanu Kleista, Śmierci Dantona czy Wozzeka Büchnera, żeby tylko dawniejszych dramatopisarzy wymienić, nie mówiąc o rewolucyjnych ekspresjonistach i neorealiztach epoki przedhitlerowskiej — uczyniliśmy to dla tego, by nam znów nie rzucano w oczy frazesu o „Einsatz der deutschen Kultur“ — a tu scena robotnicza wyłamuje się bezkarnie spod tego zakazu!

W germanofilskich tych posunięciach propagandowych poparł ją nie byle jaki teatr, bo ten, który w sezonie przeszłym w uznaniu ważności swych zadań artystyczno-wychowawczych na Górnym Śląsku, godność instytucji państwowej uzyskał. Teatr ten bezceremonialnie lansuje jedną po drugiej komedię muzyczną niemieckiej proveniencji — i wcale się tego nie wstydzi.

Brawo, obywatele patrioci! Brawo, obywatele pionierzy!

Skoro mowa o komediach muzycznych, nie będzie od rzeczy napomknąć tu o nowej pladze repertuarowej, o nowym szwindlu. Otóż wiadomo, jak uboga jest ta gałąź muzyki scenicznej. Miała się przeciwstawić operetce i wskrzesić raczej tradycje wodewilów, czy singspielów, u nas śpiewogrami nazwanych. Miała fakturę ich dramatyczną i muzyczną na wskroś nowocześnie potraktować. Niestety, niewielu kompozytorom się to udało: Kurtowi Weilowi, Jeromowi Kern, Spoliansky'emu, może jeszcze Raynoldo Hahn i Honegger wchodziliby w rachubę. Większość dzieł tych kompozytorów nie jest dziś dostępna dla naszych teatrów. Cóż więc robią ich sprytni kierownicy? Oto biorą pierwszą lepszą farsę, faszerują ją kupletami miejscowych, pozał się Boże, humorystów, oraz muzyczką takiegoż wyrobu, rozmieszczają te idiotyzmy gdzie się da w tekście — i już komedia muzyczna gotowa!

„Otruł gościa kotлетem,

Nazwał to kabaretem...“

jak śpiewał Boy-Zeleński w latach, kiedy w Krakowie lice knajpeczki kabaret literacki, przesławny „Zielony Balonik“, usiłowały naśladować, częstując swych bywalców ordynarnym, tinglowym repertuarem.

Radziłyśmy wiedzieć, co mówi ZAIKS na ten szaber swoisty, dokonywany przecież na dziełach autorów obcych, z wyraźnym pogwałceniem konwencji berneńskiej? W każdym bądź razie prosić będziemy tę pożyteczną i ruchliwą instytucję, by podobnej tandety między teatrami nie kolportowała, jak również, by nie dostarczała teatrom egzemplarzy sztuk niemieckich — dopóki nie powzięta zostanie uchwała bojkot literatury niemieckiej znosząca.

Zdaje się, że nie wybrniemy z chaosu repertuarowego, nie przeciwstawiamy się wszechpotężnemu demonowi przeciętności, jeśli Ministerstwo Kultury i Sztuki i Rada Teatralna nie uzyskają należytego wpływu na kształtowanie się repertuaru scen polskich i jeżeli nie będą posiadały w tym kierunku odpowiedniej egzekutywy. Naturalnie można stosować różnorodne represje w stosunku do niesfornych dyrektorów, którzy zlekceważą swe zobowiązania repertuarowe przed sezonem zaciągnięte, można im odebrać subwencje lub zawiesić w czynnościach, ale wiemy, że tą drogą zazwyczaj niewiele się osiąga.

Tu trzeba po prostu tym poczciwcom pomóc, a niegodziwców — pouczyć.

Może to uczynić jedynie biuro repertuarowe, stale przy Ministerstwie wespół z odpowiednią komisją Rady Teatralnej pracujące. Trudno

wymagać od najlepszego urzędnika Ministerstwa, by się stał jakimś naczelnym dramaturgiem wszystkich scen polskich, by posiadał tak rozległą znajomość dawniejszej i bieżącej literatury dramatycznej, jakiej się od dramaturga sensu stricto wymaga, by przede wszystkim był człowiekiem teatru, znającym od wewnątrz jego możliwości i potrzeby. Trudno też przypuścić, by na dłuższą metę mógł skutecznie pracować istniejący obecnie przy Departamencie Teatru komitet lektorów. Biuro repertuarowe, w którego skład wejdą ludzie, kwalifikacje wymagane posiadający, ludzie, co cały swój czas i całą wiedzę sprawie racjonalnej gospodarki repertuarowej poświęca, każdej chwili służąc biednym dyrektorom rozumną i praktyczną radą — tylko takie biuro położy kres chaosowi i wynikłym zeń nonsensom.

**

*

Sprawa

REFORMY SZKOLNICTWA TEATRALNEGO

omówiona została wcale obszernie we wspomnianym artykule o uchwałach Konspiracyjnej Rady Teatralnej, zamieszczonym w ostatnim zeszycie „Teatru“.³⁾

Projekt reformy przedstawiony do zatwierdzenia Ministerstwu, nie spotkał się z zasadniczym sprzeciwem. Należy więc żywić nadzieję, że już w niedługim czasie otworzy swe wrota adeptom sztuki teatralnej Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna z trzema wydziałami: aktorskimi, reżyserskim i dramaturgicznym oraz kursami scenograficznymi, operowymi dla aktorów i reżyserów opery, jednorocznym kursem dla instruktorów teatrów niezawodowych i sporadycznie urządzanymi wykładami dla techników sceny.

Poza tą uczelnią typu akademickiego, powstaną w kilku miastach (przede wszystkim w tych, w których siedzibę mają uniwersytety i gdzie istnieją porządnie prowadzone teatry) szkoły aktorskie, typu szkół średnich. Nauka w szkołach obydwu typów złączona będzie ściśle z praktyką teatralną. Jest nadzieja, że w ciągu czterech lat wychować się uda kadry nowych artystów teatru, dobrze w rzemiośle swym wyszkolonych i zaprawionych do odpowiedzialnej pracy społecznej.

**

*

Trudno tu rozwodzić się nad szczegółowo opracowanymi

PLANAMI WYDAWNICTW DRAMATURGICZNYCH
I TEATROLOGICZNYCH⁴⁾

Przedstawione zostaną Radzie projekty wydawnictw, których pożyteczności a nawet pilnej potrzeby nikt zapewne nie zakwestionuje. Będzie

³⁾ „Teatr“, artykuł cytowany, str. 59—64.

⁴⁾ „Teatr“, j. w., str. 64—66.

więc mowa o bibliotekach cenniejszych dzieł, wybranych z polskiej i obcej dramatyki, opatrzonych wstępami i przypisami, o podręcznikach dla słuchaczy szkół teatralnych z zakresu historii dramatu i teatru, teorii dramatu, socjologii, estetyki teatru, kostiumologii itp.

Omówimy konieczność tłumaczenia ważniejszych dzieł teatrologicznych i wydawania antologii z różnych dziedzin teorii dramatu i teatru. Rozpatrzmy w hierarchii ważności sprawę reedycji dzieł wyczerpanych, po dzień dzisiejszy wartości posiadających, sprawę wydawania materiałów do dziejów sceny polskiej, publikowania tzw. „partytur reżyserskich“, czyli możliwie najdokładniejszych scenariuszów widowisk, opatrzonych planami, rysunkami, nutami i wszelkimi adnotacjami scenicznymi. W ten sposób, wypróbowany w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, pragnęliśmy utrwalić przede wszystkim inscenizacje wielkich dramatów polskich.

Z prawdziwą radością zakomunikować Wam, Obywatele, możemy, że planem tych wydawnictw zainteresowała się znana z ruchliwości swej Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“ i że w najbliższym czasie wyjdą jej nakładem w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy cztery broszurki, popularyzujące powszechną historię teatru i dramatu, oraz dzieje sceny polskiej i dramatu polskiego. Dziełka te opracowane przez wybitnych znawców przedmiotu, w formę dla wszystkich dostępną ujęte, bogato ilustrowane, rzucone w masy głodne kultury przyczynią się niewątpliwie do rozwoju ich zainteresowań piękną, starodawną a zawsze młodą i żywą sztuką.

**
*

W referacie o

PROPAGANDZIE SZTUKI TEATRALNEJ W KRAJU I ZA GRANICĄ

razić może słowo „propaganda“. W nerwowej, czasem śmiesznie nerwowej, atmosferze potocznego, żeby nie powiedzieć inaczej, życia politycznego, nasuwa ono panom „strachajłom“ podejrzenie, iż znów ktoś będzie chciał coś przemycić pod postacią sztuki — ktoś, nie wiadomo kto, a co — wiadomo.

Otóż nic podobnego. Domyślałem się, że w referacie tym chodzić będzie o to, jak upowszechnić pięknie wypracowane, interesujące swą treścią dzieła sceniczne, jak np. inscenizacje warszawskie, łódzkie, krakowskie, czy jelenio-górskie całemu krajowi udostępnić, czy za pomocą festivalów w większych miastach urządzonych, czy przez objazdy, czy poprzez wzajemne odwiedziny.

Pierwszą próbą takiej międzymiastowej wymiany kulturalnej, a zarazem pierwszym wynikiem zbiorowej pracy planowej wszystkich scen polskich będzie Festival Szekspirowski, zapowiadany na sezon nadchodzący, w którym to turnieju udział wezmą wszystkie nasze teatry, konkurując ze sobą w aktorskim, reżyserskim i scenograficznym rzemiośle.

Musimy także pomyśleć, i to już teraz, o przygotowaniu inscenizacji takich dzieł dramatyki naszej, które by i o odrębnym jej pięknie-

świadczyły i jednocześnie dawały możność inscenizatorom do twórczych pomysłów. Z dziełami tymi winniśmy zapoznać bliskie nam narody słowiańskie oraz te państwa demokratyczne, z którymi nas łączą węzły tej samej ideologii. W zamian za to narodom tym i państwom służyć będziemy serdeczną gością, gdy zechcą nas ze swoimi osiągnięciami w dziedzinie sztuki teatralnej zaznajomić.

**
*

Sprawa

NOWOCZESNEJ SCENY DLA MAS⁵⁾

w innym się dzisiaj jawi aspekcie, niż ten, w jakim się ją dawniej przywykło rozpatrywać. Dzisiaj nie ma już mowy o teatrze „ludowym“, „popularnym“, czy „powszechnym“, teatrze o poziomie repertuaru i widowisk celowo obniżonym. Przewyciężyliśmy także słuszne dawniej stanowisko, że proletariát potrzebuje całkiem odmiennego teatru niż inne grupy społeczne. W dążeniu do zrównania klasowego, do jedności praw dla wszystkich obywateli, do zbratania wszystkich pracowniczych warstw narodu pod sztandarem Demokracji Ludowej, pod sztandarem Państwa, na jej posadach niepodległość swą umocniającego musieliśmy jako przestarzałe odrzucić pojęcie „teatru proletariackiego“, jak odrzucamy wszelkie pomysły tworzenia teatrów elitarnych.

Jak najlepszy teatr dla wszystkich — oto nasze hasło!

Jedno wszakże trzeba wziąć pod uwagę. Oto polskie masy pracownicze zarówno robotnicze jak chłopskie, a nawet — bądźmy szczerzy — częściowo inteligenckie, nie stanęły jeszcze na dostatecznie wysokim szczeblu kultury, by się delectować np. twórcami sztuki czystej, dla nich nie dość czytelnej, albo takiej, której zrozumienie, nawet przy względnie porządnym wykształceniu ogólnym, wymaga specjalnego przygotowania lub obfitych komentarzy. Jakże wymagać, jeśli o dwie pierwsze warstwy społeczne chodzi, by wczorajszy głodomór, czy jaskiniowiec, mieszkaniec hałdów czy zawszonych czworaków, rozkoszował się dziejami świata, o którego istnieniu nic a nic nie wiedział, który go i dzisiaj może nie wiele obchodzi, bo odszedł na zawsze. Jakże wymagać, by widz taki lepiej rozumiał „Akropolis“, niż jakiś dramat historyczny ze znanej mu epoki lub rzecz, przedstawiającą obraz wierny życia współczesnego, wyjaśniającą jego tło społeczne, albo choćby czarujące swą klasyczną jasnością komedie Fredry?

Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że utworów monumentalnej dramatyki naszej romantycznej i poromantycznej grać nie należy i że miejsce ich powinny zająć same li faktomontaże historyczne lub współczesne. Owszem, nie mamy prawa pozbawić tego rodzaju widzów możności zaznajomienia się z „Dziadami“, choćby psychoterapia Księdza Piotra zastosowana do Konradowej obsesji lucyferycznej dziwną im się

5) „Teatr“ j. w. str. 55—57.

zdawała, albo „Nie-boskiej“, której finał nie posiadałby tego uczuciowego wydzwiku, jaki miał dla innych grup społecznych, w innym momencie dziejowym.

Weźmy taki przykład. Chłop czy robotnik-samouk, co się trochę historii naczytał i na jej procesy posiada spojrzenie krytyki materialistycznej, umie należycie ocenić wartość rewolucyjnych wystąpień Mickiewicza w r. 1848, albo zna istotne przyczyny upadku powstania listopadowego — ten wcale rozsądnie myślący obywatel idzie na „Legion“ albo „Noc listopadową“, o których wie, że są na znanych mu wątkach historycznych osnute — i cóż widzi?

Widzi, w mniemaniu swoim, sfałszowane wizerunki cenionych przez się postaci, sfałszowane obrazy rzeczywistości dziejowej, w znanym mu oświetleniu naukowym zupełnie inaczej wyglądającej. Ileż to czasu musi upłynąć, zanim widz taki pojmie, dlaczego Wyspiański w ten sposób, dla swoich osobistych celów i z przyczyn politycznych, prawdę historyczną zniekształca! Nie tylko można, ale trzeba, i to w znacznie większym stopniu, niż się to czynić zwykło, trzeba utwory takie komentować za pomocą przemówień przed widowiskiem lub w międzyaktach, za pomocą objaśnień dołączonych do programów, czy też wyświetlonych na ekranie — ale wszystkie te środki okażą się zawodnymi, jeśli nowy widz polski nie wzręsie się na wyższy szczebel kultury, a możliwość tego awansu przecież dopiero teraz uzyskał.

Potrzuje zatem widz nasz, przynajmniej w okresie przejściowym swego społecznego rozwoju — teatru innego, bardziej dydaktyczne niż czysto-estetyczne cele mającego na widoku, teatru, który by wychowywał widownię swoją w duchu ideałów demokracji ludowej i budził w niej zamiłowanie do Piękna.

**
*

Zagadnienie

TEATRÓW NIEZAWODOWYCH

Jeszcze w czasie okupacji wysuwało się na czoło zamierzeń społecznych, w zakresie teatru. Wiedzieliśmy przecież, że ogromowi tych zadań nie podjąją sami tylko artyści, że działalność ich musi być wsparta pracą miłośników teatru i działaczy na polu scen ochotniczych, że musi uzupełnić i do końca doprowadzić to, co fachowcy na marginesie swych zajęć zawodowych w tej dziedzinie robią.

Zagadnienie nie straciło dziś nic ze swego znaczenia. Umiemy ocenić wysiłki na terenie teatru dziecięcego czy szkolnego, bardzo uważnie przypatrujemy się szybkiemu rozwojowi kukielkarstwa, obchodzą nas żywo chłopskie i robotnicze próby organizowania teatrów — ale niepokój w nas budzą, nie wiadomo przez kogo uprawnione, z jakich źródeł czerpiące subwencje, teatry amatorskie pod nazwą — *contradictio in adiecto* — „zawodowych teatrów amatorskich“ zarobkujące. Osiedlają się one po mniejszych zazwyczaj — ale nie najmniejszych — miastach,

zajmują dosyć porządne budynki, zagarniają inwentarz, jeśli po dawnych właścicielach pozostał i dają widowiska, nie sporadycznie, jak to było we zwyczaju dawnych scen amatorskich, ale co najmniej kilka razy w tygodniu, pobierając za nie normalnie wysokie opłaty, które wpływają do kieszeni ideowego przedsiębiorcy i zespołu miejscowych gwiazd i gwiazdorów. Widowiska te cieszą się nawet dużym powodzeniem, zważywszy, że przyjemnie jest dobrego znajomego na scenie zobaczyć, lub pośmiać się, gdy się jakiś antypatyczny jegomość niewiarogodnie wygłupia. Jakież jest repertorium tych komediantów z czarnej łaski? Otóż grają oni najpotworniejsze farsidła, już dawno przez teatry zawodowe porzucone, jakies niby — rewie własnego wyrobu. Najgorzej, że czasem nikogo o zgodę nie pytając, ani Ministerstwa, o którego kompetencjach zdają się nie wiedzieć, ani ZAIKS-u wystawiają sztuki z repertuaru scen zawodowych, wygrywają je do ostatniego widza tak, iż gdy później jaki wędrowny teatr zawodowy przyjedzie i tę samą sztukę ma na afiszu, nie może liczyć na żadne powodzenie.

Lecz to się rzadko zdarza, bowiem z reguły owe „zawodowe teatry amatorskie“ prawdziwie zawodowych do siedzib swych nie wpuszczają.

Musimy się najenergiczniej tej sprytnie wkombinowanej akcji niby-oświatowej przeciwstawić. Musi być wreszcie określona istota teatru ochotniczego, nie może to być przecież ani teatr stały, ani zarobkowy, ani z zawodowymi konkurujący. Teatry takie, jeśli pragną oczekiwane po nich zadania społeczne wypełnić, muszą być poddane, jak sceny zawodowe, kontroli odnośnie do swego programu ideowego, repertuaru, kierownictwa i składu zespołu. Na czele ich mogą stać tylko odpowiednio wyszkoleni działacze, zatwierdzeni, podobnie jak kierownicy teatrów zawodowych, przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, które nad tymi instytucjami roztoczy opiekę, tak jak to czyni w stosunku do wszystkich teatrów zawodowych.

Na ostatku zastanowimy się nad sprawą

ORGANIZACJI WIDOWNI

Na pozór łatwiejsza się nam ona wydaje niż w okresie międzywojennym. Ale dodatnie wyniki kasowe niektórych teatrów, imponująca statystyka frekwencji teatrów innych, wcale nie dowodzą, by instytucje te wypełniły swe zadania społeczne i oświatowe, zwłaszcza jeśli chodzi o warstwę robotniczą. Nie wiemy, w jakim stopniu głód teatru, na terenie życia robotniczego oddawna zaobserwowany, został nasycony.

Nie wiemy, czy teatr do robotnika w ogóle dociera. Boć to, że związki masowo ulgowe bilety zakupują, wcale nie jest dowodem, iż robotnik stał się już stałym bywalcem teatralnym. Znane są bowiem różnorodne nadużycia, popełniane przy sprzedaży biletów ulgowych. Korzystają z nich niejednokrotnie osoby do takich udogodnień nieuprawnione, za-
możne, ze światem robotniczym nic nie mające wspólnego. Jeśli w ten sposób sam robotnik możliwości bywania w teatrze się pozbywa, znaczyłoby to, że nie uświadamia sobie jeszcze korzyści moralnych jakie mu

teatr przynieść może, w takim razie należy go o tym pouczyć. Jeżeli to czynią sekretariaty, czy inne organy związkowe, tedy należy nad takim szabrownictwem pilniejszą rozwinąć kontrolę.

Zdaje się, że organizatorzy I-ej kadencji Rady Teatralnej słusznie postąpili prosząc, by w tej materii wypowiedzieli się przedstawiciele związków i organizacji społeczno-oświatowych, bowiem bez głosu świata pracy nie się już w Polsce dziać nie może i dziać się nie będzie!



To byłyby wszystkie sprawy i zagadnienia, które postanowiono przemyśleć w ciągu dwudniowych posiedzeń Rady Teatralnej.

Proszę mi darować, jeśli ta ekspozycja najważniejszych problemów teatru dzisiejszego rozszerzyła się nieco i być może szanowne audytorium znużyła.

Chodziło mi o to, byśmy jutro i pojutrze nie musieli już zagajać poszczególnych referatów, by wypowiedzi referentów nie wykraczały poza terytorium zagadnienia, by tym łatwiej dało się sformułować konkretne wnioski, które na końcu podsumujemy i w formie rezolucji przedstawimy Ministerstwu do rozważenia. Spraw jest tyle, a czasu tak nie wiele, że lepiej było się dzisiaj trochę pomęczyć, by sprawniej jutro pracować.

Na koniec łapel — nie wiem pod którym skierowany adresem. Wróciłem do kraju stosunkowo niedawno, nie znam tak dokładnie stosunków w nim panujących, jak ci, co mieli szczęście być tu od momentu Wyzwolenia.

Ale słyszałem i słyszę wciąż jeszcze skargi na objawy w pewnych grupach intelektualistów polskich jakiejś złośliwej bierności w stosunku do spraw tragicznie ważnych, na dążność do izolowania się od wszystkiego, za co należy brać odpowiedzialność wobec społeczeństwa, na cyniczne nieraz zajmowanie państwowych i społecznych stanowisk po to jedynie, by na nich odradzającej się po tylu cierpieniach Matce Polsce szkodzić. Przypuszczam, że jest wiele przesady, wiele panikerstwa we wszystkich tych oskarżeniach, jak również wierzyć mi się nie chce, by było coś prawdy w legendzie o „lesie“, stokroć groźniejszym niż ten, w którym koczują mordercze bandy NSZ-owców czy WIN-owców, bo las ten, powiadają, w samym środku Ojczyzny rośnie, głęboko korzeniami wpił się w glebę polską i tak bujne korony rozwinął, iż przesłoniły niebo, na którym weszło słońce lepszej przyszłości.

Gdyby tak było, gdyby tak być mogło, smutek musiałby wszystkich nas, porządnych obywateli polskich ogarnąć, bo wprędce musieliby się tacy drwale z rodu Wyrwidębów zjawić, którzy by bór ten szkodliwy do cna wykarczowali. Nie sądzę, by do takiej ponurej interwencji dojść musiało.

Co innego tam, skąd powróciłem, z terenu okupacji brytyjsko-amerykańskiej. Tam w pierwszym dniu wyzwolenia, kiedy wszystkich łzy niewypowiedzianego szczęścia dusiły, kiedyśmy się rwali do najprędszego powrotu, znaleźli się starzy oflagowcy z 39 roku i ci, co w 44 dopiero przy-

byli, którzy oświadczyli, iż z taką Polską, jak ta, co teraz powstała, nie mają nic wspólnego i że się jej wyrzekają na zawsze...

Słyszałem po wielokroć powtarzany ten frazes później przez żołnierzy Maczka i Andersa... oraz obałamuczonych przez nich cywilów z D.P.

To było tam. Ale tu, przecież my tutaj na odradzanie się Ojczyzny własnymi oczami patrzymy, radujemy się każdym postępek w dziedzinie przemysłu, gospodarki rolnej, administracji państwowej, a już my, pracownicy sztuki, nie mamy powodu narzekać i gniewem Achilowym płonąć, gdyż lepiej jest niż było, a będzie na pewno jeszcze lepiej, jeśli pozbędziemy się małoduszności i wyleczymy z lenistwa ducha.

Kończę ten mój apel, do nikogo nie zaadresowany, słowami wielkiego demokrata, którego 200 rocznicę urodzin w tym roku święciliśmy.

„Każdy obywatel — pisze Kościuszko w r. 1792 — każdy obywatel, by najnikczemniejszy i nieświatły, przyczynia się do dobra powszechnego... ale ten, któremu Wszechmocność dała poznanie rzeczy więcej nad drugich... grzeszy, gdy przestaje być czynnym i gdy go nic nie interesuje, jak zwierciadła na obiektu snujące się, które z siebie żadnego nie okazują czucia i wzruszenia“. Nie, bądźmy, Obywatele, takimi zwierciadłami nowej naszej Wolności.“)

*) W dniach 17 i 18 czerwca, w sali odczytowej Muzeum Narodowego, odbyły się cztery zwyczajne posiedzenia Rady Teatralnej. Na pierwszym ukonstytuowało się jej prezydium w składzie następującym:

Przewodniczący — Minister Kultury i Sztuki.

Wiceprzewodniczący — Leon Schiller.

Sekretarz — Henryk Szletyński.

2 członkowie Rady — prezes **ZZASP** i przedstawiciel **TUR**.

W czasie dwudniowych obrad omawiano niemal wszystkie zagadnienia, poruszone w powyższym referacie i cytowanym artykule Lambdy. Z referatów najporządniej przygotowanych i najgłębiej przemyślanych wymienić należy arch. Skibniewskiego o zadaniach budownictwa teatralnego, dyr. Horzycy o nowych obowiązkach kierownictw teatralnych i Stefana Żółkiewskiego o zagadnieniach ideologiczno-repertuarowych scen polskich. Szereg uchwał przekazano do opracowania komisjom. Utworzono na raz 5 komisyj: do spraw organizacyjnych i gospodarczych, repertuarową, wydawniczą, szkolną i do spraw budownictwa teatralnego.

W dziesiątą rocznicę wojny w Hiszpanii

MOTTO:

„... i słuchajcie dobrze, choć licznym się to nie spodoba. Łatwiej będzie porozumieć się z wczorajszym przeciwnikiem, dzisiejszym wrogiem, a może jutrzejszym współpracownikiem, aniżeli z przezornym kibicem, który chce żyć dobrze z wszystkimi i wykazywać tak przewidującą nadczłowieczość, że nie pozwoli mu ona wziąć udziału w walce, z kibicem, który oczekuje w przyzwoitej odległości od linii podziału na moment nadający się do uderzenia i przyłączenia się do rydwanu triumfalnego, aby mu dodać blasku i blichtru, by w końcu, kiedy nie będzie już ryzyka, wyjął zimną krytyką, bez miłości i duszy — osiągnięte dzieło.

Tym egoistom, zapatrzonym w siebie, którzy zawsze uważali, że są wzniesieniem „au dessus de la mêlée“ należało by przypomnieć, że gdyby interweniowali w właściwym czasie i w sposób obywatelski, uwypuklając trudności i wygładzając szorstkości, może przyczyniliby się do uniknięcia wielu nieszczęść“.

(Z przemówienia premiera prof. Negrina,

18 lipca 1938 r.)

Od 10 lat sprawa Hiszpanii porusza opinię światową i zmusza każdego myślącego człowieka, nie zawieszono go w jakiejś dobrowolnej myślowej izolacji do zajęcia określonego stanowiska: Za, lub przeciw wolności narodu hiszpańskiego!

Faktem jest, że Hiszpania leży na peryferii Europy. Dyplomata i essayista hiszpański Salvador Madariaga zastanawia się nawet poważnie nad zagadnieniem, czy Hiszpania leży w Europie, czy też w Afryce.

Mimo peryferyjności położenia Hiszpanii — kraj ten w ostatnich 10 latach zajmował niejednokrotnie centralne stanowisko jako przedmiot politycznych zainteresowań świata.

Bunt generałów z 18-go lipca 1936 r. przeciwko legalnemu rządowi Republiki był przygrywką do okrutnej, morderczej wojny, która w ciągu 2 i pół roku pochłonęła istnienie około miliona Hiszpanów (na 23 miliony ludności!). Nie słusznie po dziś dzień pokutuje w publicystyce polskiej zupełnie fałszywy pogląd na wojnę hiszpańską, jako na wojnę domową. Bunt generałów był tylko przygrywką do zamachu Niemiec i faszystowskich Włoch na niepodległość narodu hiszpańskiego. Bunt generałów przemienił się błyskawicznie w najazd napastników z zewnątrz.

Dla Hitlera i Mussoliniego Hiszpania stała się konieczną pozycją w planach podboju świata.

Po pierwsze w planach strategicznych faszystowskiej osi wielką rolę odgrywało atlantyckie i śródziemnomorskie wybrzeże Hiszpanii. Przebieg drugiej wojny światowej dowodnie wykazał, jak wielką przewagę dała Niemcom kontrola wybrzeży hiszpańskich, możliwość użycia portów hiszpańskich jako baz wywiadowczych i zaopatrzeniowych dla floty niemieckiej i włoskiej.

Po drugie, Hitler włączył do gospodarczych planów podboju świata — surowce Hiszpanii. Wysokoprocentowe rudy żelaza spod Bilbao, sole potasowe Katalonii, miedź Rio Tinto, rtęć Almadenu — odgrywały niepoślednią rolę w hitlerowskich planach przygotowań wojennych.

Po trzecie ruch zjednoczenia republikańskiego Frontu Ludowego, który zatriumfował w wyborach z lutego 1936 r. stanowił śmiertelne niebezpieczeństwo dla hitlerowskich kombinacji. Zgnieść ten ruch i utworzyć w Hiszpanii reżym uległości wobec państw osi stało się koniecznością dla zrealizowania światoburczych planów faszyzmu.

Trudno Niemcom było krzyżeć na cały głos: Potrzebna nam jest Hiszpania dla zapewnienia sobie panowania nad światem. Należało koniecznie zapuścić dymną zasłonę nad sprawą Hiszpanii, ażeby utrudnić określenie sympatii: za, czy przeciwko Republice. Należało zaciemnić tę alternatywę, przy której wybór byłby oczywisty dla każdego demokracji.

Wtedy zrodziła się legenda o „czerwonej Hiszpanii“, o niebezpieczeństwie komunistycznej rewolucji. Martinez Barrio, dzisiejszy prezydent Republiki na emigracji, a podówczas prezydent Korteżów w swej broszurze: *Paginas para la historia del frente popular* (Madrid 1937), w następujący sposób charakteryzuje wybuch buntu:

„Ani jeden ze zbuntowanych oficerów nie powiedział, że powstaje przeciwko republice, ani nawet przeciwko rządowi, lecz tylko, aby zapobiec rewolucji komunistycznej, którą uważali za bliską“. Martinez Barrio powiada, że oficerowie hiszpańscy często się buntowali, lecz kiedy w XIX wieku powstawali przeciwko Izabeli II, nie robili tego z okrzykiem: „Niech żyje królowa!“ Działali po rycersku, jak jest zwyczajem pomiędzy „caballeros“. „A tym razem inaczej!“ — ze smutkiem konstatuje republikanin Martinez Barrio.

Sam przywódca Komunistycznej Partii Hiszpanii, zmarły w r. 1943 José Diaz jasno i wyraźnie określa stanowisko swojej partii wobec zagadnienia wojny i rewolucji. Asumpt do tego dał mu artykuł, zamieszczony w marcu 1937 r. w organie partyjnym „Mundo Obrero“, wychodzącym w Madrycie. W artykule tym w toku polemiki z jakimś pismem znalazł się zwrot:

„Nie można powiedzieć, jak to robi jeden dziennik, że jedynym wynikiem naszej wojny jest to, że Hiszpania nie będzie ani faszystowska, ani komunistyczna“.

José Diaz stwierdza, że właśnie bezwzględnie jest słuszna teza, że Hiszpania z tej wojny nie wyjdzie, jako kraj o ustroju faszystowskim, ani komunistycznym: że właśnie

jest słuszne stanowisko z którym polemizuje „Mundo Obrero“. Partia Komunistyczna absolutnie nie rości sobie pretensji, do narzucenia ludowi ustroju komunistycznego. „W naszym kraju“ — pisze Diaz — „istnieją dziś obiektywne warunki, które wymagają koniecznie zachowania i wzmocnienia reżymu demokratycznego w interesie całego narodu; na odwrót nie ma warunków, które pozwoliłyby myśleć o wprowadzeniu ustroju komunistycznego. Postawić tę sprawę — oznaczałoby skłócić naród, ponieważ ustrój komunistyczny nie zostałby przyjęty przez wszystkich Hiszpanów, a nasza partia nigdy nie zrobi niczego, co mogłoby skłócić naród, lecz walczy o to, aby go zjednoczyć, ażeby zjednoczyć wszystkich Hiszpanów w wojnie o wolność i niepodległość narodową!“

Krzyk o „czerwonej Hiszpanii“, Hiszpanii rewolucji komunistycznej szedł na cały świat, podsycany przez wszystkie kuchnie goebelsowskiej propagandy, aby zamazać tę jasną i oczywistą prawdę, że naród hiszpański walczy o swą wolność i niepodległość.

Niewątpliwym faktem jest, że wojna przyspieszyła tempo procesów społecznych. Fakt ucieczki i porzucenia swych majątków przez obszarników hiszpańskich ułatwił przeprowadzenie reformy rolnej. Pewna część fabrykantów porzuciła swoje fabryki, co znakomicie przyspieszyło proces przejmowania ich przez kooperatywy robotnicze lub przez państwo. Głębokie reformy społeczne, uświęcone uchwałami Kortezów lub też dekretami rządu były niejako produktem ubocznym wojny o niepodległość, jaką stacali Hiszpanie z faszystowskimi najeźdźcami.

Nie może to w żadnym wypadku zamazać narodowego charakteru wojny hiszpańskiej.

Od pierwszej niemal że chwili wybuchu wojny w Hiszpanii rozpoczyna się napływ polskich ochotników w obronie Republiki Hiszpańskiej. Bunt gen. Franco wybuchu 18 lipca 1936 r., a Polaków znajdujemy już w sierpniu na barykadach Irunu, już we wrześniu walczy grupa 36 Polaków na Południu w szeregach katalońskiej kolumny „La Libertad“, w październiku jest już sformowana kompania Mickiewicza, a w listopadzie wstawia się batalion Dąbrowskiego swoim udziałem w obronie Madrytu. W maju 1937 formuje się batalion Palafoxa. W czerwcu powstaje Polska Brygada im. Dąbrowskiego.

Cóż to za siła gnała polskiego ochotnika na pola walki w dalekiej Hiszpanii?

Czy sympatia dla rządu Frontu Ludowego, który chłopów hiszpańskich nadzierał ziemią obszarniczą, a robotnikom oddawał pod kontrolę ważniejsze zakłady przemysłowe?

Hiszpania stanowczo była za daleko, ażeby sympatia do treści społecznej programu rządu Frontu Ludowego mogła natechnąć setki i tysiące polskich ochotników, oraz skierować je na pola walki w Hiszpanii? Skąd więc u polskiego „mołojca ten smutek hiszpański?“

Da się to ująć po prostu. Przeciwno Hiszpanii przysięgły się siły imperializmu niemieckiego i włoskiego. Ich najazd na Hiszpanię stał się groźnym ostrzeżeniem dla wszystkich krajów, sąsiadujących z Niemcami i Włochami. Obrona Hiszpanii przed najazdem hitlerowsko-faszystowskim była równoznaczna z obroną swojego własnego kraju przed niebezpieczeństwem hitlerowskim. Ta ocena była sprężyną wielkiego ruchu ochotników wolności w obronie Hiszpanii. Ta ocena — skłoniła do chwycenia za broń około 30.000 ochotników Brygad Międzynarodowych, a w tym około 6.000 Polaków. Kiedy w Hiszpanii z okazji jakiejś uroczystości Hiszpanie dziękowali Brygadam za pomoc, udzieloną Hiszpanii w wojnie przeciwko faszyzmowi, gen. Swierczewski, obecnie wice-minister Obrony Narodowej (podówczas dowódca 35 dywizji Armii Republikańskiej)

odpowiedział: „To nie wy, lecz my powinniśmy dziękować, że pozwoliliście nam na Waszej ziemi bić wspólnego wroga, który zagraża wolności naszych krajów“.

Sprawa Hiszpanii stała się w latach od 1936 do 1938 zagadnieniem węzłowym polityki międzynarodowej. Plany podboju świata, knute przez Hitlera, zagrażały nie tylko niepodległości samej Hiszpanii. Były one groźbą dla pokoju światowego, były one groźbą dla wolności innych krajów, a przede wszystkim dla wolności i niepodległości Polski, najbliższego sąsiada Trzeciej Rzeszy.

W obronie zagrożonej niepodległości swojego kraju, dla zgnięcia wspólnego wroga faszyzmu, wyruszyli Dąbrowszczacy w bój do Hiszpanii. Nienawiść do faszyzmu, wroga naszej niepodległości, gnała Dąbrowszczaków na hiszpańskie pola bitew. W ten sposób Dąbrowszczacy stali się pierwszym oddziałem polskiej demokracji, który stawiał zbrojny opór hitleryzmowi jeszcze przed napadem na Polskę.

Hitlerowskie Niemcy ani na chwilę nie wypierały się swych sympatii dla gen. Franco, ani też nie starały się ukrywać swej pomocy dla niego. W książce, wydanej przez kpt. Wulfa Bleya pt. „Das Buch der Spanienflieger“, znajdujemy dokładny opis niemieckiej pomocy dla gen. Franco w pierwszej fazie wojny. Jest to dokument tym cenniejszy, że pochodzi on spod pióra hitlerowskiego oficera, który brał udział w hiszpańskich wypadkach.

Franco był świadom w chwili wywołania buntu, że nie może liczyć na poważniejsze siły w samym narodzie hiszpańskim. Jedyłą siłą, na którą mógł liczyć, oprócz faszystowskiej Falangi, były podległe mu wojska marokańskie i Legia Cudzoziemska („tercio“). Ale cóż z tego, kiedy właśnie te oddziały znajdowały się w Afryce! Ani marynarzom, ani kolejarzom nie można było dowierzyć przetransportowania tych wojsk do Hiszpanii.

I tu się zaczyna pomoc Hitlera. Kapitan Bley pisze dosłownie:

„Wobec tego, że wróg (tj. republikanie) posiada hiszpańską flotę — transport wojsk, znajdujących się na terytorium afrykańskim jest możliwy tylko drogą powietrzną. Niemieckie przedsięwzięcie transportowe pod kierownictwem podpułkownika von Scheele udaje się z 85 wyborowymi ochotnikami do Hiszpanii. W ciągu kilku tygodni przetransportowano drogą powietrzną 12.000 żołnierzy, wyposażonych w ciężką broń, działa i amunicję z Afryki do Hiszpanii“.

Dalej według danych kpt. Bleya:

Z końcem sierpnia 1936 r. wysłano pierwsze niemieckie myśliwce do Hiszpanii. Już we wrześniu korpus ochotniczy został wzmocniony przez dalsze myśliwce, samoloty wywiadowcze, artylerię przeciwlotniczą i kompanie pancerne. Pułkownik sztabu generalnego Warlimont obejmuje dowództwo jako upelnomocniony przedstawiciel niemieckiej Wehrmacht“.

Niedługo potem rozrasta się pomoc niemiecka. Dowództwo nad wszystkimi niemieckimi „ochotnikami“ obejmuje gen. Sperrle. Powstaje Legion Kondor. Wielu zapewne przypomina sobie jeszcze hałas, podjęty wokoło obrony Alkazaru, twierdzy, broniącej wstępu do Toledo. W fortecy tej przez kilka tygodni trzymali się faszyci, oblegani przez republikanów aż do przybycia posiłków. Obrona Alkazaru była źródłem zachwyty faszystów na całym świecie. W Polsce prasa sanacyjna i endecka nie posiadała się z radości. Posyłano rozmaite adreсы do „Iwów Alkazaru“. Dziś wiemy dokładnie dzięki komu obronił się Alkazar! Hitlerowski kapitan Bley wyjaśnia, że dzięki niemieckim zrzutom broni, amunicji i żywności! Było się rzeczywiście czym zachwycać!

U boku Niemców walczyły w Hiszpanii oddziały włoskich faszystów. Z czasem Mussolini rozpoczął wysyłkę całych dywizyj. Pod Brihuega, na Guadalajarze polscy ochotnicy walnie przyczynili się do rozgromienia tych regularnych oddziałów włoskiej faszystowskiej armii. Jeszcze niejednokrotnie przyszło Dąbrowszczakom ścierać się z włoskimi oddziałami.

Włoskie oddziały zaprawiały się na polach Hiszpanii do swojej przyszłej roli asystowania Niemcom w podboju świata. Ci sami generałowie, jak generał Bergonzoli i Roatta, którzy dowodzili w Hiszpanii — prowadzili faszystowskie dywizje w Libii przeciwko Anglikom i walczącym u ich boku polskim oddziałom armii gen. Sikorskiego. W oblężonym Tobruku Polacy bili się właśnie z włoskimi oddziałami gen. Bergonzoli! Siły faszystwu, które zjednoczony wysiłek narodów mógł być łatwo okiełznać w Hiszpanii, rozpętały się w roku 1939-tym w światową pożogę. A pierwszą ofiarą tej zawieruchy padła Polska.

Bez doświadczenia hiszpańskiego Niemcom nie byłoby tak łatwo pokonać Polski. Ciekawe są pod tym względem wyjątki z cytowanej już książki kapitana Bleya:

„Ci niemieccy lotnicy (tzn. Legion Kondor) zdali w Hiszpanii próbę ogniową młodej niemieckiej Luftwaffe. Doświadczenia tam zdobyte okazały się wspaniale skuteczne w polskiej kampanii“.

Wojna w Hiszpanii była dla Niemiec generalną próbą do drugiej wojny światowej. Niemal że wszystkie elementy strategii, taktyki i techniki wojennej drugiej wojny światowej zostały przez Niemców zastosowane w miniaturze podczas kampanii hiszpańskiej. Przede wszystkim współdziałanie lotnictwa z atakami piechoty, przełamywanie frontu kolumną zmotoryzowaną i wychodzenie na głębokie tyły przeciwnika. Hiszpania stała się dla hitlerowców poligonem doświadczalnym w przygotowaniach do przyszłych grabieżczych napadów.

A jednak oficjalna Europa, Europa rządów Chamberlaina, Daladiera, Składkowskiego i Becka sympatyzowała z obozem najazdu, z reżymem gen. Franco, nie bacząc na interesy narodów zagrożonych przez imperializm hitlerowski. Wymyślona w czasie wojny hiszpańskiej formuła nie-interwencji była po prostu bezpośrednim poparciem gen. Franco, gdyż Niemcy i Włosi absolutnie nie czuli się skrupowani uchwałami jakiegś tam Ligi Narodów, której członkami nawet być przestali. Istotę polityki nie-interwencji najlepiej charakteryzuje cytowane przez prof. J. Quiero Morales'a powiedzenie Talleyranda.

Kiedy pewna dama zapytała Talleyranda o znaczenie słówka nie-interwencja, otrzymała krótkie wyjaśnienie: „Proszę Pani, nie-interwencja jest wyrażeniem dyplomatycznym, które oznacza prawie to samo, co interwencja“.

Rzeczywiście nie lepiej nie określa polityki mocarstw wobec Hiszpanii w czasie wojny 1936 — 1939, jak cytowane bon mot starego lisa dyplomacji francuskiej. Polityka nie-interwencji sprowadzała się do tolerowania przez mocarstwa cynicznego zamachu Niemiec i Włoch na niepodległość Hiszpanii. 15 marca 1938 r. zostaje w Rzymie zawarty układ włosko-angielski, w którym po formułach protokularnych o nie-interwencji faszystowski rząd włoski zobowiązuje się konkretnie do jednej tylko rzeczy: do wycofania swoich wojsk i materiału wojennego „po zakończeniu wojny“. Trudno rzeczywiście o większy cynizm! Dlatego na wieść o tym układzie wyrывa się w jednym z przemówień Pasionarii krzyk pełen bóleści i wyrzutu:

„Krew dzieci, kobiet i mężczyzn zamordowanych w tych dniach tragicznych spada nie tylko na zdrajcę Franco, na Hitlera i Mussoliniego, ale jest

w Europie wielu ludzi, którzy w żadnym Jordanie nie będą mogli zmyć ze swych dłoni niewinnej krwi“.

W czasie wojny w Hiszpanii rząd sanacyjny za największą swą troskę uważał ratowanie aresztowanych przez rząd Republiki faszystów. Poselstwo polskie w Madrycie było przytułkiem dla wszystkich wrogów Republiki. Ulicznicy madryccy wskazywali palcami na gmach poselstwa i mówili: Aquí estan los fascistas! (Tu są faszyci). Dąbrowszczacy często na froncie spotykali się z polskim uzbrojeniem i polskimi konserwami u faszystów. Polskie samoloty wraz z niemieckimi pomagały transportować wojska marokańskie z Afryki do Hiszpanii.

A w kraju wyjęto spod prawa ochotników, którzy poszli się bić o wolność Hiszpanii, odebrano im obywatelstwo i prześladowano pozostałe rodziny aresztami i rewizjami.

Obóz sanacji i endecji miał tylko jedną ocenę dla wysiłku zbrojnego Dąbrowszczaków: żydo-komuna. Oto, co pisze dosłownie o walkach Polaków w Hiszpanii korespondent PAT p. Adam Sikorski w książce pt. „Łuna nad Hiszpanią“ (Warszawa, 1938).

„Otumanieni przez prowodyrów komunistycznych chłopci i robotnicy polscy leją krew na przedpolach Madrytu nie dla hiszpańskiego frontu ludowego, ale dla politycznych celów sowieckich. Można im opowiadać różne historyjki, sporządzone przez sprytnych Żydków dla celów propagandowych, dla zamydlenia oczu naiwnym, ale to w niczym nie zmieni istoty rzeczy“.

Co więcej p. Sikorski grozi: „Ten, który to zlekceważył (tj. dekret o pozbawieniu obywatelstwa za udział w wojnie hiszpańskiej) i zaciągnął się w szeregi walczących, nie ma już drogi powrotu. Przestał być obywatelem polskim i chociażby chciał nawet wycofać się, spotka się z plutonem egzekucyjnym sądu polowego, który go skaze na śmierć“.

9 lutego 1939 ostatni żołnierz Republiki wycofał się z terytorium Katalonii. 15 marca Hitler zajął Czechosłowację a 1 września napadł na Polskę. Nie jest to mechaniczne zestawienie dat, ale pewien ciąg zdarzeń o głębokim, wewnętrznym powiązaniu, odsłaniający etapy światoburczego planu Hitlera.

W chwili wybuchu wojny Hiszpania pod reżymem gen. Franco staje się ważną pozycją niemiecką. Nawet oficjalnie nie jest neutralną, lecz pozostaje w stanie „non belligerence“ a więc w stanie nie prowadzenia wojny. Ta formuła — chyba dotąd nieznaną w prawie międzynarodowym — pozwala Hiszpanii pracować całą parą dla Niemców. Z raportu niemieckiego generała Boehme, przedstawionego rządowi sowieckiemu, jasno wynika, że Hiszpania była aktywnie wciągnięta w działania wojenne przeciwko Narodom Zjednoczonym.

Na wybrzeżach Hiszpanii a przede wszystkim na Gibraltarze w ścisłej współpracy z hiszpańskimi władzami Niemcy prowadzili działalność wywiadowczą. Hiszpania gen. Franco wystawiła u boku Niemiec „Dywizję Błękitną“ dla walki na froncie wschodnim. Władze gen. Franco zaopatrywały w żywność i paliwo niemieckie łodzie podwodne. Gen. Franco oddał lotniska i radiostacje do dyspozycji samolotom niemieckim działającym przeciwko anglo-amerykańskiej flocie na Morzu Śródziemnym. Z Hiszpanii szedł podczas wojny do Niemiec wolfram i molibden niezbędny dla przemysłu wojennego.

A jeśli chodzi o polskie sprawy gen. Franco dla przypodobania się Hitlerowi zlikwidował w r. 1942 poselstwo polskie w Madrycie. Takiej wdzięczności doczekał się u gen. Franco poseł Szumłakowski, który przecież pieczołowicie i sumiennie przechowywał pod-

czas wojny 1936 — 1939 hiszpańskich faszystów i odsyłał ich do Polski lub przez Francję do strefy faszystowskiej, naruszając dobre zwyczaje międzynarodowe.

Gen. Franco długo i konsekwentnie służył Hitlerowi a nawet po klęsce niemieckiej oddał terytorium Hiszpanii do dyspozycji niemieckim zbrodniarzom wojennym. Dziesiątki tysięcy hitlerowskich zbrodniarzy uwija się po Hiszpanii, pracuje w hiszpańskich fabrykach zbrojeniowych, przygotowuje się do nowego rewanzu. Dlatego przedstawiciel Polski w Radzie Bezpieczeństwa wysunął sprawę Hiszpanii na forum międzynarodowe. Mamy gorzkie doświadczenie przeszłości. Hiszpania jest daleko, ale sprawa wygnania hitlerowców z Hiszpanii i usunięcia zarzewia nowej wojny z Półwyspu Iberyjskiego jest nam bardzo bliska.

Teraz po dziesięciu bez mała latach warto sobie przypomnieć wezwanie Dąbrowszczaków z Hiszpanii. (Z książki wydanej w r. 1937 w Madrycie: Sześć miesięcy bojów kompanii Mickiewicza).

„Dziś po naszych doświadczeniach hiszpańskich wiemy, co to jest faszyzm, lepiej niż inni. Jest to barbarzyńska siła nie cofająca się przed mordowaniem kobiet, dzieci, niszcząca zabytki kultury. Wiemy, że zwycięstwo faszyzmu w Hiszpanii to nie tylko niewola i nędza dla narodu hiszpańskiego, ale nowe okrutne cierpienia wszystkich ludów, to nowa rzeź światowa“.

Mieczysław Szleyen

Życie kulturalne w Środkowoazjatyckich Republikach Radzieckich

Kraje środkowoazjatyckie należały w Rosji carskiej do najbardziej zacofanych gospodarczo i kulturalnie. Ludność miejscowa, narażona na bezwzględny wyzysk biurokratów i kolonistów carskich, jak również na wyzysk własnych bajów (szlachta azjatycka) stała na bardzo niskim stopniu rozwoju kulturalnego. Chłopi nie posiadali ziemi, rolnictwo było prymitywne, gospodarka miała charakter ekstenzywny.

Kraje środkowoazjatyckie posiadają bogate pokłady węgla, metali szlachetnych i bogate źródła ropy. Rząd carski nie przeprowadził tam jednak badań geologicznych i nie wyzyskiwał tych naturalnych bogactw w celu uprzemysłowienia kraju.

Całe połacie ziemi ornej pochłaniały piaski. Dróg bitych i kolei w krajach środkowoazjatyckich prawie nie było. W Kazachstanie, Turkmenii, Kirgizji i Tadżykistanie było ponad 90% analfabetów. Panował najgorszego typu reżim kolonialny.

Po rewolucji październikowej otrzymały te kraje autonomię państwową i kulturalną. Chłop po raz pierwszy pracował na własnej ziemi. Koczowniczy tryb życia ludności zmieniał się stopniowo na osiadły.

Rozwinął się znacznie poziom gospodarczy, kulturalny i polityczny tych krajów, tak że po kilku latach powstała możliwość utworzenia z nich niezależnych jednostek państwowych.

Republiki Radzieckie: Kirgiska, Turkmenska, Uzbecka, Tadżycka i Kazachska przeszły prawdziwą rewolucję kulturalną. Powstały setki szkół początkowych, średnich i zawodowych, a z biegiem czasu pierwsze uniwersytety i instytuty naukowo-badawcze.

Stały rozwój gospodarczy i kulturalny republik azjatyckich był równoznaczny z powstaniem całego szeregu problemów naukowych bezpośrednio powiązanych z życiem tych krajów. Rozwiązywały je początkowo poszczególne instytuty badawcze. Jednak te zadania zaczęły przerastać ich siły i możliwości. Wynikła konieczność utworzenia niezależnej jednostki naukowo-badawczej, która by skoordynowała prace wszystkich instytucji. W ten sposób powstały środkowoazjatyckie filie Związkowej Akademii Nauk. Nowo utworzone środkowoazjatyckie filie Związkowej Akademii Nauk wykształciły setki młodych naukowców spośród ludności miejscowej. Niżej zajmujemy się bardziej szczegółowo ich pracą.

KAZACHSKA FILIA AKADEMII NAUK

Kazachska Akademia Nauk powstała w roku 1938 z dawnej kazachskiej bazy Akademii Nauk. Podlega jej 16 instytutów badawczych: geologiczny, górniczy, chemiczny, metalurgiczny, materiałów budowlanych, energetyki, botaniczny, zoologiczny, biologii eksperymentalnej, astronomii i fizyki, fizjologii, chirurgii eksperymentalnej i klinicznej, historii literatury, języka i inne.

Kazachska filia Akademii Nauk należy do najpoważniejszych w Azji Środkowej. Zorganizowana jest przy niej aspirantura i doktorantura. W Kazachskiej filii najbardziej wydajnie pracuje najstarszy jej wydział geologiczny. Dzięki materiałom zebrany przez geologiczne ekspedycje odkryto w Kazachstanie nowe złoża miedzi przewyższające dziesięciokrotnie stare, znajdujące się na terenie Rosji Europejskiej. Prócz tego odkryto w Kazachstanie największe na świecie złoża ołowiu, wielkie złoża cynku, oraz w rejonie Uralo-Embińskim — bogate źródła ropy. Odkryto również złoża rud niklowych, molibdenu i wolframu, koncentracje rtęci i uranu.

Pracownicy akademii opracowali plan nawodnienia Kazachstanu przez rozprowadzenie wód łańskio - irtyszkich.

Botanicy Akademii wydali drukiem cenną monografię „Flora Kazachstanu“.

Instytut zoologii uzyskał nowy gatunek merynosa ze skrzyżowania merynosa z dzikim baranem-archarem. Ten gatunek zwierząt może bez szkody dla zdrowia przebywać długi czas na wysokogórskich pastwiskach. W dziedzinie nauk humanistycznych, poświęcono wiele uwagi problemom języka kazachskiego i jego pochodzeniu.

Kazachska filia Akademii Nauk zatrudnia 699 pracowników naukowych, z których 25% stanowią Kazachowie. Obecnie przewiduje się przemianowanie jej na samodzielną akademię republikańską.

TURKMEŃSKA FILIA AKADEMII NAUK

Turkmeńska Akademia powstała w roku 1941. Podlegają jej następujące instytuty: geologiczny, fizyko-techniczny, zoologiczno-zootechniczny, botaniczny oraz historii literatury i języka.

W Turkmenii olbrzymie znaczenie gospodarcze ma sprawa nawodnienia obszarów pustyni Kara-Kum. Najbardziej żywotną kwestią dla dalszego rozwoju rolnictwa i przemysłu jest sprawa znalezienia nowych źródeł wody.

Zajęła się tą sprawą Akademia Turkmeńska, która zorganizowała cały szereg ekspedycji geologów i hydrogeologów w miejscowości pustynne. Dzięki materiałom i obserwacjom przez nich zebrany w dziedzinie stratografii i tektoniki, odkryto bogate złoża kopalin oraz nowe źródła wody podziemnej. Praca wydziału geologicznego oraz wydziału botanicznego, które zajęły się zalesieniem miejscowości pustynnych, przyczyniła się do eksploatacji poszczególnych części Kara-Kum. Prócz tego odkryto w Turkmenii wielkie pokłady węgla i gliny betonitowej. Wydział botaniczny uzyskał witaminy „B“ i „C“, z nowych gatunków owoców i jarzyn. Wydział historii i języka wydał drukiem szereg prac teoretycznych o powstaniu i kształtowaniu się języka turkmeńskiego. Wydał drukiem teksty poezji turkmeńskiej XVI — XIX wieku.

Turkmeńska Akademia posiada własny organ prasowy i wydawnictwo naukowe. Wykształciła szereg młodych uczonych Turkmenów. Pracuje w niej stu trzydziestu sześciu naukowców.

KIRGISKA FILIA AKADEMII NAUK

Kirgiską filię Akademii Nauk założono w roku 1943. Wchodzi w jej skład następujące instytucje badawcze: geologiczny, biologii — z oddziałem botanicznym, chemiczny, historyczny, języka i literatury. Instytut geologiczny rozstrzygnął szereg problemów z dziedziny teoretycznej i regionalnej tetralogii, mineralogii, geochemii, tektoniki, paleografii i paleontologii. Na podstawie tych prac odkryto w Kirgizii bogate złoża rudy, węgla i szlachetnych metali.

Wydział botaniczny zajął się między innymi sprawą intensywności transpiracji tytoniu. Miało to wielkie znaczenie dla dalszego rozwoju plantacji tytonowych. Wydział zoologiczny opanował metodę zwalczania szeregu szkodników, które były dotąd plagą pól kirgiskich. Instytuty badawcze języka, literatury i historii rozwinęły ożywioną działalność. Wydano drukiem szereg prac z historii języka kirgiskiego i jego dialektu. Ułożono i wydano drukiem pierwsze słowniki. Opracowano pierwszą naukową gramatykę języka kirgiskiego. Zebrano i spisano szereg tekstów poezji kirgiskich. Wydział historyczny wydał drukiem dłuższą pracę o historii Kirgizów w XII — XIX w.

Kirgiska filia Akademii Nauk kształci nowe kadry naukowców. W przyszłości kraj, który jeszcze 25 lat temu nie posiadał w ogóle własnej inteligencji, w którym ludność pędziła tryb życia koczowniczy, mieć będzie setki własnych badaczy-naukowców, kształconych w własnych wyższych uczelniach i instytutach naukowo-badawczych.

TADŻYCKA FILIA AKADEMII NAUK

Tadżycka filia Akademii Nauk powstała w roku 1940 i obejmuje następujące instytucje: geologiczny, botaniczny, zoologii i parazytologii, hodowli bydła, historii języków i literatury. Przy Akademii Nauk pracuje sekcja badań ekonomicznych.

Wydział botaniczny po długoletniej pracy uzyskał nowe gatunki wysoko-jakościowej paszy, opracował i wydał drukiem pięciotomową monografię „Flora Tadżykistanu”. Wiele uwagi poświęcili uczeni tadżyccy plantacjom bawełny i polepszeniu jej jakości.

Plagą Tadżykistanu był tyfus powrotny. Stwierdzono, że roznosicielem bakterii tyfusowych są kleszcze. Szereg prac poświęcono chorobom kiszek. Wydział geologiczny przeprowadził badania w dolinach Jach-Su i Kirył-Su. Odkryto tam nowe bogate źródła wody podziemnej. W latach 1941 — 1943 odkryto na terenie Tadżykistanu obfite źródła ropy, bogate złoża saletry i innych kopaliny. Prócz tego instytut geologiczny przeprowadził szereg badań nad przyczynami często spotykanego w Tadżykistanie trzęsienia ziemi.

W dziedzinie nauk humanistycznych opracowano gramatykę tadżycką. Ekspedycja naukowa znalazła w ruinach zamku Mug 70 rękopisów w języku sagdyjskim. Uzyskano w ten sposób bogaty materiał dla poznania języka pradtadżyckiego oraz cenny materiał obyczajowy i historyczny.

Szereg prac poświęcono językom: jagiolskiemu, jazgulewskiemu i pamiirskiemu. Ułożono słowniki tadżycko-rosyjskie. Zebrano i wydano drukiem bogaty materiał folklorystyczny. Oddzielną kartę stanowią prace o klasycznej literaturze poetów tadżyckich: Szamsyidin-Szasehina, Saidio oraz Wasyfi Wadoje Ul-Wachoję. Wydano drukiem monografię poświęconą wariantom eposu tadżyckiego „Gurguli”. Po raz pierwszy wydano drukiem historię Tadżyków. Liczne monografie poświęcono walkom Tadżyków z Dżyngišanem oraz historii Tadżyków w epoce Samonidów.

Ofiarna praca uczonych rosyjskich i przez nich wykształconych młodych uczonych tadżyckich wprowadziła Tadżykistan do rzędu czołowych republik środkowoazjatyckich.

Nowy plan pięcioletni urzeczywistniany obecnie w ZSRR przewiduje dalszy rozwój ekonomiczny i kulturalny krajów środkowej Azji.

Republiki środkowoazjatyckich, w których panował się dawniej satrapa carski, w których panowała straszliwa ciemnota i zacofanie, idą szybko po drodze rozwoju kulturalnego i politycznego. Rosną w nich kadry nowej ludowej inteligencji i naukowców-badaczy.

Instytucja własności według projektu prawa rzeczonego

I

Pojęcie prawa własności ściśle jest związane ze stosunkami ekonomicznymi danej epoki i panującymi poglądami społeczno-ekonomicznymi. Ewolucja prawa własności wskazuje na przemożny wpływ jaki poglądy te wywierają na kształtowanie się pojęć prawnych. Zwłaszcza na odcinku prawa rzeczowego wpływ ten musi być decydujący, jako że normy prawa rzeczowego regulują bezpośredni stosunek człowieka do rzeczy, jakich dostarcza mu przyroda celem zaspokojenia potrzeb indywidualnych i społecznych. Normy te dotyczą zatem problemów, które wkraczają w dziedzinę zjawisk społeczno-gospodarczych.

W rozważaniach naszych za punkt wyjścia weźmiemy epokę, jaką stworzyła Wielka Rewolucja Francuska. W myśl Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 26 sierpnia 1789 r. celem wszelkiego społeczeństwa politycznego jest ochrona przyrodzonych, niezbywalnych praw człowieka, do których należy między innymi własność. W rozwinięciu zasad Deklaracji w czasie dyskusji nad projektem Kodeksu francuskiego wypowiediano następujące poglądy: „Społeczeństwo gwarantuje każdej jednostce to, co ta jednostka posiada i właśnie ta gwarancja stanowi główny cel istnienia społeczeństwa“. „Państwo istnieje jedynie w tym celu, aby każdy zachował to, co do niego należy“. „Tylko społeczeństwo może zagwarantować człowiekowi pole, które uprawiał; własność byłaby snem i pretensjonalną chimerą, gdyby społeczeństwo jej nie podtrzymywało i nie gwarantowało. Właśnie aby mieć swobodę osobistą i aby być panem swej rzeczy, człowiek wszedł do społeczeństwa“.

Powyższe poglądy, panujące w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, oparte były z jednej strony — na koncepcji naturalnych, przyrodzonych, nietykalnych praw, z jakimi się człowiek rodzi i umiera i do jakich należy w pierwszym rzędzie własność, z drugiej zaś strony — na umowie społecznej, jaką ludzie wchodząc do społeczeństwa zawierają, aby zapewnić sobie zachowanie i korzystanie swobodne z tych praw.

Powyższe koncepcje o przyrodzonych prawach i o swobodzie w ich korzystaniu, zagwarantowane przez społeczeństwo i państwo, nie dopuszczały innych ograniczeń tej

swobody prócz usprawiedliwionych przyrodzonymi prawami innych osób. Jak stanowi Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela: „Jedyną granicą dla urzeczywistnienia przyrodzonych praw jednostki jest konieczność zapewnienia innym członkom społeczeństwa korzystania z tych samych praw. Te granice nie mogą być inaczej określone jak tylko przez pozytywny przepis ustawy. Wszystko, co nie jest zabronione przez ustawę, nie może być zakazywane“. W ten sposób przyrodzone prawa jednostki i swoboda w ich korzystaniu wyrastały poza porządek prawny, poza ustawę, której celem było jedynie ich zabezpieczenie i wskazanie ograniczeń, zapewniających innym korzystanie z takichże praw.

Koncepcje prawne Rewolucji Francuskiej były wiernym odbiciem tych sił dezyderatów społeczno-ekonomicznych, które ją zrodziły. Zwycięskie mieszczaństwo, reprezentujące rozwijający się przemysł i handel, zniósł pozostałości feudalne, ograniczenia cechowe, pańszczyznę, jednym słowem średniowieczny ustrój gospodarczo-społeczny, charakteryzowany produkcją rzemieślniczą, obliczoną na mały rynek zbytu, zamknięty w granicach miasta lub prowincji. Trzeci stan rozbił te wszystkie przeszkody, które hamowały rozwój przemysłu i handlu i proklamował hasło swobody gospodarczej. Rzeczą nowego porządku prawnego było zabezpieczyć tę swobodę gospodarczą jednostek. Kardynalną zasadą nowych tendencji gospodarczych, warunkujących rozwój budzącego się przemysłu, była swoboda jednostki w dysponowaniu własnością, dotychczas skrępowana ograniczeniami feudalnymi. Takie były początki kapitalizmu.

Nowe warstwy społeczne, które wystąpiły na widowni dziejów, aby utrwalić, speyfikować nowe zdobycze, proklamowały Deklarację Praw Człowieka i Obywatela o przyrodzonych, niezbywalnych prawach, gwarantujących w szczególności swobodę dysponowania prawem własności. Deklaracja stanowi z kolei podstawę ideową Kodeksu Napoleona, uzasadnienie dyspozycji art. 544 i 545, w myśl których własność jest prawem korzystania z rzeczy i rozporządzania nimi w sposób jak najbardziej nieograniczony. Prawda, że jednocześnie zastrzeżono, iż nie należy czynić z własności użytku zabronionego przez ustawę. Jednak takie ograniczenie miało charakter drugoplanowy, gdyż dotyczyło z reguły nakazów administracyjnych, w niczym nie dotykając nieskrępowanych atrybutów własności.

W ten sposób powstała prawna ochrona nieograniczonego kapitalizmu ze wszelkimi jego gospodarczymi i społecznymi konsekwencjami.

Zasady Kodeksu Napoleona zapanowały na znacznych obszarach Europy.

Jeżeli z tych rozwiązań, dotyczących genezy pojęcia własności, przejdziemy na płaszczyznę prawa cywilnego, to musimy zauważyć, że własność, jako tkwiące poza porządkiem prawnym naturalne prawo, charakteryzowane było nieograniczonymi uprawnieniami właściciela.

Z takiego panującego ujęcia własności wyprowadzono wszelkie, najdalej idące konsekwencje¹⁾.

Przed wszystkim, skoro właściciel jest nieograniczony w korzystaniu, używaniu i rozporządzaniu rzeczą, to tym samym ma prawo nie wykonywać tych swoich atrybutów, a więc może nie używać w ogóle rzeczy, nie korzystać z niej, władny jest więc pozostawić ziemię odłogiem, nie zabudowywać swoich placów itp.

Następnie głoszono, że własność jest to prawo bezwzględne w stosunku do innych osób do tego stopnia, że właściciel „może prawnie podejmować co do swej rzeczy czyn-

1) Por. Duguit: „Kierunki rozwoju prawa cywilnego od początku XIX wieku“ (polski przekład Sieczkowskiego z 1938 r.)

ności nawet wtedy, kiedy nie ma żadnego widocznego w tym interesu", czynności sprzeczne z racjonalną gospodarką i z przeznaczeniem rzeczy, że jednym słowem może korzystać jak chce, nadużywając swych uprawnień.

Wreszcie za rys wyróżniający własność uważano bezwzględny charakter tego prawa co do nieograniczonego czasu jego trwania.

Wkroczone na drogę nadużycia prawa.

Taki stan rzeczy trwał do końca XIX i początków XX wieku.

Hasło bezwzględnej swobody jednostki w życiu gospodarczym, występujące pod postacią *laissez-faire*'yzmu, manchesteryzmu i innych form nieskrępowanego kapitalizmu, musiało doprowadzić do reakcji. Powstała nowa koncepcja — podporządkowania jednostki społeczeństwu, idea solidaryzmu, a przede wszystkim doktryna socjalizmu. Nieograniczone dysponowanie własnością doprowadziło w życiu ekonomicznym do kryzysów gospodarczych, bezrobocia, wyzysku i nędzy świata pracy.

Nowe idee dały o sobie znać również na odcinku prawa cywilnego, w szczególności wywarły swój wpływ na kształtowanie innego pojęcia prawa własności. Rozpoczął się proces uspołecznienia prawa cywilnego. Nowym poglądom torowały drogę orzecznictwo i doktryna. Wdzięczna rola przypada tu w udziale orzecznictwu i doktrynie francuskiej. Powstała koncepcja nadużycia prawa. Bezwzględnym uprawnieniom właściciela zakreślono granicę, których przekroczenie stanowi nadużycie prawa, czyn niedozwolony.

Orzecznictwo uznało za nadużycie prawa własności: używanie go w celu szyskany, następnie dla motywów niedozwolonych, używanie prawa nie dla tych celów, dla których jest ono przeznaczone, wreszcie korzystanie zeń w stopniu nadmiernym albo w sposób niedozwolony²⁾.

Jeszcze silniej nowe tendencje ujawniły się w doktrynie. Czołowi jej przedstawiciele głosili, że każde prawo podmiotowe ma swoje społeczne przeznaczenie i cel, używanie zaś prawa dla innych celów stanowi nadużycie i, jako sprzeczne z porządkiem prawnym i społecznym, jest niedozwolone (Josserand³⁾). „Nadużycie prawa jest to anormalne jego używanie, przeciwne przeznaczeniu gospodarczemu lub społecznemu prawa podmiotowego — używanie, potępione przez sumienie publiczne“. „Nadużywanie prawa to czyn antyspołeczny“ (Saleilles, Geny).

Te i tym podobne poglądy nie mogły nie wywrzeć swego wpływu na najnowsze kodyfikacje. Na uwagę zasługuje szwajcarski Kodeks cywilny z 1907 r. Uzasadnienia do tego kodeksu w następujący sposób konstruuje pojęcie prawne własności: „Upoważnienie do rozporządzania rzeczą nadaje właścicielowi prawo używania rzeczy... Że zaś przy tym nie tylko winna być ochraniajana sfera praw innych jednostek, ale że nadto dozwolone używanie prawa nie może przekraczać granic, nakazanego przez dobrą wiarę oszczędzania cudzych interesów... Własność stoi nie ponad porządkiem prawnym, lecz istnieje w porządku prawnym“.

Poglądy orzecznictwa i doktryny, jakkolwiek torowały drogę nowemu, społecznemu ujęciu prawa własności, to jednak w praktycznym swym efekcie doprowadziły do ograniczeń uprawnień właściciela tylko ze względu na uzasadnione interesy osób trzecich.

²⁾ por. M. Lewy „Nadużycie prawa“, 1938 i tam cyt. orzecznictwo i doktryna.

³⁾ por. Josserand — *Abus de droits*, Paris. 1905.

II

Oczywiście prawodawca polski nie może nie uznać i tych ograniczeń podmiotowych praw właścicieli, aby wykluczyć tak częste w praktyce wypadki nadużycia własności.

Należą tu w pierwszym rzędzie ograniczenia takich uprawnień właściciela, które kolidowałyby z uprawnieniami jego sąsiadów, czyli ograniczenia, wynikające ze stosunków sąsiedzkich. W projekcie prawa rzeczowego przewidziane zostały w kilku dyspozycjach.⁴⁾

Następną kategorię ograniczeń stanowią te, które spowodowane zostały stanem przymusowym, najczęściej obrony koniecznej osoby trzeciej. Wracają one już silniej w sferę uprawnień właściciela.⁵⁾

Projekt prawa rzeczowego na tym się nie ogranicza, lecz proklamuje ogólną zasadę.⁶⁾

Jak widać z powyższych wywodów, bezwzględne prawo własności w pewnych przypadkach traci ten swój charakter, staje się prawem względnym z uwagi na interesy osób trzecich. Takie przeistoczenie podmiotowego prawa usuwa jakież częste wypadki nadużycia własności, wypadki kwalifikowane jako czyny niedozwolone.

Jednakże przez wprowadzenie do prawa rzeczowego wyżej wspomnianych dyspozycji, wykształconych na długo przed wojną w orzecznictwie i doktrynie, indywidualna własność nie staje się jeszcze funkcją społeczną.

III

Własność indywidualna na tle dzisiejszej rzeczywistości znajduje swe usprawiedliwienie jedynie jako instytucja społeczna, służąca dla dobra ogółu; stanowi funkcję społeczną, realizującą doniosłe cele ogólnonarodowe. W ten sposób zmienia się treść własności. Zespołowi uprawnień właściciela odpowiada system obowiązków i to nie tylko wobec innych osób (np. stosunki sąsiedzkie), ale przede wszystkim podyktowanych dobrem ogółu. Przeobrażenia społeczne sprawiają, że punkt ciężkości, jeżeli idzie

4) „Nię wolno właścicielowi dziedziny przez wytwarzanie cieczy, dymu, ciepła, zapachów, przez wywoływanie hałasów, wstrząśnień itp. oddziaływać na inną dziedzinę w sposób przekraczający zwykłą w stosunkach miejscowych miarę, chyba, że to nie prowadzi do zmniejszenia wartości lub użyteczności dziedziny...“

„Gdy dziedzina nie ma odpowiedniego dostępu do drogi publicznej, właściciel może żądać od właścicieli sąsiednich dziedziny, ażeby ustanowili na swych dziedzinach służebności drogi koniecznej za odszkodowaniem...“

„Właścicielowi nie wolno dokonywać robót ziemnych w taki sposób, żeby to groziło dziedzynom sąsiednim utratą oparcia...“

„Właściciel dziedziny nie może zabronić sąsiadowi wejścia na dziedzinę celem usunięcia gałęzi i owoców zwieszających się z sąsiedniej dziedziny; jednakże ma prawo żądać naprawienia wynikłej stąd szkody...“

„Właściciele dziedziny sąsiadujących obowiązani są do współdziałania przy rozgraniczeniu dziedziny oraz przy utrwalaniu i utrzymywaniu obywateli znaków granicznych...“

5) „Osobie, której dobrom osobistym lub majątkowym grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo, właściciel nie może zabronić użycia rzeczy, o ile to jest do odwrócenia tego niebezpieczeństwa konieczne, jednakże może żądać naprawienia wynikłej stąd szkody“.

6) „Właściciel nie może zabronić innym osobom użycia rzeczy, jeżeli użycie to nie jest dla niego uciążliwe i nie narusza jego interesów, a zabronienie takiego użycia wykraczałoby poza granice dobrej wiary i celu, któremu służy własność“.

„Właściciel nie może zabronić innym osobom użycia rzeczy, o ile użycie to ma nastąpić dla dobra ogólnego i nie narusza uzasadnionych interesów właściciela“.

„Używający rzeczy winien naprawić wynikłą stąd szkodę...“

o treść własności, przesuwa się z uprawnień właściciela do wyżej wymienionych jego obowiązków.

Obowiązki te sprawiają, że w razie ich niewykonania lub niewłaściwego wykonywania jako funkcji społecznej, uprawnienia właściciela tracą swe społeczne uzasadnienie, a przeto nie mogą pretendować do ochrony prawa. W ten sposób granice uprawnień właściciela są zakreślone przede wszystkim obowiązkami społecznymi, gospodarczymi — nie tylko nakazami natury administracyjnej.

Tego rodzaju ujęcie własności wiąże się organicznie z podstawą socjologiczną dzisiejszej rzeczywistości, którą charakteryzują dwie podstawy granitowe: praca i interes społeczny. Rzecz, będąca przedmiotem własności, np. dziedzina, przedsiębiorstwo, dając pole prywatnej inicjatywie, umożliwiając zaspokojenie indywidualnych potrzeb, jest zarazem terenem, warsztatem, gdzie praca na roli, w fabryce, wciągnięta w ogólny nurt wielkiego procesu odbudowy, inwestycyjnego czy w ogóle gospodarczego, realizuje potrzeby powszechne, narodowe. Wychodząc z pojęcia własności jako funkcji społecznej, projekt prawa rzeczowego wprowadza następujące konkretne prawa i obowiązki.

Zasadą jest, że właściciel może korzystać z rzeczy z wyłączeniem innych osób i w tych swych uprawnieniach korzysta z ochrony prawa.

Z drugiej strony na właścicielu ciąży obowiązek korzystania z rzeczy w sposób zakreślony przez dobrą wiarę i cel, ze względu na który własność mu służy. W szczególności właściciel dziedziny lub przedsiębiorstwa ma obowiązek korzystania z nich w sposób odpowiadający prawidłowej gospodarce.

Nie dość na tym, właściciel może być pozbawiony własności, jeżeli uparczywie wykracza przy korzystaniu z rzeczy poza granice i sposób, zakreślony przez dobrą wiarę i cel, ze względu na który służy mu własność, lub poza zasady prawidłowej gospodarki. Pozbawienie w tych wypadkach własności następuje za odszkodowaniem.

Pozbawienie własności jest logiczną konsekwencją tego, że dalsze pozostawienie własności w ręku właściciela nie dałoby się pogodzić z funkcją społeczną własności.

Tego rodzaju konstrukcja obowiązków właściciela w nowym projekcie prawa rzeczowego nie jest czymś nowym w ustawodawstwie odrodzonej Polski. Już na zasadzie dekretu z 30 marca 1945 r. o przymusowym zagospodarowaniu użytków rolnych (Dz. U. nr. 11, poz. 59) wprowadzony został obowiązek zagospodarowania wszystkich gruntów, nadających się pod uprawę rolną, z tym, że w razie niewykonania tego obowiązku przez posiadacza, odbiera mu się użytkowanie, które przechodzi na gromadę; organizuje ona samopomoc rolną przy uprawie gruntów.

IV

Nie od rzeczy będzie porównać projekt polskiego prawa rzeczowego z koncepcjami prawnymi instytucji własności, opracowanymi obecnie we Francji. Koncepcje francuskie nie stanowiły wzoru dla projektu polskiego prawa rzeczowego, choćby z tego względu, że są one późniejsze. Wykazują one jednak zasadnicze podobieństwo w ujęciu prawa własności.

Konstytuanta francuska w pracy swej nad nową konstytucją uchwaliła już jej część, mianowicie tzw. Deklarację Praw. Nawiązując historycznie do pamiętnej Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 1789 r., Konstytuanta obecna, z uwagi na przeogromne przeobrażenia społeczno-ekonomiczne, jakie się w międzyczasie dokonały, musiała tej de-

klaracji nadać całkowicie odmienną treść, jeżeli idzie o interesujące nas zagadnienie własności.

Musiąca, oczywiście, nowa myśl prawnicza francuska zerwać radykalnie z pojęciem własności, jako prawem absolutnym, przyrodzonym, wyrastającym poza porządek prawny.

Jak głosi art. 32 wspomnianej Deklaracji Praw z marca 1946 r. „Własność stanowi nienaruszalne prawo używania, korzystania i rozporządzania dobrami zagwarantowanymi każdemu przez prawo. Każdy powinien mieć możliwość osiągnąć je pracą i oszczędnością. Nikt nie może być ich pozbawiony, chyba że chodzi o sprawę użyteczności publicznej, ustaloną legalnie i pod warunkiem słusznego odszkodowania, ustalonego zgodnie z prawem“. W ten sposób zlikwidowana została ostatecznie koncepcja naturalnego, przyrodzonego prawa własności, wychodzącego poza porządek prawny, którego celem było jedynie zagwarantować ochronę temu prawu. Obecnie z atrybutów własności można korzystać w stosunku do dóbr gwarantowanych przez prawo“. Jakże zaś dobra będą każdemu gwarantowane przez prawo, o tym decyduje ustrój społeczno-ekonomiczny, panujący w danym okresie historycznym, jako wyraz dezyderatów najszerszych mas.

Definicja pojęcia własności w tym ujęciu, jakie mu nadaje Deklaracja Praw z 1946 r. musiała znaleźć swój wyraz w konstytucji, której częścią, jak zauważyliśmy, jest wspomniana Deklaracja. Nas w tym miejscu interesuje jednak przede wszystkim cywilistyczna konstrukcja prawa własności, stanowiąca przedmiot prawa prywatnego. Konstytuanta francuska i tym zagadnieniem się zajęła, antycypując niewątpliwie przyszłą nowelizację Kodeksu Cywilnego francuskiego.

Jak głosi art. 33 tejże Deklaracji Praw: „Prawo własności nie może być wykonywane sprzecznie z korzyścią społeczną, lub w sposób przynoszący szkodę bezpieczeństwu, wolności, istnieniu lub własności innej osoby“, a dalej „każde dobro, każde przedsiębiorstwo, którego eksploatacja posiada, lub nabiera charakteru użyteczności publicznej lub monopolu faktycznego, winno stać się własnością zbiorowości“.

W takim ujęciu mieści się, oczywiście, cywilistyczna konstrukcja własności, jako funkcji społecznej.

Seweryn Szer

Ogólna odporność ustroju i jej stymulacja

Pierwsze swoje obserwacje, które stały się następnie punktem wyjścia słynnej fagocytarnej teorii odporności przeprowadzał Miecznikow na półprzezroczystych larwach rozgwiazd morskich. W ich galaretowate ciało wbijał on kolce róży i po pewnym czasie dookoła obcego ciała obserwował powstawanie białawych skupień. Skupienia te pod mikroskopem okazały się tłumnym zgrupowaniem ruchliwych komórek pierwotnej tkanki łącznej mezenchymy. Komórki mezenchymy larw rozgwiazd pod względem swego kształtu i ruchliwości są bardzo zbliżone do białych ciałek krwi zwierząt wyższych i człowieka, zaś białawe ich skupiska dookoła drzazgi, tkwiącej w żywym ciele larwy morskiego szkarłupnia, przypominały uderzająco ognisko zapalne powstające zawsze w tkankach zwierząt wyższych, gdy dostaną się do nich jakieś martwe ciała obce, a tym bardziej żywe drobnoustroje.

Obserwacje te naprowadziły Miecznikowa na myśl, że zjawisko zapalenia i odporność wobec zakażenia bakteryjnego zawdzięcza ustrój zwierzęcy zawsze białym ciałkom krwi, które spełniają w jego tkankach rolę czujnej straży, zbiegającej się jak gdyby świadomie do zagrożonych miejsc i pożerającej w dosłownym znaczeniu niepożądanych intruzów.

W owym czasie dzięki pracom Pasteura, Kocha, ich uczniów i najbliższych współpracowników nagromadziło się bardzo dużo obserwacji wskazujących na to, że ustrój zwierząt i człowieka potrafi uruchomić zadziwiająco skuteczny mechanizm obrony przeciwko zakażeniu. Faktów było coraz więcej, niektóre z nich zostały nawet wykorzystane dla celów praktycznych; zaczęto stosować już pierwsze szczepionki. Natomiast do ich wytłumaczenia było ciągle daleko. W tym mniej więcej czasie Pasteur przeprowadzał swoje doświadczenia nad kurzą cholera. Obserwując mechanizm szerzenia się i przebieg tej choroby u kur pragnął on wykuć broń przeciwko cholercie ludzkiej. Pasteur hodował bakterie kurzej cholery na bulionie, a następnie hodowlami tymi zarażał kury. Kury chorowały i zychały, aż zdarzyło się coś, co zakłóciło normalny przebieg tych doświadczeń i najzupełniej przypadkowo wyprowadziło je na drogę wielkiego odkrycia.

Inne zajęcia laboratoryjne zmusiły Pasteura do pewnej dość długiej przerwy w doświadczeniach. Kurom dano na pewien czas spokój, a hodowla kurzej cholery pozostawała tymczasem w probówce zamkniętej wata, w szafce ciepłarki. Gdy po kilku tygodniach zarażono znów kury starą hodowlą, zauważono, że znoszą one chorobę bardzo

lekko i nie zdychają. Stara hodowla bakterii była więc wyraźnie osłabiona na skutek długotrwałego przebywania w cieplarni. Pasteur hodowlę tę odnowił, przesiewając ją kilkakrotnie i zaraził tak odmłodzonymi kulturami większą partię kur. Zbiegiem okoliczności w ich liczbie były i te, które niedawno zarażono osłabionymi szczepami. Gdy po tygodniu Pasteur przeglądał ponumerowane klatki okazało się, że wszystkie kury, którym zaszczepiono po raz pierwszy, odnowione zarazki kurzej cholery, zachorowały ciężko i zdechły, zupełnie tak samo jak to się działo dawniej.

Natomiast te kury, które w swoim czasie były już raz zarażone starymi hodowlami i przeszły lekką chorobę, tym razem w ogóle nie zachorowały. Stały się one odporne na chorobę. I odporność tę uzyskiwały z ręki człowieka, z jego woli — wprawdzie tym razem niezupełnie świadomej. Tego pamiętnego dnia narodziła się nowa nauka, nauka o odporności.

Od owego dnia rozpoczyna się też przełomowa w dziejach walki z chorobami zakaźnymi era wielostronnych szczepień ochronnych.

Nauczyliśmy się więc uruchamiać i mobilizować na ogromną skalę siły obronne ustroju przeciwko zakażeniu. Ale mimo tych niewątpliwych sukcesów praktycznych, wyjaśnienie sposobu, w jaki zachodzi powstawanie tej odporności, przychodziło znacznie trudniej.

Na czym polega odporność? Gdzie jest jej źródło? Czy najważniejsza jest zmiana właściwości surowicy krwi, czy też „tresura“, że się tak wyrazimy, białych ciałek, swojego rodzaju nastawienie ich czynności na niszczenie tych czy innych bakterii. Oto szereg zagadnień, dookoła których rozgorzały spory i dyskusje niekiedy bardzo gorące. Gdy Miecznikow opisał obrazowo zjawisko pochłaniania bakterii przez ruchliwe komórki mezenchymy i białe ciała krwi i przypisał temu zjawisku podstawowe znaczenie w zwalczaniu infekcji, otrzymał w odpowiedzi druzgocącą odpawę. Znany niemiecki patolog Baumgarten napisał o publikacjach Miecznikowa, że „są one sprzeczne zarówno z logiką, jak i z rzeczywistością“ oraz, że jego „wyjaśnienie funkcji białych ciałek jest bardziej tworem bogatej wyobraźni niż obiektywnego badania“.

Z drugiej zaś strony Miecznikow w namiętnej obronie swojej fagocytarnej teorii odporności nieraz zapędzał się tak daleko, że wręcz odrzucał bezsprzecznie stwierdzone fakty, gdy te nie bardzo się z tą teorią zgadzały.

Dziś po upływie tylu lat przyznać należy, że zagadnienie, o które kruszył kopie Miecznikow i jego przeciwnicy, bynajmniej nie jest w pełni wyjaśnione.

Ciekawy i cenny wkład do sprawy wyjaśnienia mechanizmu powstawania odporności wniosły m. in. badania uczonego sowieckiego, akademika Bohomolca. W tym wypadku chodzi głównie o odporność ogólną, nie specyficzną tzn. taką, która uzbraja w pewnym stopniu ustrój ludzki i zwierzęcy przeciwko wszystkim chorobom zakaźnym i nawet przeciwko rakowi.

Według danych, które dziś można uważać za niewątpliwe, ogromną a nawet decydującą rolę w powstawaniu tej odporności odgrywa tkanka łączna. Już sama nazwa tkanki łącznej, wypełniającej wolne przestrzenie w ustroju między podstawowymi jego organami wewnętrznymi, jak serce, płuca, przewód pokarmowy i mięśnie — do pewnego stopnia z góry zakłada, że rola jej jest drugorzędna i nieistotna. W rzeczywistości jest zupełnie inaczej.

W układzie tkanki łącznej, najprawdopodobniej odbywają się decydujące procesy ogólnej przemiany materii.

Nic też dziwnego, że od normalnego funkcjonowania tej tkanki zależy zdolność regeneracyjna w przypadkach uszkodzeń, albo też zużywania się tkanek i organów. Według twierdzenia Bohomolca wszelkie upośledzenie działalności tej tkanki stanowi główną przyczynę przedwczesnego starzenia się. Poza tym ma ona być siedliskiem procesów, którym ustrój zawdzięcza wytwarzanie przeciwciał, zapewniających mu odporność przeciwko zakażeniu.

Od stanu tkanki łącznej, od jej fizjologicznej „elastyczności“, tzn. zdolności szybkiego i sprawnego uruchamiania sił obronnych przeciwko czynnikowi chorobotwórczemu zależy więc to, co nazywamy zdrowiem i ogólną odpornością. Właściwości te najpełniej występują w ustroju dojrzałym i słabną z biegiem lat.

Według Bohomolca elastyczność ta, którą on nazywa inaczej reaktywnością, decyduje o zwycięstwie ustroju nie tylko nad zarazkami chorobotwórczymi i nowotworami złośliwymi, ale w równie istotny sposób sprzyja przetrwaniu nawet niektórych chorób psychicznych, przede wszystkim schizofrenii.

Doszedłszy na podstawie wielu danych klinicznych do tego rodzaju wniosków, Bohomolec skupił całą swoją uwagę na sposobach wzmoczenia owej naturalnej i słabnącej z wiekiem fizjologicznej elastyczności układu tkanki łącznej.

Wynikiem tych prac było zastosowanie tzw. surowicy ACS, co jest skrótem nazwy: antyretykularna, cytotoksyczna surowica.

Surowicę tę otrzymuje się drogą zastrzykiwania koniom zawiesiny ze świeżych ludzkich komórek śledziony i szpiku kostnego, wziętych u człowieka zmarłego gwałtowną śmiercią.

Surowica końska zostaje w ten sposób specyficznie nastawiona przeciwko tym elementom ludzkiego układu siateczkowo-śródbłonkowego. Jeśli się wprowadza człowiekowi znaczne ilości wspomnianej surowicy, wówczas blokuje ona ten tak ważny dla samoobrony ustroju układ, co znacznie osłabia jego odporność na zakażenie. Krańcowo odmienne wyniki otrzymuje się jednak przy wprowadzaniu bardzo małych, odpowiednio wymiarczkowanych dawek surowicy ACS, nie przekraczających setnych części centymetra sześciennego. Pod ich wpływem zachodzi wyraźne pobudzenie i wzmoczenie czynności układu tkanki łącznej, wzrost jej fizjologicznej elastyczności, następuje jak gdyby odmłodzenie ustroju.

W doświadczeniach na myszach, u których wywołano uprzednio powstawanie nowotworów, współpracownicy Bohomolca stwierdzali wielokrotnie zmniejszanie się tkanki rakowatej i zahamowanie przerzutów. Jest to wynik godny uwagi. Wprawdzie uczeni sowieccy zastrzegają się, że surowica ACS nie leczy raka, ale mimo to wzmoczenie sił obronnych ustroju pod jej wpływem wydaje się być faktem stwierdzonym. Istnieje w piśmiennictwie rosyjskim wiele danych, z których wynika, że zastosowanie surowicy ACS u ludzi po operacji wycięcia nowotworów złośliwych żołądka i piersi — znacznie obniża procent nawrotów.

Wiele obiecującego materiału klinicznego z zastosowania wspomnianej surowicy dla przyspieszenia procesów regeneracji tkanki kostnej zebrano podczas wojny.

Wzmoczenie ogólnych sił obronnych ustroju przez wprowadzenie dokrewne niewielkich dawek obcego niespecyficznego białka — tzw. kuracja bodźcowa — jest rzeczą od dość dawna znaną i praktykowaną w medycynie. Zasługą Bohomolca jest próba pobudzenia odpowiednich układów, stwarzających tę odporność, w sposób precyzyjniej wycelowany i bardziej skuteczny.

Próba, jak można przypuszczać, uwieńczona powodzeniem.

Bohomolec i jego uczniowie, opierając się na dotychczasowych wynikach zastosowania surowicy ACS i na koncepcjach teoretycznych, przypuszczają, że będzie ona mogła mieć zastosowanie nie tylko jako środek leczniczy i profilaktyczny. Biochemiczne badania Miedwiediewej wskazują na to, że pod wpływem surowicy ACS cofają się u starych zwierząt pewne charakterystyczne dla ich wieku przemiany biochemiczne i fizykochemiczne tkanek, a w szczególności wracają do młodzieńczej normy własności koloidów tkankowych, powraca w pełni zdolność szybkiej syntezy niektórych związków chemicznych (jak np. estrów fosforowo-cukrowych i in.). Skłania to uczonych sowieckich do wiązania z surowicą ACS bardziej rozległych i daleko sięgających nadziei.

Promieniowanie żywej materii

Czy żywa istota kończy się na granicy swoich tkanek? Czy bywają wypadki oddziaływania roślin i zwierząt na otoczenie na odległość bez wszelkiego kontaktu materialnego?

Już samo sformułowanie tych pytań wywołuje u przyrodnika podejrzliwość i uśpabia nieufnie. Chodzi bowiem o to, że koncepcja niematerialnego oddziaływania, przenoszącego się w sposób „magiczny“ z jednej istoty żywej na drugą, była od dawna w obiegu w sferach nie mających nic wspólnego z naukami doświadczalnymi. I po dzień tego rodzaju transcendentale idee znajdują oparcie albo w wierze religijnej, albo też wśród ludzi pasjonujących się metapsychiką, seansami spirytystycznymi, latającymi stolikami oraz „materializacją i dematerializacją“ zjaw. Wszystko to razem nie daje się pogodzić z przyrodniczym, naukowym trybem myślenia. Może ogólnie nieufne nastawienie do tej kategorii zjawisk spowodowało, że gdy dwadzieścia lat temu uczony rosyjski Gurwicz ogłosił światu, że wykrył promieniowanie wysyłane przez stożki wzrostowe kielków cebuli — przyjęto wyniki niesłychanie zresztą skrupulatnych obserwacji i doświadczeń z wielką nieufnością.

Punktem wyjścia odkrycia Gurwicza była obserwacja od dawna znanego a mimo to ciągle fascynującego zjawiska kariokinezy.

Zbiegiem okoliczności Gurwicz obserwował podziały komórkowe w zapłodnionych jajach trytona w czasie, gdy w ręce wpadła mu praca z zupełnie innej dziedziny, w której autor wykladał zasady teorii prawdopodobieństwa w zastosowaniu do biologii.

Gdy Gurwicz popróbował z tego punktu widzenia spojrzeć na przebieg podziałów komórkowych w tkankach zarodkowych zwierząt i roślin, rzucił mu się w oczy „statystyczny“, że się tak wyrazimy, charakter tych podziałów. Wśród masy komórek rosnącej tkanki zarodkowej znajdujemy na każdym przekroju pewną ilość komórek w stadium podziału. Komórki te są rozmieszczone „doskonale przypadkowo“ tzn. tak jak pierwsze krople deszczu na płycie chodnika, lub jak ziarna czarnej fasoli rozsiane wśród ziaren białych w dokładnie przetrząśniętej mieszaninie.

Gdyby Gurwicz był entuzjastą nowego indeterminizmu wówczas prawdopodobnie poprzestałby na tej obserwacji i tym stwierdzeniu. Było jednak inaczej. Nie uważał on widocznie, abyśmy byli dostatecznie uprawnieni do pogodzenia się z istnieniem zjawisk

niczym nie uwarunkowanych. Gurwicz nie okazał się zbyt skwapliwy do przyjęcia, że podział tej czy innej komórki następuje w danym momencie absolutnie przypadkowo tzn. bez wszelkich przyczyn zewnętrznych, mimo że wiele zdawało się przemawiać za tym, że spośród masy dojrzałych komórek przystępuje w pewnej chwili do podziału ta a nie inna wprost dlatego, że tego zechciał, jak powiadają, „ślepy los“, czy też niczym materialnym nie uwarunkowane „przeznaczenie“.

Gurwicz nie zadowolił się tak łatwym do przyjęcia i wygodnym wyjaśnieniem. Poszedł on śladami tych upartych poszukiwaczy prawdy, którzy tysiące już razy znajdowali materialne, fizyko-chemiczne przyczyny rozmaitych zjawisk tam, gdzie ich przeciwnicy z łatwą skwapliwością godzili się na przyjęcie istnienia niepoznawalnych „sił wyższych“, nazywanych raz „siłą żywotną“, innym razem „wołą bóstwa“ lub „przeznaczeniem“.

Wychodząc więc z założenia, że ta lub inna komórka przystępuje do podziału na skutek działania jakichś określonych czynników zewnętrznych, Gurwicz usiłował na podstawie teoretycznych koncepcji i praktycznych doświadczeń określić charakter tego czynnika. Rozumowanie jego szło drogą dość zawiłą i nie zawsze najszcześliwszą. Faktem jednak jest, że doprowadziło ono go w końcu do odkrycia o wielkim znaczeniu dla nauk biologicznych. Teoretyczne rozumowanie nasunęło przypuszczenie, że czynnikiem wyzwalającym podziały komórkowe jest promieniowanie i że w przypadku kiełkującej cebuli promieniowanie to jest wysyłane przez korzonek młodej roślinki, przechodzi wzdłuż łodyżki i trafiając na poszczególne dojrzałe komórki tkanki zarodkowej stożka wzrostowego kiełka powoduje ich podział. Dalszy i bodaj decydujący krok został zrobiony gdy, jak opowiada Gurwicz, pewnego dnia na przechadzce zabłysła mu myśl najprostsza w świecie: jeśli owo „coś“ co wyręcza przeznaczenie i popycha komórki kiełka cebuli na drogę podziału kariokinetycznego jest promieniowaniem, to jasne, że powinno ono rozchodzić się nie tylko w górę wzdłuż łodyżki, ale równomiernie we wszystkie strony.

Nastąpiła chwila przełomowego, krzyżowego doświadczenia. Jak już wspominaliśmy, podziały komórkowe w stożku wzrostowym kiełka cebuli, który okazał się bardzo wdzięcznym obiektem doświadczeń, mają charakter idealnie „statystyczny“, tzn. że w normalnym prostym kiełku na przekroju, przy ogólnej liczbie komórek dochodzącej do paru tysięcy, ilość form podziałowych z lewej i prawej strony osi bywa w pewnych granicach zawsze równa sobie. Dzięki temu kiełek taki doskonale nadawał się jako detektor owego przypuszczalnego promieniowania, które Gurwicz nazwał później promieniowaniem mitogenetycznym. I rzeczywiście okazało się, że jeśli w odległości kilku milimetrów od takiego kiełka umieszcza się inny stożek wzrostowy, w którym zachodzą intensywne podziały komórkowe, wówczas po pewnej krótkotrwałej ekspozycji ilość form podziałowych w badanym kiełku od strony „naświetlanej“ jest wyraźnie większa. W następnych doświadczeniach między kiełkiem użytym jako źródło promieniowania a kiełkiem-detektorem ustawiano szybki szklane różnej grubości. Gdy okazało się, że wpływ przyśpieszający podziały daje się stwierdzić i poprzez szkło — pod warunkiem, że jest ono dostatecznie cienkie — fakt istotnego wysyłania promieni przez dzielące się komórki wydawał się ostatecznie udowodniony. Przy tym, jak wynika, promienie te są właśnie owym czynnikiem wyzwalającym na odległość podziały komórkowe nawet w innej roślinie.

Mało jest w historii nauk biologicznych odkryć, które by wywołały masę najbardziej sprzecznych ze sobą i dziś bynajmniej nie uzgodnionych poglądów.

bok doświadczeń przeprowadzonych w różnych laboratoriach, które całkowicie potwierdziły wyniki Gurwicza można natrafić na wiele poglądów i doniesień wręcz nieuzasadnionych samo istnienie tego zjawiska.

Gurwicz tłumaczy w sposób dość przekonujący, że promieniowanie mitogenetyczne należy do kategorii mikro-zjawisk tzn., że jego intensywność jest znikoma, co jest warunkiem nie zawsze przestrzegającym powodzenia wszelkich doświadczeń. Frankowi i Gurwiczowi udało się po pewnym czasie ustalić na drodze analizy widmowej długość fali promieniowania mitogenetycznego. Potwierdziły się przy tym pierwotne przypuszczenia o tym, że ma ono charakter pozafioletkowy.

Ukoronowaniem tych badań było uwieńczone powodzeniem zastosowanie sztucznych promieni mitogenetycznych, pochodzenia niebiologicznego o tej samej długości fali, które dały ten sam efekt wzmożenia podziałów komórkowych.

Jednocześnie dzięki pomiarom intensywności naturalnego promieniowania mitogenetycznego zdołano ustalić, że rzeczywiście najmniejsza niepodzielna cząstka, a więc jeden foton tego promieniowania — w rezultacie wyzwala jej podział.

Z czasem okazało się, że owo tajemnicze promieniowanie żywych komórek jest bardzo rozpowszechnione w świecie roślinnym i zwierzęcym. Początkowo udało się je stwierdzić w niektórych tkankach kijanek, następnie w krwi zwierząt wyższych.

Z kolei odkryto, że idealnym bodaj i bardzo czułym detektorem — promieni mitogenetycznych jest młoda hodowla drożdży, w której z największą łatwością udaje się stwierdzić i mierzyć wzmożenie tempa podziałów pod wpływem tego promieniowania.

Obszerne badania rozmaitych tkanek i organów na przedmiot występowania promieniowania mitogenetycznego odkryły wiele zagadkowych zjawisk, których w tej chwili zupełnie nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć. Faktem np. jest, że tkanki organów o najmniejszej intensywności przemiany materii jak np. wątroba i nerki zupełnie tego promieniowania nie wysyłają! Natomiast tkanka nerwowa a w szczególności tkanka rakowata jest jednym z najsilniejszych jego źródeł.

Zarówno w Związku Sowieckim jak i na Zachodzie bardzo dużo prac poświęcono sprawie związku promieniowania mitogenetycznego z nowotworami złośliwymi.

W gruncie rzeczy fakt silnej emisji tego promieniowania charakterystycznego dla komórki zarodkowej przez zblizną do niej swym pierwotnym charakterem tkankę nowotworową nie mógł być dla nikogo niespodzianką. Rzecz zaczęła się wikłać, gdy okazało się, że krew chorych rakowatych w przeciwieństwie do krwi normalnej nie tylko nie posiada własność emitowania promieni mitogenetycznych, ale zawiera ponad to pewien rodzaj nieokreślony czynnik który wręcz „gasi“ to promieniowanie nawet wtedy, gdy chodzi ono z innego źródła. Dodanie niewielkiej ilości krwi chorych na raka do młodej hodowli drożdży powoduje zanik promieniowania mitogenetycznego drożdży i w konsekwencji wstrzymanie na pewien czas rozmnażania komórek drożdżowych. To stanowiące działanie może być zniesione, jeśli jednocześnie na zawieszoną drożdży poddawamy promieniami mitogenetycznymi pochodzenia zewnętrznego.

Głębsza analiza stanu fizyko-chemicznego tkanki rakowatej, nad którą nie będziemy się zatrzymywali, pozwala na wyjaśnienie tych dwóch zdawałoby się sprzecznych zjawisk; intensywne promieniowanie tkanki samego nowotworu i „gaszenia“ tego promieniowania przez krew rakowatą. Nawiasem mówiąc, zjawisko to jest tak wyraźne, że może wręcz służyć dla celów diagnostycznych.

W następstwie okazało się, że osłabienie względnie zanik promieniowania mitogenetycznego krwi jest zjawiskiem bardziej powszechnym i występuje przy wielu scho-

rzeniach m. in. w przypadkach malarii, ropniaków, cukrzycy a nawet przejściowo w wypadkach silnego wyczerpania fizycznego lub psychicznego. Jeden ze współpracowników Gurwicza wystąpił z przypuszczeniem, że w przypadkach psychozy depresyjnej promieniowanie mitogentyczne krwi winno być osłabione, zaś w stanach pobudzenia maniakalnego — wzmożone. Przypuszczenia te udało się w licznych badaniach całkowicie potwierdzić.

Na tej podstawie podjęto nawet pewne próby leczenia psychozy depresyjnej podawaniem chorym niewielkich dawek krwi pochodzącej od ludzi w stanie pobudzenia maniakalnego.

Oto kilka przykładów świadczących najlepiej, jak szerokie i wielostronne perspektywy odsłoniły przed nami odkrycia Gurwicza. Wymagają one jeszcze niewątpliwie wiele wysiłku badawczego i materiału doświadczalnego, aby przejść ostatecznie z terenu luźnych budzących często wątpliwości spostrzeżeń na grunt niezaprzeczalnych i systematycznie powiązanych z ogólną wiedzą przyrodniczą faktów naukowych.

Jerzy Barski

Recenzje

D. W. Brogan: *The American Problem* (Problem amerykański), Hamish Hamilton, London, 1944, Str. 176.

„The World Almanac“ na rok 1943 przyniósł m. in. następujące ogłoszenie: „Rozmawiałem z Bogiem. Tak jest, rozmawiałem aktualnie i dosłownie i jako rezultat tej rozmówki dziwna siła weszła do mojego życia. Po czterdziestu dwóch latach okropnego, ponurego, chorobliwego niepowodzenia wszystko przybrało jaśniejszy kolor. Fascynująca jest rozmowa z Bogiem i możesz jej dokonać bardzo łatwo, skoro tylko raz posiadłeś sekret. Gdy jej dokonasz w twoje życie wejdzie ta sama dynamiczna Potęga, która weszła w moje. Kąjdany klęski, które krępowywały mnie przez lata zniknęły, i teraz?— otóż jestem prezydentem Towarzystwa Wydawniczego Przeglądu Nowości, wydającego gazetę popołudniową o największym nakładzie w Północnym Idaho.

Jestem właścicielem największego budynku w naszym mieście i mam do dyspozycji piękną limuzynę Cadillaca. Mam własny dom a w nim przyjemne organy, i moja rodzina jest sownie zaopatrzona na wypadek mojej śmierci. I to wszystko stało się możliwe, ponieważ pewnego dnia przed dziesięciu laty aktualnie i dosłownie rozmawiałem z Bogiem“. Dr Frank B. Robinson za niewielką opłatą przesyła każdemu żądnemu swoją tajemnicę

jak dojść do aktualnej i dosłownej rozmowy z Bogiem a przez nią do sukcesu i szczęścia w życiu.

Oto jest amerykański problem. Problem zrozumienia narodu i jego kultury, porządku politycznego, gwarantującego konstytucyjnie każdemu obywatelowi swobodę w dążeniu do osobistego szczęścia. Problem amerykański postawiła przed Wielką Brytanią wojna, wojsko amerykańskie w Anglii i dziejowa konieczność ścisłej współpracy powojennej. Problem amerykański nie jest odosobniony ani specyficzny. Stoi on w jednym szeregu z problemem polskim, sowieckim i brytyjskim, w jednym szeregu zagadnień powojennej organizacji międzynarodowego współżycia. Cóż ma wspólnego z organizacją współżycia międzynarodowego ogłoszenie Dr. Robinsona i jego tajemnicy rozmowy z Bogiem?

D. W. Brogan w szeregu impresjonistycznych, z talentem i znanstwem napisanych studiów wykazuje, że zależność ta jest daleko większa niż się to może wydawać. Jeśli bowiem czytelnik europejski w ogłoszeniu Dr Robinsona widzi tylko dziecinną naiwność, to skłonny jest do takiego samego potraktowania wielu innych spraw amerykańskich powstających z tej samej postawy Amerykanów wobec życia, i takie odniesienie do spraw amerykańskich jest nieporozumieniem

stojącym na przeszkodzie międzynarodowemu współzyciu. Książka Brogana jest próbą wytłumaczenia czytelnikowi angielskiemu pewnych podstawowych faktów dotyczących Stanów Zjednoczonych, brak zrozumienia których prowadzi do nieporozumień i rekryminacji.

„Problem amerykański jest dwustronny: jest to zagadnienie, jak uczynić zrozumiałą dla narodu amerykańskiego istotę przemian w nowoczesnym świecie, w których Amerykanie mogą przewodzić lub którym mogą się sprzeciwiać, lecz których nie wolno im ignorować. To jest problem dla Amerykanów. Lecz z drugiej strony istnieje zagadnienie uczynienia zrozumiałym dla obcych normalnego amerykańskiego poglądu na świat, amerykańskiego poglądu na własną historię i przeznaczenie“. Nie można spodziewać się pełnego sukcesu w dążeniu do zrozumienia innego narodu, pewne elementy zostają zawsze nieuchwytnie. Lecz — zdaniem autora — w Wielkiej Brytanii powinno się uczynić wszystko, żeby umożliwić zrozumienie „amerykańskiego amerykanizmu“ (the Americanism of America).

Dla Amerykanów problem leżał w orientacji. Naturalna orientacja dążeń prowadziła Amerykanów na zachód. Na wschodzie była Europa i jej królowie, na zachodzie szeroki horyzont i preria otwarta dla pionierów. Lecz ziemia jest jedna i okrągła. Pierwsi osadnicy kierowali się na zachód. Droga wiodła przez puszcze, prerie, góry do Pacyfiku, potem przez Filipiny, Azję znowu do Europy. Amerykanin zrozumiał że droga do Oregonu jest drogą do Europy. Lecz wiek XIX był ukształtowaniem się Stanów Zjednoczonych w drodze do Europy.

Część pierwsza książki szkicuje szerokimi i swobodnymi rzutami główne linie kształtowania się odrębnego narodu amerykańskiego z osadników angielskich i francuskich, imigrantów niemieckich,

włoskich i polskich. Swoistości geograficzne, warunki klimatu, roślinności itp. wymagały przystosowania, stwarzały nowy tryb życia, w którym przeniesione z Europy idee, zwyczaje i przesady nikt nie powoli niezdolne do utrzymania ni dawniej kultury, ni dawnych wzorów społecznych. Wojna domowa, wojny indiańskie były etapami w tej drodze do wytworzenia jedności narodu amerykańskiego. Autor stara się pokazać jak wytworzała się amerykańska cywilizacja, amerykański sposób życia (The american way). Nie ma porównania z żadnym narodem europejskim. Pierwsze kolonie, wojna o niepodległość, konstytucja (która starannie unika słowa demokracja), pokolenia osadników-farmerów zdobywających zachód i pokolenie Buffalo Billa, szybki rozrost przemysłu i stworzenie wielkiej potęgi politycznej, wszystko to dokonało się w czasie krótkim i w tempie szybkim. Nie można zrozumieć amerykanizmu nie uświadamiając sobie warunków i procesów jego powstania. W Europie ziemia jest uprawiana od setek czy nawet tysięcy lat, w Ameryce zaledwie jedno czy dwa pokolenia wstecz zapuszczały pierwsze pługi na karczowiskach i stepach Zachodu. Amerykańskie doświadczenia historyczne są zupełnie odrębne od każdego innego narodu.

Ameryka ma swoje zagadnienia wewnętrzne nieznane w innych państwach. Zagadnienie utrzymania jedności olbrzymiego terytorium; problem integracji politycznej; zagadnienia politycznych i wychowawczych środków wzmocnienia tej jedności; zagadnienia „mniejszości murzynów, katolików, żydów“ i wszelkich w ogóle grup imigrantów. I w końcu zadania jakie stanęły przed Ameryką wskutek jej udziału w organizowaniu świata powojennego.

„Jedność i wolność“ (druga część książki nosi taki tytuł) oto istotny problem amerykańskiej polityki wewnętrz-

nej. Stworzenie wolnego rządu nad kontynentalnym obszarem, bez poświęcenia wolności jednostki i ograniczenia zakresu jej działania jest osiągnięciem jedynym w historii świata. Osiągnięciem związanym ściśle z konstytucją. Orzeka przecież słynna formuła wstępu do konstytucji: „My Naród Stanów Zjednoczonych, ażeby stworzyć doskonalszą Unię, ustanowić Sprawiedliwość, zapewnić Spokój domowy, przygotować się do wspólnej obrony, poprzeć ogólny dobrobyt i zabezpieczyć Błogosławieństwa Wolności dla nas i naszych potomnych ustanawiamy i ustalamy tę Konstytucję dla Stanów Zjednoczonych Ameryki“. Kult konstytucji jest czynnikiem łączności państwowej. Dzieci szkolne każdego ranka uroczyście recytują „Amerykańskie wyznanie wiary“: „Wierzę w Stany Zjednoczone Ameryki jako rząd ludu, przez lud i dla ludu! Którego słuszne siły pochodzą ze zgody wszystkich rządzonych. W demokrację w Rzeczpospolitej, suwerenny Naród wielu suwerennych Stanów! Doskonałą Unię jedną i niepodzielną! Ustaloną na tych zasadach wolności, równości, sprawiedliwości i ludzkości, dla których amerykańscy patrioci poświęcali swoje życie i fortuny. I dlatego wierzę, że jest moim obowiązkiem wobec mojego kraju kochać go, podtrzymywać jego Konstytucję, być posłusznym jego prawom, szanować jego flagę i bronić go przeciw wszystkim jego wrogom“. Wychowanie szkolne jest wychowaniem dla amerykańizmu przeciw tradycjom europejskim. Kto tych spraw nie rozumie, nie może współżyć z Ameryką.

Amerykański sposób prowadzenia wojny odpowiada amerykańskiemu sposobowi życia. W jednym i drugim nie ma

ślepej brawury, lecz planowanie, odpowiednio przygotowanie materialne i działanie pewne, niezawodne. Żołnierz amerykański jest tak samo krytyczny jak amerykański cywil. Kiedy generał Sherman karcił pładujących żołnierzy, usłyszał odpowiedź: „Nie możesz od nas oczekiwać kardynalnych cnót za trzydzieście dolarów miesięcznie“. Armia Stanów jest armią narodu wielkich businessmenów, armią kraju, w którym mniej zwraca się uwagi na formalną dostojność osób lub zawodów, gdzie liczy się sukces, gdzie nie uważa się za prawie równie ważne dobrze przegrywać, jak wygrywać dobrze czy źle. Kraju, który oburza Niemców z ich pedanterią i patologicznym pojęciem „honoru“; kraju, który irytuje Anglików z ich namiętnością dla wierności tradycji i dobrym formom. „Deszczowa twarz“ genialny wódz Siouxów i Generalfeldmarschal Rommel byli mistrzami wojny jako sztuki, lecz dla Amerykanów wojna to business. Amerykanina nie interesują moralne zwycięstwa, lecz zwycięstwo.

Problem postawiony przez Autora to sprawa pogodzenia realnej autonomii narodowej, realnej tradycji narodowej z potrzebami nowego społeczeństwa światowego. Amerykanie mogą się przyczynić do ugruntowania nowej społeczności światowej tylko jako Amerykanie. Jako tacy mogą dać dużo duchowo i materialnie: ugruntowany optymizm odnośnie własnych możliwości, ugruntowaną wiarę, że pewne problemy jedności istotnej, kombinowane z różnorodnością we wszystkich dziedzinach życia, zostały rozwiązane w amerykańskim doświadczeniu historycznym. Wzajemne zrozumienie się jest niezbędnym początkiem.

Jan Szczepański

*

*

*

N. Assorodobraj: *Początki klasy robotniczej. Problem rąk roboczych w prze-myśle polskim epoki Stanisławowskiej*, Czytelnik, Kraków, 1946.

Jednym z objawów rażącej dysproporcji między rytmem naszego życia współczesnego a nauką jest stan badań nad dziejami społecznymi, a w szczególności nad historią klasy robotniczej w Polsce. W tej dziedzinie literatura nasza nie wykracza poza wydawnictwa już przestarzałe, poza popularyzację tro-szczącą się więcej o doraźne cele prop-agandowe niż o prawdziwą znajomość przedmiotu. Badaczowi naukowemu natomiast trudno jest — pomimo nacisku — zdecydować się na popularyzację, gdy stan badań jest dopiero w fazie zaczątkowej. Trzeba przedtem podjąć pionierską pracę zbierania materiałów, poszukiwań archiwalnych, a ponadto przystąpić do rewizji poglądów, nie dających się pogodzić z dzisiejszymi wymogami nauki, z dzisiejszym aspektem zjawisk społecznych. Wiele naszych opracowań z zakresu historii gospodarczo-społecznej sprzed pół wieku, czy kilkudziesięciu lat wymaga dziś nowego wejrzenia i nowego ujęcia nawet wówczas, gdy materiał źródłowy jest już znany, udostęp-niony, wydany i zinterpretowany.

Studium dr. Assorodobraj nad początkami klasy robotniczej w Polsce potwierdza słuszność powyższych uwag. Przy-stępując do tak kapitalnego dla dziejów społecznych Polski problemu, autorka musiała podjąć poszukiwania samodzielne, pionierskie, tam zaś, gdzie natknęła się na drogi już ubite przez poprzedników, poddać gruntownej rewizji ich poglądy bardzo rozpowszechnione, ale częściowo nieugruntowane lub wręcz błędne. W rezultacie powstała praca oryginalna, stanowiąca poważny wkład do naszej ubo-

giej literatury naukowej z zakresu histo-rii społecznej. Wysiłek okazał się tym cenniejszy, że dokonany został w oparciu o źródła dziś już przeważnie nie-istniejących archiwów, które spłonęły w Warszawie. Dotyczy to w szczególności akt Komisji Cywilno-Wojskowych Archiwum Głównego Akt Dawnych, akt Kompanii Manufaktur Archiwum Skarbo-wego, archiwów prywatnych Biblioteki Krasińskich itd. Poza aktami urzędowymi autorka sięgnęła do korespondencji prywatnej i do bogatej publicystyki czasów Stanisławowskich, a nadto, stawia-jąc cały problem na szerokim gruncie porównawczym, uwzględniła również podstawową literaturę obcą.

Badania swe prowadzi dr Assorodo-braj w kilku płaszczyznach. Przede wszy-stkim stara się bliżej określić, czy byli i kim byli ludzie nie zatrudnieni, któ-rzy mogliby się stać w okresie tworzą-cego się przemysłu manufakturowego za Stanisława Augusta rezerwuarem sił roboczych, „tworzywem“ proletariatu. Źródła wskazują na dużą ilość takich ludzi, nazywanych rozmaicie: hultajami włóczęgami, żebrakami, luzakami. Ci „lu-dzie luźni“ oderwani od swego środowiska znajdują się w stanie płynności, wę-drują za doraźnym zarobkiem, żyją czę-ściowo z jałmużny, czasem z kradzieży. Pełno ich po drogach, w wielkich mias-tach, po karczmach, które odgrywają w tym czasie swoistą rolę „giełdy pracy“. Genealogia „ludzi luźnych“ jest bardzo różnorodna: jedni wyrzuceni zostali ze swego stanu przez procesy dziejowe, go-spodarcze, inni przez różne przypadki. Są wśród nich bezrolni i małorolni chłopci, zbiegli ze wsi poddani, są mieszczenie i nawet zdeklasowani szlachcice. Wszyscy oni znaleźli się na „marginesie“ życia ich stanów, wszyscy wyzwolili się z trady-cyjnych więzów społecznych i stanowią

jakby surogat dla nowych grup społecznych.

Autorka przedstawia nam mechanizm wytwarzania się owej masy płynnej „ludzi luźnych“, dokładnie i wszechstronnie analizuje ich tryb życia, upodobania, stosunek do pracy. Dowiadujemy się tedy, jak unikają stałego i jednostajnego zajęcia i wciąż zmieniają pracę nie chcąc się zasiedzieć a przez to związać, jak bardzo cenią swą niezależność. Że zaś skromne są ich zarobki a niewielkie potrzeby życiowe, uciekają się do dobroczynności ludzkiej, do jałmużny, co ich wcale nie dyskwalifikuje moralnie w opinii ówczesnej — opinii żyjącej jeszcze tradycyjnym poglądem na żebraka, biednego, kierującej się nakazami etyczno-religijnymi dobroczynności. W tym świetle jakże przedstawia się sprawa rąk roboczych dla przemysłu manufakturowego? Te ręce istnieją, i w dużej ilości, ale nie wynika stąd jakieś automatyczne ich zbliżenie do przedsiębiorstwa. Manufaktura właśnie poszukuje zarówno odpowiedniej ilości jak i jakości robotnika i cierpi na jego brak. Albowiem „ludzie luźni“ unikają pracy jaką im oferują, będącej w rażącej sprzeczności z ich trybem życia, ich nawykami i tradycjami. Tę obcość bliżej wyjaśnia autorka w drugiej części swego studium analizując organizację manufaktury, system pracy, panującą tam atmosferę. Przedsiębiorstwo manufakturowe, oparte na zasadach kapitalistycznych, kierowane racjonalnie, stawia inne wymagania, żąda innej postawy duchowej nowego typu: robotnika odmiennego niż w okresie przedkapitalistycznym. Manufaktura musi mieć stałą, zgraną załogę roboczą, sprawnie pracującą w zespole, wyszkoloną w tym kierunku, zautomatyzowaną w pracy. Od robotnika żąda się wydajności, skrupulatności, punktualności, wyteżonej uwagi. Panuje w tych tworzących się w Polsce za Stanisława Augusta manufakturach,

podobnie jak we Francji za Colbert'a, czy gdzie indziej w analogicznych okresach, żelazna dyscyplina, ciągły nadzór; robotnicy są skoszarowani, ogranicza się swobodę ich ruchów nawet poza godzinami pracy, a za wszelkie wykroczenie przeciw obowiązującemu regulaminowi grożą kary pieniężne i cielesne. Czy należy się dziwić, że w tych warunkach nie tworzy się samorzutnie podaż pracy, że nie łatwo jest zwabić robotnika do przedsiębiorstwa? Czy należy się dziwić, że „ludzie luźni“ woleli doraźne zarobki, że porzucali manufakturę po krótkim pobycie — wracając do swego trybu życia bez zapewnionego jutra? Działyły w tym kierunku inne jeszcze okoliczności jak niezwykle skromne potrzeby — taniość produktów żywnościowych, jak również, co autorka silnie akcentuje, łatwość o wsparcie zarówno ze strony hojnych panów, jak i gościnnych chłopów, dobroczynność społeczna, do której bez ujmy dla siebie można było się zawsze uciec.

W świetle powyższym antynomia — obfitość luźnych rąk roboczych i brak ich na rynku pracy przemysłowej — staje się zrozumiała, właśnie jako wynik splotu tych różnych czynników. Antynomii tej nie rozwiązywał jakiś sam przez się działający automatyzm rynku. Życie gospodarcze domagało się jej rozwiązania, zbliżenia do siebie „ludzi luźnych“ i manufaktury, ale na to trzeba było już świadomego wysiłku ze strony zainteresowanych przedsiębiorców i pomocy aparatu państwowego. Tak działo się w Polsce Stanisławowskiej, ale tak samo działo się i gdzie indziej w różnych krajach w okresie powstawania kapitalizmu. Wszędzie obserwować można podobne procesy i zjawiska, wszędzie rodził się problem rąk roboczych, nie tylko ilościowy. Zawsze bowiem występują te same trudności adaptacji człowieka-robotnika, określonego typu społecz-

nego do nowego — obcego dotychczasowym formom, nawykom—systemu pracy. Rezerwuarem ilościowym, skąd czerpać można ręce robocze, są ludzie, których właśnie kapitalizm działając rozkładowo na dawniejsze formy gospodarcze wyrzucał poza nawias uregulowanych stosunków społecznych. Te elementy izolowane, wydarte ze swego środowiska, tych „ludzi luźnych“ werbuje się do przedsiębiorstw kapitalistycznych różnymi sposobami: zachętą lepszych zarobków, propagandą wszelkiego rodzaju, a także naciskiem i przymusem. Tą drogą właśnie następuje przekształcenie robotników „in potentia“ na robotników „in actu“, na protoproletariat kapitalistyczny. Tak działo się właśnie w Polsce, w dobie tworzenia się manufaktur, za czasów Stanisława Augusta. Sięgnięto wówczas do środków szczególnych; przymus zastąpił nieistniejący jeszcze rynek pracy, umożliwił wchłonięcie przez przemysłowych „ludzi luźnych“. Poddano ich ostrej kontroli, reglamentacji policyjnej. Rozpoczęła się walka aparatu państwowego z żebractwem, hultajstwem, włóczęgostwem, pojmowanymi bardzo szeroko, i przymusowe zapędzanie nie mogących wykazać się stałym zajęciem do pracy produktywnej w przedsiębiorstwach. Przytulki, szpitale, więzienia, na wet sierocińce przekształcono na domy pracy, gdzie szkolić się miały zastępy robotników przemysłowych.

Wbrew rozpowszechnionym w literaturze poglądom autorka zakreśla skromną rolę pracy pańszczyźnianej w manufakturze: poddani chłopcy byli używani z reguły tylko do prac o charakterze pomocniczym, do przędzenia chałupniczego itd., do manufaktury wciągano młodzież chłopską po to, by ją najpierw urobić, wyszkolić na przyszłych robotników przemysłowych.

Kształtowaniu się nowych form produkcji towarzyszy prawdziwy przewrót

ideologiczny w poglądach gospodarczych, społecznych, moralnych, czemu autorka poświęca ostatnią część swej pracy. Rodzi się nowy duch, nowe myślenie — kapitalistyczne, jak o tym świadczy bogaty materiał zwłaszcza publicystyczny czasów Stanisławowskich. Apoteozuje się teraz pracę, jako podstawę dobrobytu narodowego, jako miarę wartości społecznej człowieka. Rzuca się hasła brzmiące niemal tak jak „Enrichissez — vous!“, propaguje się czynną postawę gospodarczą, dążenie do dobrobytu widząc w nim motor postępu. Zaleca się uproduktywnienie wszystkich elementów dotąd nie wciągniętych w życie gospodarcze, a więc „ludzi luźnych“, więźniów, Żydów, nawet zakonników.

Głosząc kult pracy produktywnej i „pracowitości“ poddaje się krytyce i rewizji dotychczasowe poglądy na dobroczynność. Zebractwo zostaje zdyskwalifikowane; miejsce jałmużny zająć ma obowiązek pracy. W myśl tych założeń polleja podejmuje ostrą walkę z żebractwem spędzając „próżniaków“ do domów przymusowej pracy. Na nie przekształcone zostają dawne przytulki dla ubogich.

Powstaje zatem nowa polityka społeczna. Tak samo nowe zadania stawia się szkole: ma ona wdrażać dzieci w dyscyplinę pracy, szkolić je na przyszłych wytwórców, robotników.

Całość pracy dr. Assorodobraj rzuca nowe i niezwykle interesujące światło na warunki tworzenia się klasy robotniczej w ogóle, a w Polsce w szczególności. Rozumie się, że nie wyczerpuje ona kapitalnego zagadnienia genezy proletariatu; nie zamierza go wyczerpać stawiając sobie zadanie węższe: „zbadanie na materiale konkretnym, w jakim kierunku tradycyjne sposoby zarobkowania i tradycyjne warunki życia, tradycyjna psychika, większa lub mniejsza niezależność ludności nie związanej i rozporzą-

dzalnej warunkują stosowanie przez przemysł tych czy innych sposobów rekrutacji oraz konieczność uciekania się do całego systemu środków szczególnych w celu wytworzenia stałego zastępu robotników, wykwalifikowanych technicznie i psychicznie, przygotowanych do nowego typu pracy przemysłowej“ (str. 25). Autorka koncentruje swą uwagę na „ludziach luźnych“, jako tworzywie proletariatu za czasów Stanisławowskich, na problemie rąk roboczych w przemyśle polskim w tym okresie dziejów. Nie wiem, czy dla uwypuklenia istoty postawionego sobie zadania — wobec niezwykle szerokiego tytułu pracy, nie należało — zgodnie z dobrze uzasadnionym zwyczajem — omówić na wstępie dotychczasowe poglądy na genezę klasy robotniczej w ogóle, a w Polsce w szczególności. Samo jednak zacieśnienie pola badań, oparcie ich na szerokiej podstawie źródłowej pozwoliło właśnie autorce na konkretną i wszechstronną analizę omawianych zjawisk społecznych. Wystrzega się ona uproszczeń, abstrakcyjnych schematów, wydobywa ze źródeł bogaty materiał dowodowy, ilustrujący złożoność problemu. Autorka wnika w warunki materialne, motywy działania, nawyki, obyczajowość „ludzi luźnych“, którzy w tym świetle nabierają istotnie rumieńców życia. Nie jest to jednak „fotografia“ rzeczywistości historycznej. Autorka podchodzi do zagadnienia uzbrojona w socjologiczną metodę badania zjawisk społecznych, stawia je na szerokiej płaszczyźnie kształtowania się społecznego typu robotnika przemysłowego, nowego systemu pracy i adaptacji do niego, tych, którzy stanowić mieli tworzywo nowoczesnego proletariatu. W analizie omawianych procesów

społecznych autorka przyswaja sobie wielkie wzory zarówno Marksa, Sombarta, jak i bliższego jej mistrza — Stefana Czarnowskiego.

W rezultacie, obie metody — historyczna i socjologiczna zespalają się w pracy dr Assorodobraj w jedną całość. Proces historyczny — jednorazowy, ograniczony w czasie i przestrzeni genezy klasy robotniczej w Polsce wymaga dla swego wyjaśnienia zwrócenia się do pojęć i teorii socjologicznych: „ludzi luźnych“, „typów społecznych“ itd. Z drugiej zaś strony, analiza źródłowa tego procesu historycznego, jednorazowego umożliwia dopiero wydanie sądu generalizującego, typologię „socjologiczną“. Toteż z pracy dr Assorodobraj socjolog będzie czerpał niezbędny materiał dowodowy, którego mu często brak, historyk natomiast — znajdzie w niej poza niezwykle interesującym i bogatym zbiorem faktów — to czego mu tak bardzo potrzeba — problematykę socjologiczną, nowe horoskopy w badaniach nad dziejami społecznymi.

Studium dr Assorodobraj jest pięknym hołdem oddanym jej nauczycielowi Stefanowi Czarnowskiemu, który umiał tak świetnie zespolić głęboką wiedzę historyczną z metodami socjologicznymi. Jest ono przykładem owocności tego zbliżenia do siebie obu dyscyplin, które mimo naturalnej między nimi „osmozy“ tworzą wciąż jeszcze, jeśli wolno w tym wypadku użyć tej terminologii socjologicznej, obce sobie „przestrzenie społeczne“. Czy nie czas, by historycy i socjologowie pomyśleli o niezbędnej dla wspólnej dobrej ściślejszej współpracy, o „pakcie wzajemnej pomocy i przyjaźni“?

Marian H. Serejski

Ostrowski Adam: Hugo Kołłątaj. Ojciec demokracji polskiej. „Czytelnik” — 1946, str. 56.

Mała książeczka o Kołłątaju jest bardzo popularnym opracowaniem jego życiorysu. Poziom czytelnika, dla którego jest przeznaczona, można by określić, jako gimnazjalny. Już liceista mógłby z powodzeniem korzystać z ujęcia poważniejszego — gdyby takie istniało. Ponieważ jednak nie ma biografii Kołłątaja, która by ukazywała społeczne oblicze jego działalności politycznej na poważniejszym niż ta poziomie — więc i w pracy z bardziej dojrzałych uczniem i w pracy bardziej dojrzałych samouków, książeczka Ostrowskiego w braku innej będzie pożyteczna.

Małe rozmiary książeczki i trudność omawianych w niej zagadnień sprawiły, że przy lekturze napotykamy często pewne rażące nas uproszczenia.

Jeśli jednak recenzja ma być od tego, by wyliczać braki i wady to podejmijmy to zadanie. A więc:

1. Wbrew wyraźnej intencji autora w książeczce widać pewne uproszczenia, właściwe idealistycznej, ba, romantycznej historiografii. Do tych zaliczam:

a) Charakterystykę roli jednostek wybitnych, jak deus ex machina pojawiających się w przełomowych momentach dziejów. Charakterystyka ta dziś już myszką trąci.

b) Sposób omówienia faktu przystąpienia Kołłątaja do Targowicy. Fakt ten określony został przez autora początkowo jako tylko „na pozór” niezrozumiały — później jednak autor cofnął się przed daniem temu jakiejś głębszej interpretacji, składając decyzję Kołłątaja na jego słabość charakteru, a nawet na wpływ „pozycji socjal-

nej”. To ostatnie wyjaśnienie jest zresztą i dowolne i ryzykowne.

c) Charakterystykę roli Wawrzeckiego (o tym niżej).

2. Z zarzuconymi przeze mnie autorowi tendencjami idealistycznymi wiąże się fakt zbyt jednostronnego przedstawiania bohatera. Wprawdzie autor zapowiedział nam przedstawienie go w jego zaletach i wadach — te ostatnie chyba jednak nie wystąpiły dość plastycznie. Niezręczność polityczna, ambicja, zawiść, łatwość poświęcenia zasad, wielka wrażliwość na sprawy materialne — nie znalazły miejsca w opracowaniu. Np. ciemna sprawa zbioru medali, która według miarodajnego orzeczenia Stanisława Potockiego obciąża Kołłątaja, została dyskretnie przemilczana.

3. Widać pewne przenoszenie schematów zachodnio-europejskich na stosunki polskie. Do tych zaliczam m. in.:

a) Sformułowanie, że „w Polsce jak i we Francji waliła się twierdza feudalizmu, ustępując pod naporem mieszczaństwa”. Zdanie to nie wytrzymuje krytyki. Może raczej na miejscu byłoby tu przeciwstawienie stosunkom francuskim.

b) Co najmniej ryzykowne nazwanie Kołłątaja „chorążym mieszczaństwa polskiego”.

4. Najsłabiej opracowana część — to powstanie kościuszkowskie, a zwłaszcza końcowy jego okres:

a) Sformułowanie tezy o braku udziału elementów mieszczańskich we władzach powstańczych zbyt kraciowe i prowadzi do nieporozumień.

b) Stosunki Kołłątaja z Kościuszką przedstawione dość jednostronnie; pominięte np. ich zbliżenie przed wyprawą maciejowicką i w ogóle obustronne dążenie do porozumienia.

c) Społeczne oblicze wyboru Wawrzeckiego, dosadnie scharakteryzowane przez niego samego w zeznaniach petersburskich, nie zostało tu uwzględnione — stąd też dla czytelnika niezrozumiałą jest ostatnia próba Kołłątaja opanowania nowego naczelnika. Rzeczą prowadzoną zostaje do tego, że „Wawrzecki nie potrafił stanąć na wysokości zadania“.

5. Na koniec drobiazgi:

- a) Wnioskowanie o roli kościoła w końcu XVIII w. z roli w 150 lat później — to posunięcie zbyt tanie.
- b) Zwrot, że Komisji Edukacji Narodowej przydzielono „pieniądze“ pojezuickie — anachroniczny.

c) Zwrot: „mieszczanie królewscy“ — na tym poziomie dla którego przeznaczona jest książeczka wymaga wyjaśnienia.

d) Jako datę „prawa o miastach“ na Sejmie Czteroletnim należy podać dzień 21.4., a nie 19.4.

Załączona bibliografia, zawierająca pięć pozycji, pozbawionych jakiegokolwiek komentarzy — nie spełnia zadania.

Na tem wyczerpaliśmy listę zarzutów. Mimo ich ilości — książeczka jest pożyteczna.

Inna sprawa, że istnieje nadal potrzeba popularnej, ale trochę poważniejszej książeczki o Kołłątaju.

Witold Kula

*

*

*

J. Widajewicz: Słowianie Zachodni, Kraków, 1945.

Jest to popularny wykład o Słowiańszczyźnie Zachodniej profesora — przed wrześniem Uniwersytetu Poznańskiego, obecnie Uniwersytetu Krakowskiego. Rzeczą bardzo pożyteczną, tym bardziej, że dziś rzeczy słowiańskie — i im dawniejszych epok dotyczące — stały się wprost modnymi. A tymczasem wiadomości o Słowianach, szerzone przez nasze dzienniki, są wprost horendalne. Natomiast autor informuje dobrze; rzecz jego należy więc polecić do przeczytania. Wszakże pozwolę tu sobie uczynić nieco uwag krytycznych.

„Szukanie“ kolebki Słowian „na terenie ziem polskich“... nazywa autor „badaniami najnowszymi“. Nie powiem, by był to zwrot trafny: interpretacja Germanii Tacyty jako pojęcia geograficznego, różnoetnicznego, jest wcale dawna; dość wspomnieć chociażby o naszych uczonych jak Wojciech Kętrzyński lub

Erazm Majewski, nie mówiąc już o Bogusławskich. W Czechach walka o autochtonizm Słowian prowadziła nawet do wielkiego stopnia zdenerwowania (sambójstwo głośnego archeologa J. Picza). Pierwszym zaś tej teorii wyznawcą i obrońcą był Niemiec Schlötzer, głośny historyk z końca XVIII wieku.

Na wpół mityczny Samo (czego autor nie zaznacza) nie tak bardzo obronił Słowian od Awarów. Awarów zniszczył dopiero Karol Wielki. Później Awarów, co prawda, zastąpili Niemcy.

Nie zaznacza autor, że do opuszczenia Moraw przez uczniów Metodego przyczynili się nie tylko duchowni niemieccy, lecz i sam Książę Swatopluk, niechętny Metodemu i liturgii słowiańskiej. Tak nas pouczają przede wszystkim najważniejsze źródła, tzw. Legendy pannońskie.

Słuszną jest uwaga ex re germanizacji Polabian za Ottona, że „zadaniem... kleru niemieckiego“ było „nie tyle chryścianizacja ile raczej germanizacja sło-

„słowiańskiej ludności“, wszakże dobrze by było zaznaczyć, że podówczas — w epoce wyłącznego panowania nauk kościelnych — ziemie pogan uważane były za terra nullius i stawały się własnością kogoś, kto je chrystianizował. W ten sposób germanizacja otrzymywała z góry błędną legitymację.

Z powodu wzmianki o „posiadaniu Słowian w czeskiej, Pragi“ przez Bolesława Chrobrego, należało by może dodać, że dłużej trwało jej zdobywanie niż posiadanie; razem może około roku...

Nie ma co robić Czechom i Weletom zarzutu, że nie rozumieli doniosłości „idei słowiańskiej“ i stawali po stronie Niemców, i my to bowiem czyniliśmy, tj. pomagaliśmy Niemcom w niszczeniu Słowian.

Przed dojściem Hitlera do władzy — pisze prof. Widajewicz — liczono Łużyczan około 200 tysięcy“ (to znaczy w roku 1932). Jest to nieporozumienie. Przecież w roku 1880, a więc na przeszło pół wieku przed Hitlerem, patriota łużycki, prof. Ernest Muka, zdołał doliczyć się zaledwie 176 tysięcy. Oczywiście

że statystyka urzędowa z roku 1918, podająca tylko 62 tysiące, jest przesadnie mała. Należy ją, sądząc, podwoić.

Niezbyt dokładnie przedstawia autor kolonizację niemiecką w Czechach i w Polsce: o Przemysłidach wyraża się, że sami sprowadzali niemieckich kolonistów, ale o Polsce zamilcza względnie pisze, że sami Niemcy zaczęli się do niej „wdzierać“... Różnice, oczywiście, były, ale istoty rzeczy nie zmieniały: i tu, i tam ściągano kolonistów, bo był władcom i posiadaczom ziemskim potrzebni.

Zaznaczę wreszcie, że mapka Słowiańszczyzny zachodniej (według Lehra-Splawińskiego) o ile chodzi o zasięg Słowian zachodnich jest niezbyt dokładna, przecież nawet w terminologii historyków niemieckich istnieją „Mainslaven“, tj. Słowianie mieszkający w górnym biegu Menu. Tę mapkę nie uwidocznia. Zresztą, na ten temat pisałem też w „Kuźnicy“ (nr. 3 z r. 1946).

Henryk Ułaszyn

* * *

Czesław Znamierowski: Wiadomości elementarne o państwie, Poznań, 1946.

Jak ironia brzmi następujące zdanie z przedmowy autora, profesora filozofii w U P: „O państwie każdy człowiek wie dziś tak wiele z lektury, jakiej mu dostarcza prasa codzienna, że w krótkim zarysie niezmiernie trudno jest podać czytelnikowi nowe wiadomości“. Ironia zawartą w tym zdaniu zrozumie każdy kto 96 stron tej książki przeczyta i kto z pewnością odczuje żywe zadowolenie z tego, że zapoznał się z pewnymi sprawami niejasnymi i ukrytymi właśnie dla czytelnika gazet. Ucz-

niowie zaś i czytelnicy prof. Znamierowskiego znajdują w „Wiadomościach elementarnych“ to, czego nie znaleźli w poprzednim jego dziele pt. „Prolegomena do nauki o państwie“, w którym autor zebrał swoje pierwiastkowe rozważania i analizy najbardziej podstawowych pojęć, ważnych dla nauki o państwie. (Pierwiastkowość dociekań zawartych w „Prolegomenach“ scharakteryzował najlepiej sam autor w przystępie humoru wskazując na to, że słowo „państwo“, występuje w tej książce tylko raz, i to w tytule). Natomiast w „Wiadomościach elementarnych“ autor podaje już wyniki swoich dociekań, a więc

definicję państwa i innych pojęć zasadniczych nauki o państwie, określa rozmaite formy ustrojowe oraz opisuje poszczególne, konkretne instytucje państwa współczesnego.

Zdając sprawę z lektury książki Znamierowskiego, nie należy usilować zreferowania jej treści, gdyż pewnych książek streścić nie podobna z tego powodu, że same są już niejako ekstraktem, pozbawionym wody rozważań historyczno-krytycznych. Część historyczno-krytyczna atoli prac naukowych jest dla wielu jeszcze autorów obligatoryjna, zwłaszcza w prawoznawstwie, gdzie od dawna magazynuje się pewne „teorie“, pewne mniej lub więcej niepotrzebne konstrukcje myślowe, z którymi każdy prawnik musi się zapoznawać, a których Znamierowski specjalnie nie lubi (jak o tym świadczy np. potraktowanie przez niego sprawy osobowości prawnej grup społecznych na str. 15). Objętość więc prac naukowych wzrasta proporcjonalnie do „ekshibicjonizmu erudycyjnego“, polegającego na tym, że ambicją danego autora jest najpierw omówienie możliwie wyczerpujące wszystkiego, co inni na dany temat wypowiedzieli, a dopiero potem przedstawienie swego własnego poglądu na daną kwestię. Profesor Znamierowski jest wrogiem takiej metody wykładu, jak o tym świadczą wszystkie jego prace naukowe, w których możliwie unika tego balastu erudycyjno-polemicznego, strajając się przedstawić od razu rzeczy tak, jak one są. To jest także przyczyną skondensowania treści, a co za tym idzie stosunkowo małej objętości „Wiadomości elementarnych o państwie“. Dlatego recenzent tej książki powinien się ograniczyć do omówienia pewnych tylko kwestii, które wzbudzają w czytelniku szczególnie żywe zainteresowanie, a które w pewnej mierze mogą także naświetlić rozmaite zagadnienia, poruszanych w omawia-

nej książce, oraz sposób pochodzenia do nich autora.

Po wstępnych ogólnych rozważaniach socjologicznych, ustalających takie pojęcia, jak zbiorowość, stosunek społeczny, zespół, grupa, społeczność — posługując się celem jako powodem wyodrębnienia grup społecznych — definiuje grupę państwową czyli państwo jako terytorialną grupę celową, która ma i wykonuje dwa istotne dla siebie zadania: 1) utrzymanie porządku w swojej zbiorowości oraz 2) ochronę przed niebezpieczeństwem, grożącym jej ze strony innych zbiorowości (str. 19). Cel grupy w rozumieniu autora jest to zgodny, wspólny cel członków grupy (w najprostszym przypadku wszystkich członków).

Takie ujęcie grupy państwowej jako jednostki teleologicznej można uważać za szczęśliwe także z tego względu, że w pewnej mierze wyjaśnia ciągłość istnienia państwa (to, co trwa), choć skład osobowy grupy i jej statut organizacyjny się zmienia. Kwestia bowiem tożsamości grupy pomimo zmian jej składu osobowego jest, zdaje się, właśnie główną przyczyną powstania dominującej dziś w prawoznawstwie teorii osobowości prawnej państwa, którą prof. Znamierowski zdecydowanie odrzuca jako „mitologiczną frazeologię, w której grupa ludzi, a więc zbiór staje się niepostrzeżenie istotą człękoksztalną: po prostu „osobą prawną“, rączym pegazem, na którym jeździ niedodręczność“ (str. 15). Trzeba przy tym zaraz podkreślić stanowisko indywidualistyczne zajmowane przez autora, który wyjaśnia że celem minimalnym grupy państwowej jest bezpieczeństwo, i to „przede wszystkim bezpieczeństwo każdego członka grupy z osobna; powtóre bezpieczeństwo grupy, jako całości“ (str. 29). Dalej ciekawy jest pewien rys anarchistyczny w definicji państwa, podanej przez autora,